

JAMES FOLLETT
DIABELSKIE ULTIMATUM

PROLOG

I

Wojskowa eskorta na parkingu nie spodziewała się niczego. Nagle wśród żołnierzy wybuchł granat z gazem paraliżującym. Nie zdążyli jednak zobaczyć napastnika. Krztusili się i padali, a wokół nich kłębił się trujący dym. Pracownicy i wieczorni goście kawiarni „Westward Ho” leżeli nieprzytomni.

Atak uzbrojonego oddziału trwał zaledwie trzydzieści sekund. Pół minuty w zupełności wystarcza na skuteczne zastosowanie broni chemicznej. Kiedy rozprysnęły się granaty z gazem CIX, kruche kapsułki poleciały we wszystkich kierunkach i wykonały swoje zadanie w ciągu pięciu sekund. Dowódca eskorty, kapitan Lotniczych Służb Specjalnych, starał się podejść do drzwi kawiarni i ostrzec żołnierzy pilnujących oliwkowego, wojskowego transportera, ale upadł, zanim zdążył wypowiedzieć choć jedno słowo. Podoficer, sierżant Królewskiej Artylerii, próbował podnieść i wyrzucić przez okno syczącą kapsułkę, lecz również stracił przytomność.

Na podłodze leżała taca z kawą i potłuczone filiżanki. Panowała cisza.

Do kawiarni weszli dwaj mężczyźni. Mieli na sobie kombinezony ochronne i maski przeciwgazowe. Szli wśród oparów trującego dymu, trzymając w rękach dymiące granatniki. Rozejrzeli się niedbale. Wyższy z nich spojrzął na zegarek, a potem zerknął na kieszonkowy komputer i wcisnął klawisz „enter”.

— Jesteśmy spóźnieni o cztery sekundy. Przechodzimy do Fazy Dwa — rozkazał. Głos wydobywający się spod maski był stłumiony i niewyraźny.

Drugi mężczyzna podszedł do głównego przełącznika. Wiedział dokładnie, co ma zrobić.

Światła w kawiarni trzy razy zapłonęły i zgasły. Wysoki mężczyzna znów spojrzął na komputer. Musieli działać szybko. Co dwadzieścia minut lotny oddział wojskowy nadawał przez radio zielony kod

bezpieczeństwa.

Na sygnał cysterna wjechała na parking i zatrzymała się koło wojskowego transportera.

— Wszystko w porządku? — spytał kobiecy głos z szoferki. Wysoki mężczyzna zdejmował brezent, przykrywający ładunek w transporterze.

— Powiedz mu, żeby się pospieszył — rozkazał.

Kobieta wyszła z szoferki i wbiegła do kawiarni. Miała na sobie również brązowy, spadochronowy kombinezon i maskę na twarzy.

Niewielki dźwig, zaparkowany pod drzewami, ruszył nagle i jechał w świetle księżyca przez parking ku wysokiemu mężczyźnie, który stał na transporterze i rękami kierował wysięgnikiem.

— Otwórzcie cysternę! — krzyknął.

Zachowywał się jak żołnierz, przyzwyczajony do wydawania rozkazów i bezwarunkowego posłuszeństwa podwładnych.

Z kawiarni wybiegła kobieta z zamaskowanym mężczyzną.

— Pomóżcie mu — rozkazał wysoki mężczyzna, wskazując operatora dźwigu. Znów spojrzał na komputer.

— Zostało wam pięć minut. — Na głowie miał słuchawki, podłączone do przenośnego odbiornika AR 1000. Urządzenie nastawione było na odbiór wszystkich kanałów Wydziału C policji z Thames Valley. W tym samym czasie policja zajmowała się poważnym wypadkiem drogowym na szosie M 4. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Potrwało to trochę dłużej niż pięć minut, ale w końcu załadowano pierwszą cysternę i zatrzaśnięto pokrywę. Kobieta uruchomiła silnik. Cysterna odjechała i zatarasowała wjazd na parking. Skaner odebrał jakiś sygnał. Wysoki mężczyzna sprawdził częstotliwość — mgH 451.475.

— Na miłość boską, ruszcie się! — syknął. — W pobliżu jest jakaś jednostka, która nadaje na kanale trzynastym.

Pracowali dalej w milczeniu. Wcześniej dokładnie zaplanowali i przećwiczyli każdy ruch. W końcu załadowali drugą cysternę. Pierwszy odzyskał przytomność kapitan, dowodzący eskortą. Czuł się tak, jak gdyby coś ciężkiego spadło mu na głowę.

Chwiejnym krokiem wyszedł z kawiarni. Wojskowy transporter i samochody eskorty stały wciąż na parkingu. Pomędzy nimi leżeli żołnierze. Na ziemi walał się brezent. Ani śladu ładunku. Broń z demobilu, transportowana do Królewskich Zakładów Artyleryjskich, miała zostać rozbrojona i oddana na złom. Mimo to była niezwykle niebezpieczna.

Transporter przewoził dwie rakiety ziemia—ziemia typu Honest John.

NIEDZIELA

1

Dokładnie o 08:34 czarny służbowy rover 800 generała Conrada Pyne'a zatrzymał się przed brzydką, żelazną barierą, zagradzającą wjazd na Downing Street. Generał siedział nieruchomo, ledwo odpowiadając na grzeczny salut policjantów sprawdzających dokumenty kierowcy.

Nastąpiła trzyminutowa zwłoka, kiedy pod samochód wsuwano lustro na rolkach i przyrząd do wykrywania materiałów wybuchowych. Nawet w upalne, niedzielne popołudnie na chodniku pełno było gapiów i turystów, mających nadzieję, że ujrzą którąś ze znanych osobistości. Ludzie pochylali głowy i starali się coś dostrzec przez ciemne szyby samochodu. Kiedy kapral Ian Gamet wjechał na Downing Street, japońscy turyści jak na komendę zwolnili migawki aparatów fotograficznych. Kierowca zachował się nietypowo; zamiast od razu wysadzić pasażera, zawrócił samochód w wąskiej uliczce i zaparkował przy krawężniku. Proporczyki Królewskiego Korpusu Artylerii zwiślały posepnie, jak gdyby one również nie mogły znieść upału. Oficer dyżurny otworzył drzwi samochodu. Pyne ani drgnął. Policjant właśnie zamierzał się odezwać, kiedy napotkał twarde spojrzenie szarych oczu.

Pyne wręczył mu kopertę lotniczą.

— Proszę dopilnować, żeby list trafił do rąk sekretarza pana premiera — rozkazał.

Generał zatrzasnął drzwi i poklepał Gameta po ramieniu. Duży samochód ruszył i odjechał szybko ku zdziwieniu policjantów, którym powiedziano, że wizyta Pyne'a potrwa przynajmniej piętnaście lub dwadzieścia minut.

- Załatwione.

- Ultimatum zostało doręczone.

Pyne odetchnął z ulgą. Usadowił się wygodnie w fotelu i rzucił okiem na zegarek.

- 8:40. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Na razie...

Spojrzał za siebie przez tylną szybę. Jeden z policjantów obserwował samochód, a drugi mówił coś do krótkofalówki. Pyne wyobraził sobie scenę, rozgrywającą się za czarnymi drzwiami budynku na Downing Street

Dzięki temu, że przyjechał służbowym samochodem, list trafi bezpośrednio do rak Simpsona, a nie do biura pocztowego. Lekka koperta, zawierająca pojedynczą kartkę maszynopisu, nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Simpson dowie się, kto dostarczył list. Teraz właśnie najprawdopodobniej go otwiera.

Kapral Gamet spojrzał na nieruchome wskazówki Big Bena, skręcając na most Westminsterki. Pyne dostrzegł we wstecznym lusterku brzydką bliznę na policzku Gameta. Szrama przypominała krzywą bruzdę, wykopaną przez pijanego rolnika. Pamiątka po kuli, z czasów, kiedy Gamet służył w Irlandii Północnej.

— Wciąż wskazują wpół do trzeciej, sir.

Pyne nie odpowiedział. Kilku strajkujących robotników osiągnęło więcej niż bomby w czasie ostatniej wojny. Nieruchome wskazówki były symbolem anarchii, która ogarnęła cały kraj. Szkoły pracowały trzy dni w tygodniu, często wstrzymywano dostawy wody i prądu, nieczystości płynęły po ulicach, a rząd nie umiał sobie poradzić ze związkami zawodowymi, gdyż każda próba działania napotykała na sprzeciw sprywatyzowanych zakładów komunalnych.

W latach osiemdziesiątych wysokie bezrobocie i restrykcyjne ustawodawstwo złamało potęgę związków zawodowych. Jednakże po upadku konserwatywnego rządu wiele związków zawodowych odzyskało dawne wpływy, przenosząc kwatery główne do Holandii i Belgii, gdzie znajdowały się poza bezpośrednią jurysdykcją brytyjskich sądów. Faksy i międzynarodowe transfery kredytowe podkopały pozycję rządu. Dodatkowe problemy stwarzały liczne agresywne stowarzyszenia: pacjentów, użytkowników telefonów, Zielonych Bojowników, przeciwników podatku poglównego. Jeszcze bardziej niepokojąca była fala fundamentalistycznych ruchów

muzułmańskich, które domagały się utworzenia w całym Zjednoczonym Królestwie muzułmańskich samodzielnych enklaw — czyli po prostu państw w państwie.

08:43. Rover przejeżdżał przez most Westminster'ski, oddalając się od stosu gnijących śmieci na Trafalgar Square, pilnowanego przez tysiące strajkujących.

Kapral Gamet zwolnił, mijając demonstrantów. Protestujący trzymali transparenty w taki sposób, że trudno było przeczytać, co jest na nich napisane. Pyne dostrzegł tylko pojedyncze słowa, kiedy maszerujący ludzie kiwali się i śpiewali.

„INFLACJA... CENY ŻYWNOŚCI... POGŁÓWNE... OSZCZĘDZIMY MILIARDY NA ZBROJENIACH...”

To ostatnie hasło przykuło uwagę Pyne'a. Przyglądał się uważnie demonstrantom z okna samochodu. Wyglądali na przyzwoitych urzędników należących do klasy średniej, z żonami i dziećmi — nie byli to ludzie, którzy w normalnej sytuacji wyszliby na ulice. Jedna z kobiet niosła flagę Wspólnoty Europejskiej. Na widok samochodu Pyne'a pomachała z gniewem gwiazdzistym sztandarem.

Znów poczuł, że ogarnia go napięcie. Zamknął oczy i wyobraził sobie, co się dzieje na Downing Street. Simpson zdążył już przeczytać list. Być może sięga właśnie po słuchawkę, żeby zatelefonować do premiera. Nie. Simpson jest zbyt ostrożny.

Najpierw zadzwoni na policję i upewni się, że to rzeczywiście Pyne przekazał ultimatum.

Od godziny 10:30 dzisiejszego dnia elektrownia atomowa Vulcan Hall na Canvey Island znajduje się pod kontrolą utworzonego niedawno Komitetu do spraw Kontrolowania Polityki Zjednoczonego Królestwa. Założyliśmy to ugrupowanie, aby doradzać i koordynować działania rządu Jej Królewskiej Mości.

Wkrótce dowiecie się, jak zamierzamy realizować te cele i poznać nasze długofalowe i doraźne plany. Na razie oświadczamy tylko, że posiadamy dwa pociski balistyczne ziemia—ziemia, typu MGR—IB Honest John, a także dużą ilość sprzętu, dostarczonego Jednostce Obrony Platform Wiertniczych, którą od dzisiaj dowodzimy. Jedna z rakiet jest wycelowana w londyński East End i każda próba

udaremnienia operacji na Canvey Island zakończy się natychmiastowym odpaleniem pocisku.

Niniejsze ultimatum nie powinno zostać podane do wiadomości publicznej, dopóki parlament i królowa nie zaakceptują naszych warunków.

W ultimatum były pewne żądania, o których Keller nie wiedział. Pyne zmarszczył brwi. Trzy miesiące temu, w czasie ataku na kawiarnię „Westward Ho”, spisał się dobrze. Bez zastrzeżeń słuchał rozkazów i zawsze okazywał Pyne'owi szacunek. Jednakże coś w tym człowieku budziło niepokój generała. Kiedy planowali akcję, zachowywał się bardzo grzecznie, nigdy się nie uśmiechał i upierał się, że tylko skrajnie radykalne środki wydobędą kraj z chaosu. Chcąc uspokoić Kellera, Pyne przekazał mu inną wersję ultimatum. Nie podobało mu się to. Sukces operacji zależał przecież od wzajemnego zaufania pomiędzy czterema członkami grupy. Gdyby Pyne miał czas, poszukałby człowieka, który mógłby zastąpić Kellera. Nie było jednak nikogo takiego. Keller odpowiadał za instalację pojemników na odpady radioaktywne w elektrowni atomowej Vulcan Hall. Wiedział dokładnie, gdzie należy umieścić materiały wybuchowe i jak unieruchomić dwa chłodzone gazem reaktory.

Na razie trzeba będzie tolerować Kellera.

Pyne siedział wygodnie w fotelu, kiedy rover pędził spokojnymi ulicami. Od czasu do czasu zauważał kłęby dymu.

To właściciele domów starali się pozbyć śmieci, ignorując przepisy o zanieczyszczaniu powietrza. Na wszystkich skrzyżowaniach światła posłusznie zmieniały się na zielone, dzięki sonicznemu promieniowi z transmitera, ukrytego pod atrapą samochodu. To pożyteczne urządzenie zainstalowano we wszystkich służbowych wozach, używanych przez ministrów i wysokich urzędników.

O 08:55 samochód przejeżdżał koło Woolwich, a o 09:00 ubrani po cywilnemu policjanci przepuścili go przez ozdobną bramę Królewskiej Szkoły Artylerii. Wartownicy w odświętnych mundurach sprawdzili dokumenty i zasalutowali Pyne'owi, podnosząc stalową barierę. Pyne nigdy nie nosił munduru, ale zawsze mu salutowano.

Generał szedł po gęstym, przystrzyżonym trawniku, a za nim

niosąc teczkę podążał kapral Gamet. Ktoś wytarł rosę z helikoptera Westland Scout, który błyszczał teraz w porannym słońcu. Był to ostatni Scout na wyposażeniu armii. Pyne musiał stoczyć kilka potyczek z wydziałem zaopatrzenia, zanim pozwolono mu zatrzymać maszynę. Zauważył ryse na pleksiglasowej szybie — najwyraźniej ktoś obchodził się nieostrożnie z ostrą ścierką. Stłumił irytację. Czy to ma jeszcze jakieś znaczenie?

— Wracamy do Weybridge, sir? — spytał Gamet, otwierając drzwi Scouta.

Pyne pokręcił głową.

— Sam polecę, kapralu. Nie wylatałem w tym roku zbyt wielu godzin. Powinienem być na bieżąco.

— Tak jest, sir. — Gamet przytrzymał drzwi, kiedy generał siadał na fotelu pilota. Pyne nie przyjął podawanej mu teczki.

— Już tego nie potrzebuję, kapralu.

Gamet miał niepewną minę.

-- Mam lecieć z panem, sir?

-- Nie. Zabierz samochód z powrotem do bazy. Powiedz, że nie będzie mi już potrzebny. — Pyne nie patrzył w oczy podoficera. Brzydka blizna wydawała się błyszczeć w ostrym słońcu. — Gamet, czy zrobisz coś dla mnie?

— Sir?

— To nie jest rozkaz. Nie mogę już wydawać ci rozkazów. Chcę prosić o przysługę.

— Nie rozumiem, sir.

— W teczce znajduje się koperta z twoimi dokumentami demobilizacyjnymi. Od północy jesteś cywilem. Właśnie dlatego nie mogę wydawać ci rozkazów.

Gamet był zdumiony. Niewiele brakowało, a teczka wypadłaby mu z ręki.

— Mam ważną misję do spełnienia. Prawdopodobnie potrwa ona długo. Nie chcę, żeby moja córka sama musiała zajmować się domem, proszę cię więc, żebyś jej pomógł. — Pyne przerwał i włączył zasilanie. Wskaźniki ożyły. — W teczce znajdziesz kopię listu z instrukcją dla Midland Bank w Weybridge. Co miesiąc będą wypłacać ci pensję. Znajdziesz tam również czek. Kiedy go zrealizujesz, będziesz mógł zapłacić za operację plastyczną i pozbyć się

tej blizny. Zostawiam ci również trochę gotówki na cywilne ubranie. Zrobisz to?

Gamet stał oniemiały.

— I cóż? — uciął Pyne.

Kapral w milczeniu skinął głową.

— Jeśli spotkasz w domu Maggie, powiedz jej, że bardzo mi przykro, ale nie mogę przyjść na przyjęcie urodzinowe, które dla mnie zorganizowała. — Pyne przerwał i zajął się helikopterem. Powoli śmigło zaczęło się obracać. — Możesz sprzedać łódź za sumę, jaką uznasz za stosowną. — Pyne zastanawiał się, czemu to mówi Gametowi. Patrzył na szkolny budynek z czerwonej cegły. Wydawał się nierzeczywisty, jak dekoracja filmowa ustawiona wśród klombów.

— Jeszcze jedno: nie myśl źle o Maggie. To młoda i lekkomyślna dziewczyna. Wcale nie chce być okrutna. Po prostu jeszcze nie przysłała do siebie po śmierci matki.

Kapral Gamet patrzył na swojego generała.

— Nie wolno ci mówić nikomu, co się ze mną stało — rzekł Pyne. — Absolutnie nikomu. Rozumiesz?

Gamet odzyskał głos.

— Jak długo pana nie będzie, sir?

Pyne zawahał się.

— Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to nie dłużej niż dwanaście miesięcy. Jednakże moja nieobecność może równie dobrze potrwać pięć lat.

Pyne zatrzasnął drzwi zanim Garnet zdążył odpowiedzieć.

Wirnik zamienił się w opalizujący dysk, który wirował w gorącym powietrzu, aż siła nośna przewyciężyła wagę helikoptera. Maszyna poderwała się i leciała w kierunku Tamizy. Kapral Garnet patrzył za nią, ściskając w rękę czarną, skórzaną teczkę ze złotym emblematem El IR.

2

Kiedy Simpson przeczytał ultimatum, nie tracił czasu. Dobrze wiedział, co powinien robić. Kazał natychmiast obudzić premiera, a potem

zadzwoił do oficera dyżurnego z kontroli lotów i polecił mu ustalić, gdzie znajduje się helikopter generała Pyne'a. Simpson był przekonany, że zna odpowiedź na to pytanie, ale przy tak wysokiej stawce nie mógł sobie pozwolić na popełnienie błędu — należało mieć pewność. Oficer zadzwonił dwie minuty później i potwierdził jego przypuszczenia. Sekretarz otworzył szufladę i studiował komputerowy wydruk, zawierający dane dotyczące każdego pilota helikoptera w siłach zbrojnych. Przeszedł przez pokój i rozwinął ścienną mapę południowej Anglii. Jego palec podróżował wzdłuż krętej nitki Tamizy i zatrzymał się w Chatham. Uśmiechnął się do siebie i połączył się z oficerem, kierującym lotniczymi operacjami ratunkowymi w morskiej bazie Chatham. Przyciskał czerwony guzik, aby dzwonek w biurze dowódcy rozbrzmiewał bez przerwy, dopóki ten nie odbierze telefonu. Podał swój numer i przycisnął widełki, przerywając połączenie. Siedział tak bez ruchu przez kilka sekund, dopóki telefon nie zadzwonił. Wówczas zdjął palec z widełek, wydał krótkie, rzeczowe instrukcje i zażądał, aby oficer je powtórzył. Słuchał uważnie, a potem starannie odłożył słuchawkę. Rozmowa została nagrana na taśmę, aby wrogowie premiera nie mogli go później oskarżyć, że nie zrobił wszystkiego, co było w jego mocy. Kiedy drzwi się otworzyły, Simpson spojrzał na przysadzistą postać stojącą w korytarzu. — Dzień dobry, sir. Mam nadzieję, że dobrze pan spał. Było to raczej uprzejme powitanie niż pytanie. Premier zawsze spał dobrze. Nadchodzący tydzień miał to jednak zmienić.

3

Pyne potwierdził trasę lotu w West Drayton i przeleciał nad Woolwich na wysokości tysiąca stóp. Zmienił kurs nad Tamizą i posuwał się wzdłuż srebrnego nurtu w kierunku ujścia rzeki. W dole płynął prom. Pyne poczuł żal na widok wysłużonego parowca. Kiedy był biednym kadetem, bezpłatna przejażdżka po rzece, na parowcu z dwoma kołami łopatkowymi, sprawiała mu

ogromną przyjemność.

Wielkie biurowce na północy przypominały pomniki minionej epoki świetności. W dawnych czasach te żelbetonowe konstrukcje przynosiły właścicielom ogromne zyski, teraz ledwo chroniły ich przed skutkami kryzysu.

Pyne usadowił się wygodnie w fotelu. Tak wiele trzeba zrobić. I naprawić. Spojrzał na zegarek. Była 09:15.

Im bardziej zbliżał się ku morzu, tym Tamiza stawała się szersza, helikopter ścigał się z własnym cieniem, który od czasu do czasu padał na barki, wywożące śmiecie, obsadzone przez żołnierzy z marynarki królewskiej.

Pyne spojrzął pod słońce na rafinerię Thames Haven, która pojawiła się na horyzoncie w odległości trzydziestu kilometrów. Za płataniną rur i przewodów, dziesięć kilometrów w dół rzeki, dostrzegł wieże chłodnicze elektrowni atomowej Vulcan Hall na Canvey Island. Biały budynek błyszczał we mgle, z której słońce wypijało ostatnie krople wody.

Elektrownia może poczekać. Najpierw rafineria.

09:22.

Pyne przycisnął do ucha słuchawkę przekaźnika Icom. Radio było już nastawione na właściwą częstotliwość. Nacisnął przełącznik.

— Sosnowa Igła wzywa kontrolę Victor Hotel. Czy mnie słyszycie?

Odbiór.

Odpowiedź, która dotarła z elektrowni, znajdującej się dziesięć kilometrów za rafinerią, była jasna i wyraźna.

— Victor Hotel do Sosnowej Igły — powiedział głos w słuchawkach.

— Możesz mówić.

To na pewno Keller. Trudno było nie rozpoznać nosowego, trochę amerykańskiego akcentu, którego nabył pracując w Michigan dla amerykańskiej Komisji Energii Atomowej. Dobrze przynajmniej, że był na posterunku.

— Znajduję się trzydziści kilometrów na zachód od celu — powiedział Pyne. — Zostanę tu do 09:45. Nie chcę podchodzić zbyt blisko. Odbiór.

— Poprawka, Sosnowa Igła. Nasz radar pokazuje, że jesteś dwadzieścia dziewięć przecinek dwa kilometra na zachód od celu — odpowiedział uprzejmie Keller.

Pyne zmarszczył brwi. Nigdy nie wiedział, czy ten człowiek okazuje mu szacunek czy arogancję.

— Czy jesteście gotowi? Odbiór — spytał Pyne.

— Tak — odrzekł Keller. — Powinieneś mieć stamtąd wspaniałą widok. Czy przesyłka została doręczona zgodnie z planem?

Zawsze taki cholernie uprzejmy, pomyślał Pyne.

— Potwierdzam. Przyszły jakieś wiadomości? Odbiór.

— Nie, Sosnowa Igło, ale kapitan Stacy starał się z tobą skontaktować. Wygląda na to, że obóz jest przygotowany do inspekcji.

— Zadzwoń do niego — odparł Pyne. Nic więcej nie miał do powiedzenia. Przerwał połączenie z Kellerem i nastawił odbiornik na częstotliwość 451 mgH. Słyszał rozmowy policjantów w wozach patrolowych, do których od czasu do czasu Wtrącała się centrala. Nic nie mówili na temat Pyne'a ani helikoptera.

Sprawdził częstotliwość lotniczą z tym samym rezultatem. Tego należało się spodziewać. Przypuszczał, że przetrwanie ultimatum, a zwłaszcza punktu drugiego, zajmie im przynajmniej godzinę.

O godzinie 09:45 na dowód naszej determinacji zniszczymy pociskiem Honest John rafinerię Thames Haven. Ostrzegamy: na Canvey Island znajduje się obecnie najnowocześniejszy radar.

Teren jest płaski, dlatego z dwuminutowym wyprzedzeniem dowiemy się o każdej próbie ataku powietrznego lub raketowego i będziemy mieli całą minutę na odpalenie drugiego pocisku Honest John.

Każdą próbę zakłócenia pracy radaru przy użyciu środków zagłuszania elektronicznego uznamy za wrogie posunięcie. Podejmiemy wówczas odpowiednie kroki. Jeśli zdecydujecie się poświęcić życie wielu londyńczyków i zmusicie nas do wystrzelenia pocisku, to lepiej się zastanówcie, jaki skutek będzie miała eksplozja setek ton materiału wybuchowego, umieszczonego wokół silosów z odpadami radioaktywnymi

(podpisano)

Conrad Pyne OBE1

(general-major)

Przed podpisaniem dokumentu Pyne nie zapomniał przekreślić swego stopnia i liter po nazwisku.

Porucznik Steven Thorne z marynarki wojennej wiedział wszystko o helikopterach, nie miał jednak pojęcia, jak zmusić do lądowania inny helikopter.

Zastanawiał się nad tym, kiedy jego Mark 10 Lynx, najszybszy śmigłowiec świata, sunął z Chatham na zachód, wzdłuż Tamizy. W rozwiązaniu tego problemu nie mógł mu pomóc jedyny członek załogi. Sierżant Hopkins, przypięty pasem bezpieczeństwa do pokładu otwartego helikoptera, ściskający w dłoniach karabin maszynowy, nigdy jeszcze nie brał udziału w walce powietrznej.

Thorne rozejrzał się po przejrzystym, błękitnym niebie. Słońce świeciło mu w plecy, nie powinien więc mieć kłopotu z wykryciem terrorysty, lecącego starym wojskowym helikopterem typu Scout. Powiedziano mu tylko tyle: za wszelką cenę trzeba zatrzymać terrorystę, pilotującego skradzioną maszynę.

— Jest tam, sir! — rozległ się nagle w słuchawkach okrzyk Hopkinsa.

Thorne natychmiast zauważył blask słońca na wirującym śmigle.

Był to helikopter Scout.

— Dobra, Hopkins. Mam go!

Thorne poderwał maszynę w górę, aby podejść do terrorysty od strony słońca.

Popełnił błąd.

Pyne spojrział w bok, kiedy cień Lynxa padł na pleksiglasową szybę. Przeklął Kellera za to, że go nie ostrzegł, i popchnął do przodu drążek sterowniczy.

Thorne skierował maszynę ku Scoutowi, który leciał teraz nisko nad Tamizą, pozostawiając za sobą pas spienionej wody.

Odległość pomiędzy nimi szybko się zmniejszała. Lynxem szarpnęło, kiedy wirnik natrafił na mgłę. Thorne stracił wprawdzie przewagę zaskoczenia, ale mimo to jego Lynx był najszybszym helikopterem na świecie. Kiedy tylko się zbliży, Pyne będzie skończony.

Wówczas Pyne zrobił coś zupełnie niespodziewanego: odwrócił Scouta niczym przyparty do muru kot, który rzuca się na ścigającego go psa. Thorne musiał skrócić ostro, żeby uniknąć zderzenia. Pyne zręcznie wznosił się nad Lynxa, kradnąc mu siłę nośną. Thorne starał się za wszelką cenę zwiększyć wysokość. Przez okropną chwilę był

przekonany, że jego maszyna wpadnie do rzeki. Koła Lynxa dotykały już wody, zanim śmigło uniosło wreszcie helikopter w górę.

Pyne odwrócił Scouta i leciał w przeciwną stronę, oddalając się od Lynxa. Kosztowało to Thorne'a kilka sekund, gdyż rzucił się w pościg w niewłaściwym kierunku. Pyne cały czas leciał wstecz i patrzył, jak coraz szybciej obraca się wirnik zbliżającej się ku niemu potężnej wojskowej maszyny. Generał obejrzał się za siebie: znajdował się w pobliżu głównej siedziby spółki samochodowej Forda.

Czuł się jak w pułapce. Gdyby spróbował wznieść się w górę, wytraciłby szybkość. Helikoptery zbliżały się do siebie, lecąc w kierunku ogromnego parkingu, na którym firma Ford przechowywała tysiące nie sprzedanych samochodów.

Pyne sięgnął pod fotel, wyjął pistolet sygnalizacyjny, załadował go rakieta i odciągnął bezpiecznik. Na pokładzie Scouta nie było innej broni.

Thorne zdążył już nabrać respektu dla umiejętności przeciwnika i zbliżał się ostrożnie.

— Teraz, sir! — krzyknął Hopkins. — Jesteśmy już w zasięgu strzału! Thome próbował ustawić się bokiem do Scouta, ale Pyne udaremnił ten manewr, zagradzając Lyrocowi drogę.

Obydwa helikoptery przypominały koty, zataczające koła wokół siebie przed walką. Thorne przerwał ten rytm. Scout zniknął z pola widzenia, a za chwilę pojawił się z prawej strony, w polu rażenia karabinu Hopkinsa. Pyne nie słyszał strzałów, ale dostrzegł jasne smugi i czuł, jak kule uderzają w aluminiowe poszycie za jego głową.

Na ziemi kierowcy fordów pokazywali sobie z podnieceniem walczące maszyny.

Nie było drugiego strumienia ognia. Hopkins zaklął i rozluźnił pas bezpieczeństwa, żeby kopnąć zablokowany karabin. Pyne wycelował rakieta w ogromny wojskowy helikopter, pomagając sobie drugą ręką, aby dłoń trzymająca broń nie zdrząła pod wpływem podmuchu wirnika. Nacisnął spust.

Znow rozległy się wystrzały, kiedy Hopkins poprawił zablokowaną taśmę z amunicją. Rakietą płynęła z wdziękiem ku Lynxowi, ale poszła zbyt wysoko. Pyne przeklinał swój pech.

Wtedy Thorne popełnił następny błąd: zauważył rakieta, wydawało mu się, że leci prosto ku niemu i gwałtownie skrzył. Wszystko rozegrało

się w ciągu kilku sekund. Podmuchał wirnika ściągnął w dół rakietę, która minęła Hopkinsa i uderzyła w przegrodę, wybuchając jak miniaturowe słońce. Strzelec krzyknął coś do Thorne'a i próbował nawet podnieść pocisk, ale było już za późno. Ogień strawił ściankę i dotarł do przewodu paliwowego. Płonąca benzyna wylała się na Hopkinsa, który upadł z krzykiem na pokład. Kierowcy fordów rozbiegli się we wszystkich kierunkach, kiedy płonąca maszyna runęła ku nim, prosto na dachy nie chcianych samochodów. Zanim Thorne stracił przytomność, zdążył jeszcze zauważyć zbliżające się do niego kolorowe, metalowe pudełka. Jedno z kół Lynкса uderzyło w escorta. Helikopter wywinął kozła w powietrzu. Siła uderzenia wyrzuciła pięćdziesiąt metrów w górę płonące ciało sierżanta Hopkinsa. Upadł na dach białej sierry i zabarwił samochód jasną czerwienią. Lynx upadł do góry kołami wśród bezpiecznych samochodów, a jego wirujące śmigło uderzało jak cep w stojące obok maszyny. Oszołomieni kierowcy wyszli z ukrycia i patrzyli na palący się wrak. Dwaj z nich starali się podejść do helikoptera, ale przeszkodziło im gorąco. Pyne nie tracił czasu na współczucie dla nieznanego załogi Lynxa. Skierował Scouta z powrotem ku Tamizie. Mimochodem zauważył, że był piękny dzień.

5

Fala uderzeniowa po wybuchu w rafinerii wstrząsnęła Scoutem. Sto sekund wcześniej słyszano huk nawet w Chelmsford na północy i Maidstone na południu. Wczasowicze na plażach w Kent zadzierali głowy, wypatrując samolotu. Dziesięcotonowy blok metalu, przypominający kawałek skórki pomarańczy — część kotła ciśnieniowego z propanem — zniszczył kilka domów, oddalonych o dwadzieścia kilometrów od rafinerii. Sześćdziesiąt przyczep samochodowych zamieniło się pod wpływem temperatury w schludne, metalowe prostopadłościany. Źródłem niszczycielskiej fali uderzeniowej była jedna straszna eksplozja, a później zaczęły się rozrywać kontenery z paliwem, przechowywanym koło rafinerii. Stu czterdziestu pięciu pracowników rafinerii wyparowało, zanim

zdążyli usłyszeć huk wybuchu. Ogromny pojemnik z węglem przewrócił się do góry dnem, a tysiąc ton węgla wysypało się do rzeki. W górę Tamizy ruszyła dwumetrowa fala pływowa. Dotarła aż do Teddington Lock, niszcząc po drodze śluzy, a także samochody, zaparkowane przy studiach telewizyjnych.

Pyne leciał ostrożnie ku zniszczonej rafinerii. Nie dostrzegał ognia wśród roztrzaskanych, spłaszczonych fragmentów kolumn destylacyjnych i wież hydrokrakujących. Płonęły tylko pojemniki z paliwem. W centrum wybuchu widać było jedynie poczerwiałe szczątki. Wszystkie łatwo palne przedmioty zdążyły już wyparować. Ogromne okrągłe zbiorniki zniknęły jak przekłute balony. Na drogach nie było ruchu. Pomimo warkotu helikoptera, w powietrzu panował spokój i pełna zdumienia cisza.

Pyne dostrzegł w dole jakiś ruch. Na wzburzonej wodzie wokół pojemnika na węgiel siadały mewy — nawet nieliczne ryby w Tamizie były oszołomione wybuchem. Generał patrzył, jak ptaki krzyczą i walczą między sobą. Być może wcale nie chodziło im o ryby.

Włączył radio, żeby wysłuchać oficjalnych komunikatów, i skierował Scouta ku dwóm odległym wieżom chłodniczym elektrowni atomowej Vulcan Hall. Sięgnął po cygaro. Jego palce natrafiły na kawałek papieru: „Klub golfowy w St Georges Hill.

Dziękujemy za nadesłanie rocznej składki”.

Zmiał kartkę i wyrzucił przez okno, jak gdyby zrywał ostatnią więź z przeszłością.

Zegarek pokazywał 10:00.

Właśnie weszło w życie diabelskie ultimatum.

6

Kiedy komitet Cromwell Dwa zebrał się, aby omówić szczegóły, związane z planem przejęcia władzy i utworzenia tymczasowego rządu wojskowego, jedno krzesło było puste.

— Gdzie jest Pyne? — spytał przewodniczącego jeden z ministrów.

Sir Michael Powell, stojący na czele administracji, podniósł głowę znad notatek.

— Prosił, żeby wybaczyć mu nieobecność, panie przewodniczący.

Zadzwoił do mnie wczoraj i powiedział, że nie będzie mógł przyjść na dzisiejsze spotkanie.

Przewodniczący skinął głową i spojrzął po kolei na dziesięć otaczających go osób.

— Zaczniemy, panowie?

Odpowiedział mu pomruk zgody.

Pierwszym punktem obrad była lista dwustu nazwisk, przygotowana przez szefa administracji. Ci ludzie mieli zająć najwyższe stanowiska w nowym rządzie. Kilka osób obecnych na spotkaniu, jak szef służb specjalnych, prezes BBC, generał sir Richard Markham i sir Oswald Fox, miało zachować obecne posady.

— Co się stanie, jeśli premier rozwiąże parlament, gdy Selkirk wezwie do strajku generalnego? — spytał prezes Niezależnej Komisji do spraw Środków Masowego Przekazu.

Mężczyzna, siedzący na honorowym miejscu przy stole, pokręcił głową.

— Nie odważy się tego zrobić. Nie zaryzykuje jeszcze jednej porażki. Postanowił przeczekać trudny okres. Nie śmiał nawet wprowadzić stanu wyjątkowego, bo bał się, że pałac nie wyrazi zgody.

— Chyba złoży rezygnację? — zapytał ktoś.

Przewodniczący uśmiechnął się.

— Tylko wówczas, gdy dojdzie do wniosku, że przegrał. To może potrwać jeszcze miesiąc. Do tej pory wyczerpią się nasze rezerwy w złocie i dolarach i będzie już za późno. Teraz ten stary sukinsyn prosi Boga, by zjawiła się jakaś dobra wróżka.

— Nikt ze zgromadzonych nawet nie zmarszczył brwi słysząc ten język.

— Bardzo dobrze — powiedział przewodniczący, zamykając posiedzenie. — Zaczniemy działać za tydzień.

Otworzono butelkę i wszyscy znamienici konspiratorzy wypili zdrowie królowej.

7

Czasami Howard Mitchell żałował, że poddał się namiętności i sprowadził mustanga ze Stanów Zjednoczonych. Samochód miał kierownicę z lewej strony. Trudno było wyprzedzać w nim inne

pojazdy na krętych, zwariowanych drogach Wielkiej Brytanii. Mitchell zmienił bieg i pełznął cierpliwie za cysterną z mlekiem w kierunku klubu golfowego. Właśnie zamierzał ją wyprzedzić, kiedy nagle nie wiadomo skąd pojawił się samochód z rejestracją z Manchesteru i pojechał z hukiem w przeciwnym kierunku.

Ciężarówka minęła zjazd do klubu golfowego, należącego do jednego z najbardziej ekskluzywnych osiedli w całym kraju. Kiedy Mitchell zaparkował i szedł do budynku, nie dostrzegł czarnego austina-rovera.

— Gdzie jest generał Pyne, Harry? — spytał Mitchell barmana.

— Nie mam pojęcia, panie Mitchell — odrzekł barman. — Nic nie rozumiem. Nikt nie wie, co się stało. Kiedy dziś rano otworzyłem bar, zastanawiałem się nawet, czy to rzeczywiście niedziela. Zaledwie trzech graczy na polu golfowym. — Barman spojrzał ze smutkiem na pusty lokal. Żył na przyzwoitym poziomie tylko dzięki napiwkom, które dostawał w niedzielne poranki.

Mitchell zamówił piwo i sączył je powoli.

— Czy zostawił dla mnie wiadomość?

Barman spojrzał na półkę za barem.

— Nie. Nic, panie Mitchell. Umówił się pan z nim na golfa?

— Właśnie. Ten, kto przegra, czyści oba baseny.

Barman uśmiechnął się uprzejmie. Boże, jakże nienawidził tych bogatych drani. Bez względu na to, co robił rząd, oni zawsze obrastali w tłuszcz. Nawet w czasie obecnego kryzysu posiadali więcej niż inni. Mitchell skończył drinka i wyszedł z klubu. Zatrzymał się przy mustangu. Była ładna pogoda, postanowił więc, że odwiedzi Pyne'a. Zadzwoił do drzwi i czekał.

Mitchell był nieśmiałym, trzydziestosiedmioletnim nowojorczykiem, właścicielem małej, ale prężnej agencji przewozowej.

Sukces zawdzięczał nie tyle głowie do interesów, co znajomości programu wydobycia ropy naftowej na Morzu Północnym. Ludzie podejrzewali, że za swobodnym sposobem bycia tego Amerykanina kryje się bezwzględność. Akceptowali jego ceny i proponowane terminy dostaw, gdyż ceny nie były wygórowane, a agencja zawsze dostarczała towar na czas. Howard Mitchell nie był bezwzględny — po prostu działał skutecznie.

Drzwi otworzyła córka Pyne'a, Maggie.

Mitchell spotykał ją przy wielu okazjach, kiedy Pyne zapraszał go do domu na drinka po niedzielnej partyjce golfa. Skończyło się to przed sześcioma miesiącami, po śmierci żony generała. Od tej pory spotkał dziewczynę tylko raz, w Weybridge, kiedy robiła zakupy. Towarzyszył jej kapral Gamet.

Maggie uśmiechnęła się ciepło do Amerykanina i otworzyła szerzej drzwi.

— Cześć, Mtch. Myślałam, że o mnie zapomniałeś.

Niewiele brakowało, a Mitchell wybuchnąłby śmiechem. Uroczą twarz Maggie Pyne była uwalana mąką.

— Przepraszam, że cię niepokoję, Maggie, ale umówiłem się na golfa z twoim ojcem, — Spojrzał z rozbawieniem na dziewczynę.

— Wygląda na to, że wydarzyła się tu mała katastrofa.

Maggie uśmiechnęła się.

— Właśnie przegrałam spór z mikserem—wyjaśniła, prowadząc go do kuchni. — Napijesz się kawy?

— Tylko jeśli obiecasz, że zaparzysz dla mnie cztery filiżanki.

W kuchni panował straszny bałagan. Wszędzie leżały kanapki o nieapetycznym wyglądzie, w wazie z ponczem pływało czekoladowe ciastko, a podłoga była zasypana cukrem.

— Co tu się dzieje, Maggie? — spytał Mitchell, kiedy dziewczyna trzymała czajnik pod strumieniem wody z kranu.

— Urządzą przyjęcie dla taty — powiedziała Maggie przepraszającym tonem. — Dziś są jego urodziny — chyba czterdzieste piąte — pomyślałam więc, że zrobię trochę ciastek.

— Nasypała kawę do ekspresu. — Robiłam wszystko według podręcznika i świetnie sobie radziłam, dopóki nie zaczęłam używać miksera.

Mitchell spojrział na mikser i próbował powstrzymać się od śmiechu.

— Korzystałaś z tego?

Maggie spojrzała z troską na urządzenie.

— Tak.

Mitchell rozejrzał się po kuchni. Wszystko było pokryte warstwą mąki.

— Bez pokrywy? — spytał.

Maggie zmarszczyła brwi.

— Jest do tego jakaś pokrywa?

— Kochanie, to jest przystawka do płynów. Nie powinno się jej używać bez pokrywy.

— Może byłoby lepiej, gdybym ograniczyła się do drinków — powiedziała ze smutkiem Maggie. — Umieć sobie poradzić z korkociągiem. Szkoda, że nie ma tu kaprała Gameta. On jest taki praktyczny.

— Czy zastałem twojego ojca?

Dziewczyna pokręciła głową i strzepnęła składniki ciasta z koszulki i džinsów.

— Wyjechał wczoraj razem z kapralem Gametem. Od tej pory ich nie widziałam. Mam nadzieję, że tata wróci do domu. Chcę mu zrobić niespodziankę. — Zobaczyła, że Mitchell kryje twarz w dłoniach. — To wcale nie jest zabawne — ucięła. — Sam byś spróbował gotować w taką pogodę.

Mitchell poważnie pokiwał głową i wydał jakiś dziwny dźwięk. Patrzył, jak Maggie przygotowuje kawę i zastanawiał się, jak by wyglądała w sukience. Mała figurę stworzoną do drogich strojów: była wysoka, szczupła, z ciemnymi włosami. Mitchell zastanawiał się, czemu dziewczyna nie wydaje na ubrania części pieniędzy odziedziczonych po matce. Jej pierwszym nabytkiem był sportowy samochód. Mitchell pamiętał narzekania Pyne'a w czasie partyjki golfa. — Na świecie jest zbyt wielu bogaczy i zbyt wielu biedaków — powiedział.

Mitchell roześmiał się.

— Samochód, generale? Nie powinien pan jej winić. Marzy o tym przecież każdy dzieciak.

— Ostatnio kupiła dom — mruknął Pyne.

— Cóż, w takim razie nie zmarnowała tych pieniędzy.

— Może i nie. Stała się jednak niezależna. Sądziłem, że po śmierci Helen zbliżymy się do siebie. Nigdy nie miałem czasu dla rodziny, a teraz, kiedy postanowiłem to zmienić, okazuje się, że moja rodzina już nie istnieje.

— Powinien pan zerwać z przeszłością — odrzekł Mitchell.

— Trzeba zmienić styl życia, dopóki wiek panu na to pozwala.

Pyne skinął głową.

— To nie byłoby trudne. Myślałem już o tym, żeby rzucić wszystko i spróbować osiągnąć coś w życiu. — Umieścił zreżniętą piłkę w siódmym dołku.

Mitchell był zdziwiony.

— Powiedziałbym, że ranga generała-majora to poważne osiągnięcie. Pyne roześmiał się.

— Karierę wojskową zrobiłem w biurze. Jestem pracownikiem administracji, „oblatywaczem biurek”, jak mówią moi koledzy z RAF-u. Nigdy nie brałem udziału w żadnej akcji i nie pamiętam, kiedy po raz ostatni nosiłem mundur. Nie jestem nawet pewny, czy mam mundur.

— Będzie pan jednak dowodził nową jednostką obrony platform wiertniczych?

— Och, tak — odrzekł niedbale Pyne. — Praca w Whitehall ma swoje dobre strony. Człowiek jest pod ręką, kiedy władze szukają kandydata na nowe atrakcyjne stanowisko.

Głos Maggie wyrwał Mitchella z zamyślenia.

— Czemu nie pijesz kawy?

Mitchell ostrożnie zamoczył usta. Maggie udało się zepsuć nawet kawę z ekspresu. Nigdy przedtem nie pił tak niedobrej kawy. Starał się jednak zachować powagę.

— Spróbuj się tylko roześmiać! — ostrzegła Maggie.

Mitchell odstawił filiżankę na spodek.

— Uwierz mi, Maggie, twoja kawa to nie powód do śmiechu.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem roześmiała się.

Mitchell jej zawtórował, kiedy poczuł, że stoi na bezpiecznym gruncie.

— Gdybyś tylko mógł zobaczyć własną minę — powiedziała Maggie.

Mitchell ruchem głowy wskazał talerze z kanapkami.

— Co zrobisz, jeśli twój ojciec się nie pojawi?

— Nakarmię nimi ptaki. Będzie mi przykro, jeśli nie wróci do domu.

Wydałam na jedzenie majątek. Zmusiłam kaprała, żeby oczyścił basen.

— Założę się, że był zachwycony — powiedział Mitchell.

— Jest prawie trzydzieści stopni w cieniu.

Maggie wzruszyła ramionami.

— To jego praca.

Ta niedbała odpowiedź utwierdziła Mitchella w przekonaniu, że brytyjski ustrój klasowy nie należy jeszcze do przeszłości.

Rozległ się huk, od którego zadrżały szyby w oknach.

— Przynajmniej RAF wciąż może sobie pozwolić na wywoływanie gromów — zauważył Mitchell. — O której urządzasz przyjęcie?

— O ósmej — odrzekła Maggie. — Jeśli wypijesz tę kawę bez robienia min, to mogę dopisać twoje nazwisko do listy dwudziestu zaproszonych gości.

— Oczywiście, że przyjdę, kochanie. Przyjęcie po ciemku zapowiada się wspaniale.

Maggie gapiła się na Amerykanina.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— O godzinie dziewiątej wyłączą prąd.

Maggie wyglądała na wstrząśniętą.

— Sądziłam, że prądu nie będzie tylko po południu.

Mitchell pokręcił głową.

— Zawsze staram się pamiętać, kiedy nie będzie prądu. Dziś jest niedziela. Światło włączą dopiero o północy. Jeśli mi nie wierzysz, posłuchaj radia.

Maggie nastawiła przenośne radio na lokalną londyńską stację.

Spiker opowiadał właśnie o ostatnich negocjacjach, które miały zapobiec strajkowi generalnemu.

— Dziwię się, że w tej sytuacji jeszcze nie wróciłeś do domu — powiedziała Maggie. — Jest tak, jak w latach siedemdziesiątych.

— Na szczęście nie dotyczy to platform na Morzu Północnym —

odrzekł Mitchell. — Dzięki odkryciu nowych złóż na Hebrydach przemysł naftowy błyskawicznie się rozwija. Należę do nielicznych ludzi, którzy nie wpadają w panikę. W Ameryce wszyscy zajmują się układaniem epitafiów. To niebezpieczne, kiedy pacjent wciąż żyje. Ludzie potrafią błyskawicznie wracać do zdrowia.

— Czym się właściwie zajmujesz? Nie wyglądasz na nafciarza.

— Kiedy ktoś pilnie potrzebuje sprzętu wiertniczego, ja wiem, w jaki sposób mu go załatwić.

Spiker przerwał wywiad z przywódcą związków zawodowych.

— Właśnie nadeszła wiadomość o poważnym wybuchu w rafinerii Thames Haven nad Tamizą koło Londynu.

— Zrób głośniej, Maggie — poprosił.

Dziewczyna posłuchała.

— Co się stało?

Mitchell gestem nakazał jej milczenie.

— Wybuch słyhać było w całym Londynie — mówił dalej reporter.

— Naoczni świadkowie twierdzą, że jedna straszna eksplozja zniszczyła całą rafinerię. Na Tamizie pojawiła się dwumetrowa fala pływowa...

Spiker przerwał. Uwaga Mitchella koncentrowała się na radiu.

— Mamy połączenie z Mike'em Bowdenem, który przebywa na miejscu katastrofy—powiedział dziennikarz.—Słyszysz mnie, Mike?

— Halo, Ted — rozległ się zniekształcony głos. — Widok w Thames Haven jest niewiarygodny. Cała rafineria została zmieciona z powierzchni ziemi. Pozostały tylko dymiące zgłiszczą. Policja zamierza ewakuować ludność z tego rejonu w obawie, że dojdzie do następnych wybuchów. Trudno jednak uwierzyć, że zostało tu coś, co mogłoby jeszcze wybuchnąć... Wygląda na to, że około stu czterdziestu pięciu pracowników...

Mitchell zaklął i skoczył na równe nogi.

— Co się stało? — spytała Maggie.

— Do diabła. Zostawiłem samochód. Maggie, wyświadczyć mi przysługę i podwieź mnie do klubu lotniczego Fair Oaks.

Trzydzieści minut później lecieli na wschód na wysokości pięciu tysięcy stóp w jasnyniebieskiej Bonanzie Mitchella. Kontrola lotów nie pozwoliła im zbliżyć się do rafinerii od strony Londynu.

Mitchell przyjrzał się mapom, które rozłożył na kolanie, i postanowił lecieć wzdłuż autostrady M 25, a potem skrócić na północ i przelecieć nad Tamizą kilka kilometrów przed rafinerią.

Maggie obserwowała go ukradkiem. W czasie krótkiej jazdy samochodem nie odpowiadał na pytania. Wolał słyhać wiadomości radiowych.

W samolocie unosił się lekki zapach gnijących odpadków.

— Nawet tu, w górze, czuje się ten odór — powiedziała Maggie.

Wyciągnęła się na fotelu i oparła nogi o tablicę rozdzielczą.

— Jesteś okropnym człowiekiem.

— Dlaczego? — spytał Mitchell, unosząc głowę znad mapy.

Maggie spojrzała na niego z udanym zdziwieniem.

— Wielki Boże, on żyje!

— Jeszcze jedna złośliwa uwaga, a wypchnę cię z samolotu i wrócisz do domu na piechotę. Dlaczego jestem okropny?

— Lecisz tam tylko po to, żeby rzucić okiem na wysadzoną rafinerię.

— Tak się składa, że w Thames Haven znajduje się mój nowy świder, który mam jutro zawieźć na platformę Nordic Queen — odparł spokojnie Mitchell. — Dopiero od jutra zaczyna obowiązywać polisa ubezpieczeniowa.

— Nie ubezpieczyłeś sprzętu? Czy to było rozsądne?

— Nastąpiła zwłoka w dostawie — powiedział Mitchell. — Wasi dokerzy w Southampton nie chcieli zająć się rozładunkiem.

Prefabrykowany import, tak to określili. Musiałem więc zapłacić za przewiezienie urządzenia do Thames Haven.

— Czy będziesz w stanie ocenić z powietrza stan urządzeń? — spytała Maggie.

— Na pewno. To dwieście ton stali w trzech częściach.

Maggie patrzyła na główne trasy wylotowe z Londynu. Upał sprawiał, że bezrobotni znajdując jakoś pieniądze na benzynę jechali na plażę.

— Czy z aparatami fotograficznymi radzisz sobie lepiej niż z mikserem? — spytał Mitchell.

— Pewnie.

Ruchem głowy wskazał tylne fotele. — W torbie znajdziesz kilka filmów. Włóż jeden z nich do aparatu.

— Powiedz „proszę”.

— Ani myślę. Możesz w ten sposób zarobić na benzynę, za którą muszę przez ciebie płacić.

Maggie westchnęła i zdjęła nogi z tablicy rozdzielczej. Potrafiła stopą przełączyć radiotelefonu.

Lotnisko w Londynie kilka razy starało się skontaktować z małym samolotem, który zbliżał się do strefy zamkniętej dla wszystkich pojazdów powietrznych od 09:45. Zielona kropka, pełnająca po ekranie, ignorowała jednak wezwania lub nie miała włączonego radia. Jeśli utrzyma obecny kurs, wkrótce przetnie cypel zakazanej strefy.

Zaprogramowano komputer tak, aby śledził ruchy samolotu.

Później kontrolerzy lotów zajęli się innymi sprawami; musieli kierować wszystkie samoloty zmierzające do Londynu na lotniska w Manchesterze.

Pół godziny później komputer ponownie zwrócił ich uwagę na zieloną kropkę, która zmieniła kurs i zmierzała prosto do zakazanej strefy nad Thames Haven.

Simpson powiadomił lotnisko, że premier interesuje się katastrofą w Thames Haven i chce, aby informowano go o wszystkich wydarzeniach — nawet błahych.

O dwunastej w południe kontroler lotów zadzwonił do Simpsona i powiedział, że nie zidentyfikowany samolot zbliża się do rafinerii. Simpson siedział przy biurku, zastanawiając się nad tym nieoczekiwanym obrotem sprawy. Postanowił nie ryzykować i sięgnął po słuchawkę.

O 12:10 samolot RAF-u typu Tornado ruszył z hukiem po pasie startowym i z wdziękiem zadarł dziób ku błękitnemu niebu. Na wysokości dwóch tysięcy stóp jego radar zlokalizował natrętną kropkę. Pilot przygotował do odpalenia dwadzieścia pocisków typu powietrze—powietrze, zawieszonych pod skrzydłami Tornado. Mitchell okazał się lepszym nawigatorem niż się spodziewał. Przed nim widniały chłodnie kominowe elektrowni nuklearnej Vulcan Hall, przypominające wieże ustawione na szachownicy bogów. Z lewej strony, dziesięć kilometrów od elektrowni, zauważył dymiące szczątki rafinerii Thames Haven. Kiedy Mitchell skręcił ku rafinerii, Maggie chwyciła go za rękę i wskazała elektrownię.

— Spójrz! Te dwa helikoptery! Jeden z nich należy do ojca! Ten oliwkowozielony!

Mitchell odwrócił się i spojrzał na elektrownię. Na betonowej płycie pomiędzy budynkami a rzeką stały dwa helikoptery, Bell Jet Ranger i Westland Scout.

— Jesteś pewna?

— To jego maszyna. Sądzę, że drugi helikopter należy do Hugh'a Pattersona.

Mitchell zatoczył szerokie koło. Bonanza znajdowała się mniej więcej sześć kilometrów od elektrowni — w połowie drogi pomiędzy nią a ruinami Thames Haven. Mitchella nie obchodziły helikoptery w elektrowni, ale wyglądało na to, że Maggie jest zaniepokojona. Koło helikopterów stały dwie cysterny. Wokół nich uwijały się jakieś postacie. Maggie miała słuszość, jeśli chodzi o Jet Rangera. Na pewno należał do Pattersona. Mitchell często widział, jak maszyna ląduje wśród drzew, otaczających dom przemysłowca w St Georges Hill. JetRangery były popularne w Stanach Zjednoczonych, ale rzadkie w Anglii.

— Czyż spółka Pattersona nie wytwarza pojemników na odpady nuklearne? Może pokazuje generałowi swoje produkty wykorzystywane w tej elektrowni?

Nie było to przekonujące wyjaśnienie, ale miał ochotę lecieć już do rafinerii. Wyprowadził samolot z zakrętu i ruszył w górę rzeki ku Thames Haven.

— Za elektrownią jest jakiś ośrodek wypoczynkowy czy coś w tym rodzaju — powiedziała Maggie, oglądając się za siebie.

— Cała Canvey Island wygląda jak ośrodek wypoczynkowy — zauważył Mitchell. — Jedno wielkie miasteczko fabryk, domków plażowych i przyczep kempingowych.

Lecieli dalej w górę rzeki.

Kiedy Bonanza znalazła się w odległości dwóch kilometrów od rafinerii, Mitchell zrobił pierwsze zdjęcie i zastanawiał się, czemu w dole nie widać pracowników służb ratowniczych.

— Widzisz coś? — spytała Maggie.

— Na razie nie. — Zrobił jeszcze jedno zdjęcie.

Bonanza leciała nad zdewastowanym terenem. Wśród poskręcanych, czarnych szczątków nie było ani śladu świdra. Wszystko to bardzo niepokoiło Mitchella.

Cztery razy zwolnił migawkę i właśnie zamierzał zrobić następne zdjęcie, kiedy Maggie dotknęła jego łokcia.

— Spójrz — wskazała na północ.

Odrzutowy myśliwiec Tornado znajdował się w odległości sześciu kilometrów. Mitchell rozpoznał go po ustawieniu skrzydeł.

Samolot skrzył gwałtownie ku Bonanzie, jak gdyby szykował się do ataku.

8

Piętnaście minut po eksplozji Pyne wyleciał z elektrowni Vulcan Hall na powietrzną inspekcję nowego obozu jednostki obrony platform wiertniczych, założonego wczoraj na Canvey Island.

Ręce spoczywające na sterach Scouta drżały mu, częściowo na skutek niedawnej potyczki z Lynxem, ale przede wszystkim z gniewu.

Nie spodziewał się, że wybuch pocisku Honest John spowoduje takie ofiary i zniszczenia. Tydzień temu, na ostatnim spotkaniu,

Keller zapewnił go, że w niedzielny ranek w rafinerii będzie zaledwie pięciu lub sześciu pracowników. Pierwsze policyjne sygnały, odebrane przez radio, sugerowały, że w czasie wybuchu w rafinerii przebywało prawie stu pięćdziesięciu ludzi. Zginęło również kilka osób, których domy znajdowały się w pobliżu zbiorników z paliwem.

Pyne spojrział w dół na lśniąca, szklaną fasadę biur elektrowni.

Keller, Patterson i Louise Campion obserwowali go najprawdopodobniej przez lornetki z sali kontrolnej, znajdującej się na najwyższym piętrze budynku.

Na pięćdziesięcioakrowym terenie elektrowni rozciągał się teraz obóz wojskowy, sięgający rzeki po obu stronach.

Wczoraj rozpoczęła się operacja „Strażnik Nafty”, a jej pierwszym celem było założenie obozu. Zgodnie z sugestią generała Pyne'a, potraktowano to zadanie jako okazję do ćwiczeń i zrealizowano je z rekordową szybkością. Praca rozpoczęła się wczesnym rankiem, kiedy konwój ciężarówek przywiózł sześciokilometrowe ogrodzenie z betonowymi słupkami. Dziesięć minut później przyjechały następne samochody. Jeden z nich wiózł piętnaście ton drutu kolczastego — wystarczyłoby go na ustawienie zasieków o długości dziesięciu kilometrów.

Do godziny 11:00 ogrodzenie było gotowe.

Wewnętrzny płot okrążał elektrownię w promieniu stu jardów, a dwieście jardów dalej wzniesiono ogrodzenie zewnętrzne. Na drodze ustawiono dwie bariery. Właściciele przyczep, stojących na terenie obozu, patrzyli bezradnie, jak żołnierze przyczepiają ich wakacyjne domki do landroverów i odholowują na bok. Przeniesiono również wiele domków plażowych.

O 11:45 buldożery wyrównały grunt, a żołnierze zaczęli wylewać na ziemię szybko schnący asfalt. Później oznaczono białymi liniami drogi, skrzyżowania i budynki.

Ciężki sprzęt, bez którego nie może istnieć żadna armia, dotarł do obozu po południu, kiedy zastępca Pyne'a, kapitan Peter Stacy, przeprowadził inspekcję ogrodzenia.

Sprzęt przybył w kilku ciężarówkach. Było to wyposażenie komunikacyjne z Zakładów Służby Łączności, jedna tona sprzętu noktowizyjnego i czujników alarmowych z Centralnego Punktu Kontroli Inwentarza, samochody opancerzone z Magazynu Wozów

Bojowych i dwa helikoptery bojowe typu Hueycobra, które przywieziono w dwóch ogromnych kontenerach razem z granatnikami i amunicją.

Do zamieszania doszło, kiedy zjawiły się dwie cysterny, nie figurujące w wykazie oficera dyżurnego. Do obozu przywieziono już paliwo. Kierowcy wyjaśnili, że ładunek przeznaczony jest dla elektrowni i pokazali żołnierzom listy przewozowe. Cysternom pozwolono przejechać przez obóz.

Mimo upału praca postępowała w szybkim tempie. Żołnierze byli zbyt zajęci, żeby się zastanawiać, dlaczego pracownicy elektrowni nie interesują się tym, co dzieje się wokół nich.

O 16:00 przywieziono z Głównego Magazynu sprzęt do oczyszczania wody. Później zjawił się długi konwój ciężarówek, wiozących dwieście ton żywności i ubrań — taka ilość wystarczy obozowi na najbliższe pięć lat.

O 17:30 kapitan Stacy obejrzał dokładnie obóz, trzymając w dłoni nieodłączny notatnik. Był zadowolony z wyniku inspekcji: domki stały w równych rzędach, pozaznaczano drogi i założono klomby. Zadzwoił do kwatery Pyne'a w szkole artylerii i powiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Pyne podziękował i czekał cierpliwie. Na jego kominku leżała lotnicza koperta. Słyszał, jak Gamet porusza się w sąsiednim pokoju. O 20:00 Pyne przestawił telefon na stolik do kart, gdyż za pół godziny spodziewał się następnego nie zapowiedzianego telefonu od Stacy'ego. Telefon zadzwonił, kiedy po raz dwudziesty rozkładał karty. Wyglądało na to, że Stacy jest zdenerwowany.

— Przepraszam, sir, że pana niepokoję, ale mamy problem.

— Mam nadzieję, że niezbyt poważny, kapitanie?

Stacy przerwał.

— Nie jestem pewien, sir. Właśnie przyjechał konwój z Królewskiej Fabryki Artylerii z ładunkiem cyklonitu HE, który nie figuruje na naszej liście.

— Niech im pan każe zawieźć go z powrotem — uciał Pyne, zastanawiając się, czy wystarczająco dobrze udaje. Najwyraźniej tak, bo Stacy odpowiedział zmartwionym tonem: — Kierowcy nie mogą tego zrobić, bo nie załatwiono im policyjnej eskorty na podróż powrotną. Spodziewali się, że wrócą pustymi ciężarówkami.

— Ile tego jest?

Stacy zawahał się, zanim odpowiedział:

— Dwanaście ciężarówek.

— Z pełnym ładunkiem?

— Tak, sir — odrzekł Stacy nieszczęśliwym tonem. Operacja aż do tej pory przebiegała bez zakłóceń. — Jest tam kilkaset ton materiału wybuchowego i kilkanaście skrzynek z detonatorami.

Pyne wybuchnął.

— Wielki Boże, człowieku, kto, do diabła, podpisał zamówienie?

— To wygląda na pański podpis, sir.

Pyne doszedł do wniosku, że w tym momencie powinien na chwilę przerwać.

— Rozumiem — powiedział powoli. — Zgaduję więc, że nie sprawdził pan ładunku, zanim go pan przepuścił.

— Dobrze pan zgaduje — odrzekł Stacy.

Pyne zauważył, że ton kapitana był trochę bezczelny. W tych okolicznościach nie mógł go za to winić.

— Czy podpisał pan faktury?

— Nie, sir. Pomyślałem, że najpierw skontaktuję się z panem.

Pyne znów przerwał, a potem powiedział:

— I cóż? Co pańskim zdaniem powinniśmy zrobić z tym materiałem wybuchowym?

— Nie wiem, sir. Nie chciałbym mieć w obozie czegoś takiego

— Stacy mówił to z nadzieją, jak gdyby był pewny, że Pyne znajdzie rozwiązanie.

Generał uśmiechnął się lekko. Rozmowa przebiegała tak, jak sobie tego życzył.

— No dobrze, Stacy — powiedział w końcu. — Zostaw to mnie.

Zadzwoń za dziesięć minut.

— Dziękuję, sir — rzekł z ulgą kapitan.

Pyne odłożył słuchawkę, poczekał siedem minut, a potem zadzwonił.

— Keller? Tu Pyne. Mniej więcej za pół godziny dostaniecie materiał wybuchowy. Kapitan Stacy zapyta, gdzie można go umieścić.

Proponuję, żebyś zasugerował jakieś pomieszczenie w pobliżu tuneli...

Keller, czy ktoś ci się przyglądał, kiedy cysterny przejeżdżały przez obóz?

Odpowiedź Kellera była zadowolająca. Pyne przerwał połączenie i zadzwonił do Stacy'ego.

— Rozmawiałem z Zarządem Energetyki. Może pan umieścić materiał wybuchowy w elektrowni, dopóki nie załatwię dla niego transportu. Szef zaopatrzenia znajdzie odpowiednie pomieszczenie.

Trzydzieści minut później żołnierze przenieśli pięć tysięcy skrzynek cyklonitu do elektrowni atomowej Vulcan Hall. Kapitan Stacy zasnął tej nocy spokojnie w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Nie zdziwiło go nawet, że Zarząd Energetyki zgodził się na przechowywanie w elektrowni tak dużej ilości materiału wybuchowego.

Kiedy Pyne patrzył z helikoptera w dół, musiał przyznać, że Stacy wykonał wspaniałą robotę. Obozowisko w kształcie litery U było przykładem tego, jak powinien wyglądać obóz wojskowy.

Posadził Scouta na samym środku lądowiska i unikał niespokojnego spojrzenia Stacy'ego, który cofnął się przed podmuchem śmigła.

Kapitan otworzył drzwi Pyne'owi. Generał wyszedł na ubitą ziemię, na której wciąż było widać ślady wczorajszej pracy buldożerów.

Rozejrzał się z zainteresowaniem.

— Świetnie pan się spisał, Stacy — powiedział.

Zaniepokojony Stacy trochę się uspokoił.

— Przez ostatnie 24 godziny mieliśmy dużo pracy, sir.

— Wyobrażam sobie — rzekł Pyne, wsiadając do landrovera.

Stacy zawahał się, zanim uruchomił silnik. — Na pewno widział pan wybuch, sir?

— Tak — odrzekł obojętnie Pyne.

— Policja prosiła nas o pomoc.

— Oczywiście. — Pyne miał ochotę zmienić temat. Wyciągnął rękę.

— Co robisz ci ludzie?

— Sprawdzają zakwaszenie gleby, sir. Ustalają, jakie rośliny i krzewy mogą tu wyrosnąć.

Chryste! — pomyślał Pyne.

Inspekcja zakończyła się w samym środku obozu — w pokoju operacyjnym, po obu stronach którego widniały ekrany radarów. Na jednej ze ścian wisiała mapa Morza Północnego, sięgająca od sufitu aż do podłogi.

Stacy przeglądając notatki, chrząknął nerwowo.

— Sir, pamięta pan pewnie, że dzwoniłem wczoraj wieczorem w sprawie dużej ilości materiału wybuchowego, przysłanego z Blackburn?

Pyne spojrział chłodno na kapitana.

— I co?

— Obawiam się, że o północy nadeszła nowa dostawa — wyznał Stacy, tak jak gdyby to była jego wina. — Przesłano cztery duże kontenery od prywatnych kontrahentów. Kierowcy powiedzieli, że nie odważą się zabrać tego z powrotem bez podpisu naczelnego oficera na sześćdziesięciu czterech formularzach.

Pyne wyciągnął rękę i wziął od Stacy'ego stos dokumentów.

Pierwszy dokument wyliczał różne rodzaje konserw, ubrania i rzeczy osobiste. Druga lista wyszczególniała sprzęt radarowy, czujniki wykrywające intruzów oraz broń ręczną — wszystko to stanowiło uzupełnienie dostaw z Centralnego Magazynu.

— Magazynier z elektrowni to przyzwoity facet — powiedział Stacy, zastanawiając się, czy Pyne wpadnie we wściekłość.

— Powiedział, że mogę umieścić te rzeczy w elektrowni obok materiału wybuchowego.

Generał włożył dokumenty do kieszeni.

— Bardzo dobrze, Stacy. Jutro porozmawiam o tym z wydziałem zaopatrzenia. Teraz chciałbym przemówić do ludzi.

— Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinien pan wiedzieć. Pyne westchnął.

Stacy mówił dalej.

— Żaden pracownik elektrowni nie przechodził przez obóz. Nie musieliśmy wydać ani jednej przepustki.

— W porządku, kapitanie. Nie chciałem, żeby chodzili po obozie. Zabrała ich łódź. Nie wrócą tu, bo trzeba jeszcze wykonać pewne prace konstrukcyjne, a inżynierowie zastrajkowali. Elektrownia została zamknięta. Właśnie dlatego postanowiłem zamieszkać w kwaterze magazyniera, dopóki nie przyjedzie moja przyczepa.

Przez 10 minut Pyne przemawiał do żołnierzy. Podkreślił, że prawdziwe cele obozu są ściśle tajne. W razie potrzeby żołnierze mieli ruszyć na pomoc każdej platformie wiertniczej zagrożonej przez terrorystów, krążyły jednak pogłoski, że w przyszłości jednostka stanie się czymś w rodzaju francuskiej CRS. Na razie oddział pozostaje pod

bezpośrednią kontrolą rady ministrów i może działać tylko na jej rozkaz. Na znak

Pyne'a Stacy pokazał nowe umundurowanie i opisał siatkę płac. Większość żołnierzy mogła się spodziewać pięćdziesięcioprocentowej podwyżki. Kiedy Stacy skończył mówić, wszyscy się uśmiechnęli. — Jeszcze jedna sprawa — powiedział Pyne. — Ze względu na niepokoje w kraju, w każdej chwili może nadejść rozkaz podjęcia akcji. Musimy być w pogotowiu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, obawiam się więc, że nie ma mowy o przepustkach i telefonach do domu — uśmiechnął się. — Jest dosyć gorąco. Jeśli przyjrzyście się artykułowi w domku 52... — przerwał i spojrzał na Stacy'ego — ...w domku 15, to przekonacie się, że jest to przenośny basen wraz ze sprzętem filtrującym i oczyszczającym.

9

Dopiero po dotarciu na stację Waterloo kapral Gamet zamknął się w toalecie i odważył otworzyć teczkę Pyne'a. Zgodnie z obietnicą generała, znalazł w niej papiery demobilizacyjne i list do banku Midland. Był tam również czek na wysoką sumę, pismo do władz portowych z zawiadomieniem, że siedmiometrowa łódź typu „Freeman” przechodzi od tej pory na własność Iana Gameta, pęk kluczy, portfel z bezużytecznymi dla kaprała kartami kredytowymi oraz 500 funtów w gotówce.

Oszołomiony kapral włożył dokumenty z powrotem do teczki, schował pieniądze do kieszeni i wyszedł z toalety, nie pociągnąwszy nawet za obskurny sznurek przy spluczce.

Spacerował koło stacji, nie wiedząc, co robić. Na peronach stały tablice informacyjne. Kolej brytyjska z żalem zawiadamiała klientów, że z powodu strajku nie może zapewnić normalnych usług. Nie działały nawet świetlne tablice przyjazdów i odjazdów.

Generał wspomniał o córce, Maggie. Na samą myśl o dziewczynie Gamet skulił się ze wstydu. Zawsze traktowała go jak służącego.

Musiał nosić jej zakupy, czyścić basen w czasie upału.

Dziwka, pomyślał wściekle Gamet. Wredna, wyzywająca, mała dziwka.

Następny pociąg do Weybridge odchodził dopiero jutro.

Gamet postanowił spędzić noc w Londynie. Znajdzie sobie , kobietę — szczególnie kobietę, która zgodzi się zrobić wszystkie rzeczy, za które wymagana jest zwykle dodatkowa zapłata. Musnął i zwitek pieniędzy w kieszeni, rozkoszując się myślą, że teraz może sobie pozwolić na coś specjalnego.

Córka generała będzie musiała poczekać.

10

Lecąc z obozu do elektrowni Vulcan Hall, Pyne musiał tylko wznieść Scouta na wysokość dwustu stóp, ominąć wieże chłodnicze i wylądować na betonowej płycie pomiędzy JetRangerem Hugh'a Pattersona a dwoma cysternami.

Siedział w fotelu, patrzył na coraz wolniejsze obroty śmigła i zdecydował się na bezpośrednią konfrontację z Kellerem. Fizyk dowodził przecież w sali kontrolnej. Powinien ostrzec Pyne'a, że zbliża się do niego wojskowy helikopter. Trzeba to od razu załatwić: nie można pozwolić, żeby Keller podrywał autorytet generała.

Louise Champion wyszła przez oszklone drzwi elektrowni i ruszyła w kierunku Scouta. Pyne patrzył na nią i zastanawiał się, co powinien powiedzieć Kellerowi.

Louise Champion była najlepszym radiobiologiem w kraju. Ta kobieta, kilka lat młodsza od Pyne'a, zawsze ubierała się nienagannie. Świetnie skrojone stroje przesłaniały trochę zbyt zaokrągloną sylwetkę. Długa walka o zawodową pozycję w świecie mężczyzn pozostawiła na niej ślady: niełatwo nawiązywała kontakty z innymi ludźmi. Pyne spotykał się wiele razy z Louise Champion, wspólnie planowali przejęcie władzy w kraju, a mimo to wciąż miał wrażenie, że niewiele o niej wie.

— Niepokoiłiśmy się, że jesteś zbyt blisko wybuchu — powiedziała, kiedy wysiadł ze Scouta.

— Dziękuję, Louise, ale helikopter marynarki wojennej był jeszcze bliżej — odrzekł ironicznie Pyne. — Ta cholerna maszyna próbowała mnie zestrzelić.

— Czy Ralph cię nie ostrzegł? — wyglądało na to, że była szczerze zdziwiona.

— Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Powiedz Hughowi i Kellerowi, że natychmiast muszę się z nimi spotkać.

Przez szklane ściany sali kontrolnej widać było krajobraz wokół elektrowni. Na południu płynęła Tamiza, na wschodzie wznosiły się cztery wieże chłodnicze, a na północy rozciągał się kompleks elektrowni i nowy obóz wojskowy. Kiedy elektrownia była jeszcze w użyciu, kierowano nią znad małych pulpitych obok głównej konsoli w pobliżu stołu, przy którym siedzieli teraz czterej terroryści. Na wózku przy stole stał radar. Promień, zataczający koło po ekranie, zaznaczał ujście

Tamizy.

Pyne podniósł głowę znad dokumentów i napotkał spojrzenie Kellera.

— Czy telewizja przemysłowa pracuje bez zakłóceń?

Keller uśmiechnął się.

— Doskonale, generale.

— A radar?

Keller skinął głową w kierunku ekranu.

— Może pan sam zobaczyć — odrzekł.

— Jeśli Hugh Patterson i panna Champion mogą odpowiadać na pytania, to pan również.

Keller spojrział na Pattersona i Louise Champion.

— Radar jest sprawny, generale.

— W takim razie czemu, do diabła, nie uprzedził mnie pan o Lynxie?

— spytał Pyne.

— Więc to był Lynx? Nie udało mi się go zidentyfikować — Keller uśmiechnął się do Pyne'a. — Nie widzieliśmy go zbyt dobrze, bo byliście za daleko, ale wyglądało na to, że świetnie pan sobie radził.

Spokojny ton Kellera doprowadzał Pyne'a do szału.

— Mogliście mnie ostrzec przez radio! — uciął.

Keller wyglądał na urażonego.

— Bardzo mi przykro, generale. Skąd jednak mogłem wiedzieć, że helikopter zamierza pana zaatakować? Myślałem, że to rutynowy lot — incydent miał miejsce wkrótce po dostarczeniu ultimatum, zbyt wcześnie, żeby rząd zdążył zamknąć ruch powietrzny. Teraz to oczywiście zrobili.

Spokojne zachowanie Kellera irytowało Pyne'a. Miał ochotę uderzyć tego człowieka.

— Przypuszczam, że słyszeliście o rafinerii? — powiedział chłodno.

— Tylko tyle, że trafiliśmy w cel. Może pan zobaczyć ruiny z dachu budynku, w którym mieści się maszyna paliwowa.

— Zginęło stu czterdziestu pięciu pracowników — rzekł Pyne lodowatym tonem.

Hugh Patterson wyglądał na zszokowanego. Louise Champion zbladła.

— To straszne — powiedział Keller, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. — Ci ludzie nie zginęli jednak na próżno. Ich śmierć przekona rząd, że nie żartujemy. — Keller unikał ich spojrzeń. — Uznaliśmy, że taki gest dowiedzie naszej determinacji. Nie mogliśmy dopuścić, żeby rząd myślał, że blefujemy. Poza tym przyjrzyjcie się tunelom inspekcyjnym.

Przygotowaliśmy się przecież do tego, by uśmiercić miliony ludzi.

Pyne zamknął oczy.

— Dobrze się pan czuje, generale? — spytał Keller. Pyne otworzył oczy. Keller przyglądał mu się z troską. Generał żałował, że nie potrafi zrozumieć tego człowieka. Spojrzał na Hugh'a Pattersona, który czekał cierpliwie, aż będzie mógł się odezwać. Patterson był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, obdarzonym sporym poczuciem humoru. Jego mała fabryka, położona koło Londynu, walczyła o byt w latach pięćdziesiątych, dopóki Patterson nie postanowił zająć się produkcją pojemników na odpady radioaktywne. Od tej pory wiodło mu się coraz lepiej, a obecnie był jednym z największych dostawców przemysłu

atomowego. Kiedy Keller przyjechał ze Stanów Zjednoczonych, Patterson zaproponował mu stanowisko dyrektora do spraw technicznych. Keller dobrze wypełniał obowiązki, chociaż nie zgodził się wrócić do Ameryki.

— Hugh? — spytał Pyne.

Patterson chrząknął.

— Wszystko poszło zgodnie z planem, Conradzie. Materiał wybuchowy jest na miejscu. Schowaliśmy zapasy, w tym te , cholerne konserwy. Dostarczono je nam, tak jak obiecałeś. Kapitan Stacy bardzo chciał się ich pozbyć. Muszę ci pogratulować, bo trafnie wybrałeś oficera — Patterson wyszczerzył zęby do Pyne'a.

— Gdzie są zakładnicy? — spytał Pyne.

Patterson zawahał się i spojrzał na Kellera.

— Wypuściłem ich — powiedział Keller.

— Stacy powiedziała, że nie przechodzili przez obóz.

— Odplynęli łodzią — odrzekł Keller, patrząc prosto w oczy rozmówcy.

— Louise?

— Poziom promieniowania w elektrowni jest normalny — powiedziała Louise Champion. — Zainstalowałam dodatkowe monitory wokół reaktorów. Chciałabym jednak zbadać nas wszystkich za dwa tygodnie, kiedy już się tu zadamowimy i przygotuję aparat rentgenowski. — Uśmiechnęła się. — Będę się od was domagała próbki moczu, krwi i tkanki płucnej.

Pyne uśmiechnął się i zajrzał do notatek.

— Czy wszyscy znaleźliście jakiś pretekst, żeby wyjaśnić nieobecność w pracy?

Louise Champion skrzywiła się.

— Zaczęłam pracować w Europejskiej Radzie Badań Nuklearnych.

Słyszałam, jak ktoś z mojego wydziału powiedział, że prawdopodobnie wyjeżdżam, aby znaleźć męża.

Wszyscy się roześmieli.

— Wiecie, może zainteresuję się mężczyzną, który wynajął mój dom.

— Ralph i ja udaliśmy się w podróż dookoła świata, żeby poszukać nowych rynków — powiedział Hugh Patterson. — Tymczasem moja była żona pełni obowiązki prezesa.

Pyne skinął głową. Zanim się odezwał, przyjrzał się uważnie pozostałym.

— Rozmawialiśmy o tym wiele razy, chciałbym jednak zapytać, czy teraz, kiedy jesteśmy już w elektrowni, ktoś z was ma jakieś wątpliwości? Jeśli tak, to nadszedł właściwy moment, żeby się do tego przyznać.

Nikt się nie odezwał.

— Czy ktoś martwi się, że być może pozostaniemy tu bardzo długo?

Znow zapadła cisza.

— Mam nadzieję, że nie będzie to pięć lat — powiedział Pyne.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyjdziemy stąd za rok. Jeżeli jednak nie jesteście gotowi na to, żeby spędzić tu pięć lat, to powiedzcie o tym teraz.

Odpowiedziało mu milczenie.

Pyne złożył notatki i wstał.

— Hugh, chciałbym, żebyś zabrał mnie na inspekcję.

— Wszystko wyglądało tu tak, jak na moich planach — powiedział Patterson, prowadząc Pyne'a po schodach pod betonową płytą. Kręcił przez chwilę kołem szyfrowym, przymocowanym do grubych drzwi. Obaj mężczyźni złapali za koło i mocno pociągnęli.

Owalne, zwężające się ku górze drzwi, wyglądające jak ogromna wtyczka w ściennym kontakcie, otworzyły się. Przejście było tak wąskie, że mieścił się w nim tylko jeden człowiek. Przypominało Pyne'owi wejście do piwnic bankowych. Patterson wszedł pierwszy, a potem pomógł generałowi.

— Jest tu zainstalowane urządzenie, dzięki któremu nie można zaryglować od zewnątrz drzwi, kiedy ktoś przebywa w środku — powiedział Patterson, zatraskując ciężkie wrota.

Znajdowali się w betonowym tunelu o wysokości mniej więcej dwóch metrów. Po obu stronach widniały lampy w drucianych oprawach. Wzdłuż ścian ułożono zbrojone kable zasilania. W tym klaustrofobicznym otoczeniu kroki obu mężczyzn wydawały się dziwnie ciche.

— W jaki sposób dochodzi tu powietrze?

Patterson wskazał w górę. W ciemności krył się otwór w suficie.

— Wentylatory — wyjaśnił.

— Czy posłużyliście się zakładnikami, żeby przenieść materiał wybuchowy tam, gdzie planowaliśmy? — spytał Pyne.

— Tak — odrzekł z wysiłkiem Patterson. — Mamy tu...

— Byli chętni do współpracy?

Patterson zawahał się.

— Tak. Keller zadbał o to.

Pyne dostrzegł strach Pattersona.

— Co zrobił?

— Conradzie, ja...

— Co on zrobił?!

Patterson spojrzał na betonową podłogę.

— Zastrzelił jedną osobę.

— Jezu Chryste — wymruczał Pyne. — Dlaczego?

— Dziewczyne... Właśnie tutaj. Spójrz — Patterson wskazał na

podłogę. Widniała tam duża, brązowa plama, która rozlała, się szeroko na betonie. Dookoła pełno było śladów stóp w tym samym kolorze. Prowadziły wzdłuż tunelu i znikaly za zakrętem.

Pyne podniósł kilka dziewięciomilimetrowych łusek.

— Dlaczego? — powtórzył spokojnie.

Patterson odwrócił głowę, nie chcąc patrzeć Pyne'owi w oczy.

— Zszedłem na dół, kiedy usłyszałem strzał. Pracownicy elektrowni powiedzieli, że dziewczyna upuściła skrzynię, co spowodowało zator. Keller stwierdził, że próbowała się na niego rzucić.

— Komu wierzysz?

— Kellerowi. Nie wyobrażam sobie, żeby zrobił komuś krzywdę, gdyby nie został sprowokowany.

Pyne patrzył na plamy krwi na ścianie i suficie.

— Naprawdę, Hugh? Jeśli tak, to znasz się na ludziach gorzej niż sądziłem.

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę.

— Pokażę ci ładunki — powiedział w końcu Patterson, skręcając w jedną z odnóg tunelu.

Odpady radioaktywne przechowywano w pojemnikach z nierdzewnej stali, umieszczonych w trzech kontenerach o łącznej pojemności 100 000 metrów sześciennych. Każdy kontener miał osłonę z betonu i ołowiu. Woda, pompowana pod wysokim ciśnieniem, odprowadzała ciepło z niebezpiecznej cieczy, która kipiała i spalała własną, pierwotną energię. Zanim śmiertcionośne izotopy plutonu i strontu przestaną zagrażać środowisku, upłynie dziesięć razy więcej czasu niż od dnia, w którym położono pierwszy kamień przy budowie wielkiej piramidy.

— Tego plany nie pokazywały — zauważył Pyne.

— Uprzedzałem cię — odrzekł Patterson. — Zieloni Wojownicy nie pozwolili wywieźć tych materiałów na składowisko.

Złożono je na razie tutaj, aż do chwili, w której sąd podejmie decyzję. Generał skinął głową. W zeszłym miesiącu pięciu Zielonych Wojowników zginęło w czasie demonstracji na składowisku w Midlands. W rezultacie kierowcy ciężarówek, przewożących pojemniki z odpadami, odmówili dostarczenia ładunku.

W tunelu inspekcyjnym koło silosów znajdowały się monitory, wyświetlające dane dotyczące promieniowania. Takie urządzenia będą tu potrzebne przez najbliższe czterdzieści pięć tysięcy lat.

Pyne poszedł za Pattersonem do tunelu, prowadzącego w dół pod silos. Hałas, który zwrócił jego uwagę zaraz po wejściu do podziemi, stał się teraz głośniejszy. Zapytał Pattersona, co to jest,

— To system chłodzenia. Dźwięk ten wydaje woda, przepływająca przez zewnętrzne osłony — wyjaśnił Patterson. — Energia dostarczana jest do pomp bez przerwy. Władze nie odważą się odciąć prądu, dlatego podłączyliśmy się do tej linii i wykorzystujemy ją dla naszych potrzeb.

— To dziwne, że okupujemy elektrownię i niepokojymy się, że mogą nam wyłączyć prąd — zauważył kwaśno Pyne.

Patterson machnął ręką.

— Co sądzisz o naszych przygotowaniach?

Pyne był pod wrażeniem. Kartony z cyklonitem ustawiono w równych rzędach wzdłuż ściany tunelu inspekcyjnego. Łączył je kabel, podłączony do detonatora z boku każdego pudła. Na każdej skrzynce widniał numer ewidencyjny i wzór chemiczny nitrowanej sześciometylenoczteroaminy — jednego z najsilniejszych materiałów wybuchowych.

Rząd szarych pudeł sięgał aż do odległego końca tunelu, gdzie skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Pyne zauważył plamy krwi wokół stalowego luku w ścianie.

— Co tam jest, Hugh?

— To po prostu rura, w której umieściliśmy cyklonit.

Jego dziwny ton zaniepokoił Pyne'a. Położył rękę na pokrywie luku.

Patterson zbliżył się i chwycił go za ramię.

— Lepiej tego nie rób, Conradzie.

Odepchnął Pattersona, otworzył luk i spojrzał w ciemną czeluść.

Niczego nie zauważył.

— Podaj mi latarkę, Hugh.

Patterson niechętnie wręczył mu latarkę. Wąski promień oświetlił rząd szarych kartonów, znikający w ciemności. Widać było ślady świeżej krwi, która błyszczała w świetle latarki. Pyne wpłynął do otworu i zaświecił. Dziesięć jardów dalej kartony zmieniły kolor.

Ktoś na nich coś położył. Była to naga dziewczyna, odwrócona twarzą w dół. W jej plecach widniało kilka dziewięćmilimetrowych otworów. Spróbował podnieść dziewczynę, ale szło mu to z trudem, jak gdyby była przymocowana do pudeł. Pociągnął mocniej. Ciało odwróciło się, a towarzyszył temu niesamowity dźwięk. Z przodu nie

zostało prawie nic: w miejscu piersi i klatki piersiowej ziała dziura, wyrwana przez pociski. Kobieta była mniej więcej w wieku Maggie. Pyne czuł się otepiały i zmęczony. Patrząc na okaleczone ciało dziewczyny zrozumiał jaśniej niż do tej pory, że weszli na ścieżkę, z której nie ma odwrotu. Kiedy wychodził, Patterson przyglądał mu się z troską.

— Znalazłeś ją?

— Tak. — Oddał Pattersonowi latarkę. — Czemu jest naga?

— Jeden z pracowników narzekał na gorąco. Myślę, że Keller kazał im się rozebrać.

Pyne zacisnął zęby. Wyobraził sobie tę scenę: milczący, spoceni pracownicy elektrowni podają sobie ciężkie pudła. Zmęczona dziewczyna upuszcza jeden z kartonów, a wówczas w ciasnym tunelu rozlega się huk wystrzału sterlinga. Ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów — bez wątplenia pociski rzuciły ją na ścianę tunelu.

Usiadł na jednym z kartonów.

— Od jak dawna Keller dla ciebie pracuje?

— Od pięciu lat.

— I nigdy nie zauważyłeś...?

— Jest znakomitym fizykiem — bronił się Patterson. —

Potrzebowaliśmy go. — Przerwał i spojrzał na luk. — Keller powiedział, że dziewczyna się na niego rzuciła.

— Strzelono jej w plecy.

— Nie mów głupstw, Conradzie.

— Przyjrzyj się uważnie. Jej pierś to jedna wielka rana wylotowa. Patterson usiadł koło Pyne'a i patrzył w ścianę. Nie wiedział, co powiedzieć.

— On oszalał — rzekł krótko Pyne. — Pieprzony wariat.

Patterson spojrzał na niego. Oficerowie rzadko przeklinali.

— Czyż my wszyscy nie jesteśmy szaleni? — zapytał spokojnie.

Pyne wstał.

— Skończmy wreszcie inspekcję — powiedział ostro.

Przez następne pięć minut obaj mężczyźni badali czujniki IRIS, czyli podczerwony system wykrywania intruzów, który został wyłączony na czas inspekcji. Czujniki zainstalowano w tunelu w regularnych odstępach. Kiedy ktoś się tu pojawi, ciepło jego ciała sprawi, że w sali kontrolnej włączy się alarm.

Właśnie zamierzali wejść do ostatniego tunelu, kiedy usłyszeli trzaski dochodzące z najbliższego głośnika.

— Dostrzeżliśmy w pobliżu dwa samoloty — mówił metaliczny głos Kellera. — Jeden z nich znajduje się w odległości piętnastu kilometrów i leci szybko w naszym kierunku, drugi jest o wiele bliżej. To samolot typu Bonanza i zmierza prosto ku nam. Wygląda na to, że nie posłuchano naszych instrukcji. Proponuję, żeby za pięć minut wystrzelić drugi pocisk Honest John.

11

Arnoldowi Cox-Spenderowi wiek nie pozwalał już uprawiać seksu. Pozostały mu w życiu tylko nieliczne przyjemności. Należały do nich poranki spędzone w łóżku, kiedy czytał niedzielne gazety i szukał w nich swojego nazwiska.

Zawsze przeglądał najpierw kolorowe dodatki, tak jak dziecko sięga natychmiast po najbardziej jaskrawy kamyk. Może to i lepiej, że niedzielne gazety stają się coraz cieńsze—dzięki temu nie musi długo szukać. Znow jednak nazwisko Cox-Spendera nigdzie się nie pojawiło. Poczł zapach dochodzący z kuchni. Wstanie na lunch i przypomni gospodyni, że powinna włączać wentylator.

Nagle rozległ się huk, od którego zadrżały szyby.

Właśnie układał w myśli skargę do Naczelnego Dowódcy Sił Powietrznych, kiedy zadzwonił telefon przy łóżku.

Podróż do Londynu w samochodzie, przysłanym z Downing Street przez znenawidzonego Simpsona, trwała krótko. Kiedy zbliżali się do skrzyżowania, światła zmieniały się natychmiast na zielone. Cox-Spender pomyślał, że sprawa musi być pilna, jeśli osobisty sekretarz premiera przysłał po niego samochód.

Usiadł na brzegu fotela, nie chcąc, żeby garnitur przylepił mu się do ciała. Nie mógł się wykapać, bo gospodyni zgromadziła w obu wannach zapas wody do picia. Otworzył okno, ale zapach nie wywożonych śmieci był nie do zniesienia. Zauważył, że głupi kierowca zamierza podjechać do Whitehallu od strony Trafalgar Square. Kilka razy postukał z irytacją w szybę, zanim zauważył mikrofon.

— Downing Street znajduje się po przeciwnej stronie, naprzeciwko

Richmond Terrace — powiedział trzy razy, ale dopiero za trzecim razem przycisnął guzik. To był najwyraźniej niedzielny kierowca, który nie znał Londynu.

— Tak, sir — odrzekł kierowca, który znał Londyn lepiej niż Cox-Spender. — Kazano mi jednak przywieźć pana od tej strony. Samochód zatrzymał się przed starym budynkiem admiralicji, czterysta metrów od Downing Street. Na spotkanie wyszedł Simpson.

— Dzień dobry, Spender.

Asystent doradcy premiera najeżył się. Nie cierpiał Simpsona, a jednym z powodów było to, że sekretarz nigdy nie używał jego pełnego nazwiska. Z pewnością tylko do premiera mówił „sir”.

— O co chodzi, czemu ściągacie mnie tu w niedzielę? — spytał Cox-Spender, starając się strącić z ramienia rękę Simpsona, który prowadził go do budynku.

— Obawiam się, że musimy pójść tunelem — powiedział Simpson przepraszającym tonem. — Wszystkie korytarze są zablokowane. To te nowe środki bezpieczeństwa, rozumie pan.

Cox-Spender zastanawiał się, czy matka Simpsona kochała syna. W połowie drogi minęli boczny tunel, prowadzący pod parkiem St James do pałacu Buckingham. Nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek z niego korzystano. Na wszelki wypadek dostęp do tunelu broniła masywna, żelazna brama. Klucz do niej zaginął: jeszcze w czasach imperium.

Po przejściu dwustu metrów Cox-Spendera rozboleły nogi, brnął jednak dalej, nie chcąc okazać słabości przed tym wstrętnym Simpsonem.

— Słyszał pan o rafinerii Thames Haven? — spytał Simpson.

— Nie. O co chodzi?

— Czterdzieści pięć minut temu terroryści wysadzili ją w powietrze. Simpson uśmiechnął się, widząc przerażoną minę Cox-Spendera. Dziesięć minut później wchodzili do prywatnego gabinetu premiera. Polityk siedział przy biurku. Nie wstał, żeby powitać asystenta doradcy rządu do spraw naukowych.

— Sądziłem, że ma się tu odbyć spotkanie — zaczął Cox-Spender i usiadł gwałtownie, kiedy Simpson podstawił mu krzesło.

— Właśnie się odbywa. Pomiędzy nami trzema. — Premier uśmiechnął się do niego. Pomyślał, że Simpson miał rację. To człowiek ulepiony z miękkiej gliny. Właśnie takiego potrzebowali. Na biurku

polityka leżała otwarta koperta lotnicza i pojedyncza kartka maszynopisu. Premier podsunął dokument gościowi.

— Niech pan to przeczyta i przetrawi — powiedział. — Może nam pan podsunie jakieś znakomite pomysły.

Cox-Spender podniósł dokument i zaczął czytać:

ŚRODKI POLITYCZNE

- 1. Do końca obecnego stulecia rząd zorganizuje w Wielkiej Brytanii jednostkę wojskową dla potrzeb Wspólnoty Europejskiej.*
- 2. Należy przywrócić karę śmierci za morderstwo i posiadanie silnych narkotyków.*
- 3. Wprowadzi się karę śmierci za posiadanie broni palnej, dając obywatelom jeden miesiąc na przekazanie broni policji.*
- 4. Wyroki na terrorystów będą wydawane przez sędziów, a nie przez ławę przysięgłych. Prawo do apelacji zostanie zniesione.*
- 5. Wielka Brytania natychmiast wycofa wojska z Irlandii Północnej. Administracja Ulsteru zostanie przekazana Republice Irlandzkiej.*
- 6. Należy zawiesić do odwołania pomoc dla innych krajów.*
- 7. Środki transportu publicznego będą bezpłatne, finansowane z budżetu centralnego.*
- 8. Należy natychmiast sprzedać 500 000 hektarów ziemi w działkach po ćwierć hektara, aby ludzie mogli budować na nich domy.*

Doczytał do końca strony i spojrzął na Simpsona i premiera.

— Jak daleko pan zaszedł? — spytał premier.

Cox-Spender patrzył na kartkę nieprzytomnym wzrokiem.

— Numer osiem — powiedział z trudem.

— Niech więc pan rzuci okiem na następną stronę i przeczyta o środkach ekonomicznych — zaproponował premier.

Zdrętwiałe palce asystenta z trudem odwróciły dokument.

ŚRODKI EKONOMICZNE

- 9. Rząd podejmie negocjacje, celem utworzenia centralnego europejskiego banku rezerw i wprowadzenia do 31 grudnia 1999 roku wspólnej waluty europejskiej.*
- 10. Zakupy na karty kredytowe i płatnicze zostaną ograniczone do sumy 50 funtów.*
- 11. Na wszystkich obywateli nałoży się stu procentowy podatek od luksusu.*

12. *Zniesie się pogłównie i podatek od spółek akcyjnych. Lokalne inwestycje rządowe będą finansowane z budżetu centralnego.*
13. *VAT zostanie podniesiony o 25%.*
14. *VAT rozszerzy się na towary sprzedawane w detalu, w tym na ubezpieczenie, dostawy energii elektrycznej i produktów rolnych.*
15. *Projekt ustawy, uwzględniającej nasze żądania, zostanie nam dostarczony nie później niż sto godzin od daty umieszczonej na kopercie.*

Podpisano: Conrad Pyne, „Sand Hills” St Georges Hill Ralph Keller, „High Pine”, Ashley Park Hugh Patterson, „Brunei Hall”, St Georges Hill Louise Champion, „Badger Place”, St Georges Hill

Oszołomiony Cox-Spender skończył czytać i spojrział na obu mężczyzn, którzy przyglądali się mu uważnie.

— Nie rozumiem — powiedział. — Co to ma być? Lista rządowych planów?

— Tak się właśnie stanie, jeśli pan czegoś nie wymyśli — odrzekł kwaśno premier. — Proszę jeszcze raz przeczytać ostatni warunek. Cox-Spender rzucił okiem na punkt 15. To wciąż nie miało sensu. Premier westchnął.

— Cztery sygnatariusze przejęli elektrownię Vulcan Hall na Canvey Island. Elektrownia miała zostać zamknięta, a na skutek jakiegoś błędu administracyjnego wycofano z niej jednostkę policji.

Sygnatariusze twierdzą, że umieścili dużą ilość materiałów wybuchowych wokół silosów z odpadami radioaktywnymi. Grożą, że je wysadzą, jeśli nie spełnimy ich żądań. Czy teraz pan rozumie?

Cox-Spender patrzył na premiera i Simpsona. Jeszcze raz rzucił okiem na kartkę, która wyslizgnęła się z jego ręki i leżała na stole.

— Przecież w Vulcan Hall nie ma żadnych odpadów — zaprotestował.

— Tylko puste silosy. Magazyny w Cheshire...

Premier westchnął.

— Postanowiono nie korzystać ze składowiska w Cheshire aż do opublikowania raportu o zamieszkach. Odpady przeniesiono tymczasowo do Vulcan Hall.

— Przecież... przecież wysadzenie tych silosów jest niemożliwe!

— Dlaczego? — spytał premier.

— Znajdują się głęboko pod ziemią. Ich ściany mają trzy metry grubości i są zrobione z nierdzewnej stali, ołowiu i betonu.

Zaprojektowano je tak, aby wytrzymały silne trzęsienie ziemi.

— Nie można ich wysadzić? — spytał premier. — Ręczy pan za to swoją zawodową reputacją?

Cox-Spender dostrzegł pułapkę.

Ile mają materiału wybuchowego?

Simpson uśmiechnął się.

— Sto ton cyklonitu, czymkolwiek on jest.

Cox-Spender zaczął się pocić i zastanawiać, dlaczego akurat jego to spotkało. Czemu nie zadzwonili do głównego doradcy do spraw naukowych? To niesprawiedliwe.

Premier z satysfakcją zauważył strużki potu. Wybrali właściwego człowieka.

— Nie wiem, czym jest cyklonit — powiedział. — Jeśli się jednak nie mylę, to sto ton tej substancji wysadzi nie tylko silosy, ale większą część Canvey Island.

Cox-Spender mógł tylko pokiwać głową. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie złożyć rezygnacji. Ale pensja...

— Może blefują — wymamrotał.

— Niewykluczone — zgodził się premier.

— Z pewnością jednak nie blefowali, jeśli chodzi o Thames Haven.

— Jak to zrobili?

— Użyli pocisku Honest John.

W pokoju zapadła cisza. Słyszeć było tylko tykanie osiemnastowiecznego zegara, stojącego na kominku.

— Grozi nam następny Czarnobyl — stwierdził premier.

— To byłoby o wiele gorsze niż Czarnobyl — powiedział

Cox-Spender. — Mielibyśmy pełno pyłu radioaktywnego z odpadów i reaktorów.

— Gdyby tylko stawiali rozsądne żądania — poskarżył się premier. — Wolelibyśmy dać im milion funtów. Mógłbym zadzwonić do dyrektora Banku Anglii i zorganizować te pieniądze.

To znaczy, gdybyśmy mieli milion funtów — dodał po chwili zastanowienia.

— Może dałoby się ich przekupić — powiedział z nadzieją Cox-Spender.

— Proszę spojrzeć jeszcze raz na podpisy — rzekł premier.

Hugh Patterson ma więcej pieniędzy w szwajcarskich bankach niż wynoszą nasze rezerwy w złotych i dolarach. Poza tym jedna z jego spółek zaprojektowała i zbudowała silosy, dlatego wie on dobrze, gdzie należy umieścić ładunki, aby uzyskać najlepszy, albo raczej najgorszy efekt.

— Conrad Pyne—powiedział Cox-Spender patrząc na ultimatum.

— Słyszałem o nim.

Wtracił się Simpson.

— Ten człowiek stoi na czele nowej jednostki obrony platform wiertniczych, która powstała za pańską sugestią, panie Spender.

— Och, niech pan da spokój. To była tylko propozycja. Pomysł został zaakceptowany przez Komitet Polityczny i szefa sztabu. Nie może pan mnie winić.

— Nikt pana o nic nie obwinia — powiedział uspokajająco premier. — Prosimy tylko, żeby przyjrzał się pan rafinerii w Thames Haven i ustalił przyczynę wybuchu. Kazałem zamknąć teren. Nie chcemy przecież, żeby ludzie z ministerstwa przemysłu i handlu oraz inspektorzy bezpieczeństwa i służby zdrowia chodzili, gdzie im się podoba i zbierali szczątki pocisku Honest John.

— Pojadę tam jutro z samego rana, panie premierze—powiedział Cox-Spender.

— Natychmiast, panie Cox-Spender. Później chciałbym, żeby rzucił pan okiem na Vulcan Hall i ocenił sytuację. Cox-Spender był przerażony.

— Mam iść do Vulcan Hall? Ale... jak się tam dostanę?

Premier spojrział na Simpsona, a potem odwrócił się do asystenta.

— Proszę spróbować wejść frontowymi drzwiami —zasugerował.

— To znaczy, jeśli elektrownie mają frontowe drzwi.

Cox-Spender czuł, że sprzymierzyły się przeciwko niemu potężne siły. Miał wrażenie, że traci grunt pod nogami. Simpson i premier uśmiechali się do Cox-Spendera, tak jak gdyby tylko on był w stanie uratować sytuację. Postanowił udowodnić, że jest nie byle kim.

Zachowa się jak Harry Truman i stanie na wysokości zadania. Zacisnął zęby i zapytał:

— Jak się z nimi skontaktuję?

— Przez telefon — rzekł Simpson. — Jeśli pańska książka telefoniczna jest przestarzała, znajdzie ich pan pod hasłem „elektrownie atomowe” lub „Centralny Zarząd Elektrowni”.

— Czy są uzbrojeni? — zadawał to pytanie ze strachem w oczach. Simpson spojrzął na dokument leżący na biurku.

— Mają pod swoją komendą stu żołnierzy z pełnym wyposażeniem, a także kilka opancerzonych wozów bojowych. Bóg jeden wie, ile broni ręcznej udało im się zgromadzić. Ach, tak — mają również kilka bojowych helikopterów typu Apache.

Cox-Spender zamrugał. Nie chciał już naśladować Harry'ego Trumana. — Jak im się udało...?

— Wczoraj Wydział Królewskiej Inżynierii założył nowy magazyn i kwaterę główną jednostki obrony platform wiertniczych pod dowództwem generała Pyne'a — powiedział Simpson. — Przebywają na Canvey Island, gdyż Pyne zapewnił nas, że to najlepsze miejsce do szkolenia i idealna baza wypadowa, w razie gdyby terroryści zaatakowali platformy wiertnicze.

Wojowniczy nastrój opuścił Cox-Spendera.

— Czy nie sądzi pan, panie premierze, że główny doradca do spraw naukowych lepiej poradziłby sobie z tą sytuacją?

— Jest w szpitalu — odrzekł Simpson.

Była to nowina dla Cox-Spendera.

— Nie wiedziałem. Czy on...?

— Miał wypadek drogowy. Potracił go samochód, kiedy przechodził przez Mail. Paskudna sprawa, ale spodziewamy się, że za miesiąc dojdzie do siebie.

Cox-Spender widział, jak dwie pary oczu wpatrują się w niego badawczo.

— Cóż, w takim razie już pójdę — powiedział nieśmiało. — Czy mogę wyjść frontowymi drzwiami? Do Admiralicji jest dosyć daleko...

— Przykro mi — rzekł premier. — Czeka tam na pana samochód, może więc...

— Tak, oczywiście, panie premierze.

Simpson otworzył drzwi.

— Jeszcze jedno — powiedział premier, kiedy Cox-Spender zbierał się do wyjścia. — Niech pan nie próbuje zostać bohaterem.

Proszę nie udawać Jamesa Bonda. — Uśmiechnął się do Cox-Spendera, a potem mówił dalej: — Posiadam tu nie mniejsze prerogatywy niż James Bond, a jeśli będzie pan sprawiał kłopoty, mogę z nich skorzystać.

Cox-Spender nigdy nie czytał żadnej książki o Jamesie Bondzie, jednakże słowa premiera miały w sobie coś złowieszczonego.

Kiedy asystent doradcy wyruszył w długą drogę do budynku Admiralicji, premier usiadł na biurku i bawił się ciężkim, bursztynowym przyciskiem do papieru, podarowanym mu przez walijskich górników... a raczej ich niedobitki. Simpson obserwował go uważnie.

— Czy uważa pan, że wybraliśmy odpowiedniego człowieka? — spytał premier.

— Osobiście sędzę, że on jest idealny—odrzekł spokojnie Simpson. Premier przeczekał przycisk z jednej ręki do drugiej.

— Jeśli się mylimy, konsekwencje będą poważne.

— Katastrofalne, Sędzę jednak, że mamy słuszość.

Przycisk do papieru zawirował na blacie biurka. Żółte światło odbijało się na ścianach.

— Miejmy taką nadzieję, Simpson.

12

Pyne pierwszy opuścił tunel inspekcyjny i biegł po betonowej płycie ku dwóm cysternom. Potem zawahał się, gdyż nie był pewny, w której z nich znajduje się pocisk Honest John. Patterson podążał kilka kroków za nim.

— Który? — krzyknął Pyne.

Patterson wskazał cysternę najbliżej Tamizy.

Kiedy Pyne wskakiwał do szoferki, słyszał szum elektrycznych motorów wspomagających.

— Jak mogę to wyłączyć? — wrzasnął do Pattersona.

— Nie możesz — wychrypiał tamten, wskazując elektrownię.

— Pocisk jest sterowany przez radio. Kontroluje go Keller!

Pyne zaklął i wyskoczył z szoferki.

Za kilka sekund fałszywa cysterna o pojemności pięciu tysięcy litrów pęknie na pół i otworzy się ku niebu jak gigantyczna muszla.

Ogarnęła go panika, kiedy do szumu motorów wspomagających dołączył się warkot potężnych silników — to wytwarzało się ciśnienie hydrauliczne, które poruszy tłok i ustawi Honest Johna pod kątem startowym. Koła pojazdu spoczywały dokładnie w miejscu zaznaczonym kredą, tak aby pocisk celował w gęsto zaludniony londyński East End.

— Potrzebny mi będzie sterling! — krzyknął do Pattersona.

— Na miłość boską, pospiesz się!

Patterson zniknął w elektrowni.

Pyne stał bezradnie przed ciężarówką. Słyszał warkot zbliżającego się samolotu. Potem dotarł do niego inny dźwięk: metaliczny trzask zamka elektrycznego, który spinał ze sobą dwie połowy fałszywej cysterny.

Długi, owalny pojemnik zaczął drżeć.

Zjawił się Patterson, niosąc karabin. Pyne wyrwał mu broń z ręki i pobiegł ku cysternie.

Szczelina na szczycie maszyny stawała się coraz szersza. Pyne padł na beton i zwolnił bezpiecznik sterlinga.

Kiedy silniki cysterny nie pracowały, jedynym źródłem zasilania była duża bateria kwasowo- ołowiowa, wisząca w skrzynce pod podwoziem. Pyne dokładnie wycelował i strzelił. Bateria roztrysnęła się, a bitumiczne odłamki uderzyły o dno baku.

Strzelał z zamkniętymi oczami chroniąc twarz przed kwasem, tryskającym z roztrzaskanego pojemnika. Kule rozbiły skrzynkę.

Spadła. Resztki kołysały się przez kilka sekund, a potem runęły na ziemię.

Pyne przestał strzelać. dzwoniło mu w uszach, a ręce miał poparzone kwasem.

Zarówno cysterna, jak i pojazd nie nadawały się teraz do użytku.

Druga rakietka Honest John nigdy nie wystartuje.

Błękitna Bonanza minęła Tamizę, lecąc w kierunku Londynu.

13

O 13:15 Simpson przeczytaj teleks z jednostki RAF-u w Manston.

Piętnaście minut temu Cox-Spender wyruszył zbadać ruiny rafinerii Thames Haven. Po raz pierwszy tej niedzieli Simpson zaniepokoił

się. Przeszedł przez korytarz i zapukał do biura premiera. Wszedł nie czekając na odpowiedź - zawsze tak robił, kiedy chciał dać premierowi do zrozumienia, że wiadomość jest pilna.

Premier podniósł głowę znad niedzielnej gazety.

— Obawiam się, sir, że do zakazanej strefy wleciał jakiś samolot — powiedział Simpson bez żadnych wstępów. — To Bonanza.

Premier zaniepokoił się.

— Kiedy to się stało?

— Mniej więcej czterdzieści pięć minut temu. Nie sądzę, żeby to był powód do zmartwienia. W każdym razie nie teraz. Jednostka w Manston wysłała Tornado, żeby ich przechwycił, ale spóźnili się. Samolot znajdował się zbyt blisko elektrowni...

— Simpson — przerwał premier. — Wydał pan przecież rozkaz, żeby zamknąć ruch powietrzny w pobliżu ujścia Tamizy, czy tak? Simpson zachnął się. Nie lubił popełniać błędów.

— Łączność zawiodła, sir. Ci z Manston powiedzieli, że Bonanza nie interesowała się Vulcan Hall — przeleciała tylko obok elektrowni.

— Wojsko nie zatrzymało samolotu?

— Nie, sir. Kazali pilotowi Tornada wycofać się — na mój rozkaz.

Premier odprężył się.

— Dobrze. Prawdopodobnie była to tylko niedzielna przejażdżka. Gdyby Tornado ścigało samolot w strefie zakazanej, to dziś wieczorem mówiono by o tym we wszystkich klubach lotniczych w południowej Anglii. — Premier spojrział ostro na sekretarza.

— Czy RAF zdobył numer rejestracyjny tego samolotu?

— Tak, sir. Spróbuję się skontaktować z kimś z Rejestru Lotniczego. Za godzinę na pańskim biurku znajdzie się nazwisko i adres właściciela tej maszyny.

— Za pół godziny, Simpson.

go perspektywa spędzenia niedzielnego popołudnia wśród ruin rafinerii Thames Haven. Pocieszał się jednak, że dzięki temu nie musi myśleć o czekającej go wizycie w elektrowni Vulcan Hall.

Usiadł na kawałku strzaskanej rury i zastanawiał się, jakie oświadczenie przekonałoby wszystkich, że teren jest zbyt niebezpieczny, by wpuszczać tu ekipy ratownicze.

Przyglądał się ruinom w posepnym milczeniu. Słyszał w oddali spory pomiędzy policją a rodzinami zaginionych pracowników rafinerii, które domagały się zorganizowania akcji ratunkowej.

Główny konstabl Essex mówił właśnie tłumowi przez megafon, że prace rozpoczną się, gdy tylko asystent głównego doradcy do spraw naukowych uzna teren za bezpieczny. Doszło do zamieszania, kiedy tłum próbował przełamać kordon policji.

Na Tamizie resztki floty policyjnej starały się odeprzeć armadę małych łodzi pełnych gapiów.

Cox-Spender podniósł się i stał bezradnie wśród roztrzaskanych rur i splaszczonych kolumn destylacyjnych. Inżynieria chemiczna nie była jego specjalnością. Podejrzewał, że bez względu na to, co powie, zaatakują go inżynierowie i architekci, znający rafinerię.

Powoli szedł zasypaną alejką. Zgadywał, że kiedyś biegła tędy droga, ale ze względu na przerażające zniszczenia mógł się tego tylko domyślać.

W powietrzu czuć było przykry zapach. Pomimo gorąca Cox-Spender zdrzął. Może to zapach śmierci. Doszedł do wniosku, że jeśli śmierć ma jakiś zapach, to jest nim duszny odór, unoszący się teraz wokół rafinerii.

W górze krążył lekki samolot Bonanza, a jego warkot zagłuszał komentarze, które Cox-Spender nagrywał na dyktafonie. Starał się nie patrzeć na odległe wieże chłodnicze Vulcan Hall, wznoszące się w odległości dziesięciu kilometrów. Skóra mu cierpła, kiedy myślał o wizycie w elektrowni i ludziach, których tam spotka. Wyobrażał sobie bezwzględnych terrorystów o twardych spojrzeniach, przyglądających mu się przez otwory w czarnych maskach. Pół godziny później wrócił na miejsce, w którym wznosiła się kiedyś brama rafinerii.

Główny konstabl podszedł do niego z zaniepokojoną miną.

— Martwiliśmy się o pana, sir — powiedział, ciesząc się, że Cox-Spenderowi nic się nie stało.

— Dziękuję, sam umiem zatroszczyć się o siebie — odrzekł kwaśno Cox-Spender. Lubił dyrygować wysokimi urzędnikami.

Premier obdarzył go szerokimi prerogatywami i zamierzał w pełni to wykorzystać.

Główny konstabl zignorował ten dziecinny wybryk.

— Pan Maynard chce się natychmiast z panem zobaczyć — powiedział. — Czekaj w przyczepie.

Ivor Maynard był niskim, dobrze ubranym mężczyzną, który od razu przeszedł do rzeczy.

— Dzięki Bogu, że nikogo tam nie wpuszczacie — powiedział szybko.

Cox-Spender zamrugał.

— Oczyszciliśmy jeden z frakcyjnych destylatorów, żeby przerabiać specjalne paliwo rakietowe, a teraz ono wycieka z podziemnego zbiornika. Jeśli połączy się z...

— Skąd pan wie o wycieku? — spytał Cox-Spender, postanawiając, że będzie panował nad sytuacją.

Mały inżynier patrzył na asystenta doradcy do spraw naukowych.

— Chryste, człowieku! Nie czujesz tego zapachu? Musimy natychmiast wydać rozkaz, żeby policjanci i tłum odsunęli się o sto jardów!

Cox-Spender spojrzał z zadowoleniem na Maynarda i zastanowił się, czy jego wizyta w elektrowni również zakończy się takim sukcesem.

15

— Muszę ci coś o sobie powiedzieć, Mitch — powiedziała Maggie, kładąc odbitki wielkości osiem na dziesięć na stole w jadalni generała.

— Jeśli kiedyś postanowisz mi się oświadczyć, to powinienes wiedzieć, że w ciemni jestem lepsza niż w kuchni.

— Nie martw się, kochanie. Świetnie gotuję. Po prostu jestem zbyt skromny, żeby się tym chwalić.

Mitchell podniósł wilgotne odbitki. Ani śladu świdra. Straszliwy wybuch zniszczył wszystko.

— I co? — spytała Maggie.

Mitchell zaklął cicho.

— Sabotaż.

— Skąd wiesz?

Mitchell wskazał jedno ze zdjęć.

— Nie jestem całkiem pewny, ale wygląda na to, że właśnie w tym miejscu doszło do wybuchu. Była tylko jedna eksplozja, a nie cała seria, czego można by się spodziewać w rafinerii.

Maggie przyjrzała się dokładnie fotografii. Mitchell miał słuszność: większość zniszczonych, spłaszczonych rur leżała wokół centralnego punktu po jednej stronie rafinerii.

— Może przechowywali tam coś specjalnego, co spowodowało eksplozję?

Mitchell pokręcił głową.

— Znam tę rafinerię. Wygląda na to, że wybuch nastąpił na parkingu pracowniczym. To oznacza sabotaż. Przez kilka sekund panowała cisza.

— Posłuchajmy radia — zaproponowała Maggie.

Poszła do kuchni i wróciła z przenośnym odbiornikiem.

Informacji wciąż było niewiele. Asystent głównego doradcy rządu do spraw naukowych oświadczył właśnie, że może dojść do następnych wybuchów. Zaraz potem przeprowadzono wywiad z inżynierem, który stwierdził, że te eksplozje w żadnym razie nie będą tak silne jak pierwsza. Nie, nie wie, co spowodowało wybuch. Nie, nie wygłosi żadnego komentarza, dopóki doradca rządu do spraw naukowych nie zamknie wstępnego dochodzenia.

Spiker obiecał, że będzie na bieżąco informował słuchaczy o rozwoju wypadków.

Maggie wyłączyła radio i podniosła jedną z odbitek.

— Mam wrażenie, że nie zostało tam nic, co mogłoby eksplodować — powiedziała.

Mitchell wziął zdjęcie i patrzył na nie przez kilka sekund.

— Mnie również to przyszło do głowy — rzekł.

Podniosła inne zdjęcie. Była to jedna z fotografii zrobionych przez Mitchella przed dotarciem do rafinerii. Na pierwszym planie widniały wieże chłodnicze Vulcan Hall.

— Ciekawe, co tam robi ojciec — powiedziała.

Mitchell zajrzał jej przez ramię. Z boku, koło cystern, stały dwa helikoptery. Widać było numer rejestracyjny amerykańskiego JetRangera. Jakiś mężczyzna biegł w kierunku cystern.

— Czy on przyjaźni się z Pattersonem? — spytał Mitchell bez większego zainteresowania.

— Ostatnio tak. Pewnego wieczoru kilka tygodni temu przyszedłam do domu, a na zewnątrz stało kilka samochodów. Jeden z nich należał do Hugh'a Pattersona. Nie chciałam im przeszkadzać. Ojciec rzadko pozwala sobie na rozrywki.

— Czy jesteś pewna, że ten JetRanger należy do Pattersona? Wiem, że nie ma ich tu zbyt wiele, ale niewykluczone, że maszyna jest własnością kogoś innego.

— Mogę łatwo sprawdzić — powiedziała Maggie. Wyjęła z szafki album ze zdjęciami, położyła go na stole i przerzucała strony. Wysypało się kilka fotografii. Maggie podniosła jedną z nich, porównała ze zdjęciem zrobionym dzisiejszego ranka i podsunęła Mitchellowi.

— Spójrz.

Zdjęcie z albumu przedstawiało kilku ludzi z kieliszkami w rękach, stojących obok helikoptera na trawniku przed wspaniałą rezydencją w stylu mauretańskim: scena z St Georges Hill.

— Zrobiłam to zdjęcie w zeszłym roku na jednym z przyjęć u Hugh'a Pattersona — wyjaśniła Maggie. — Widzisz? Numer rejestracyjny helikoptera jest ten sam.

Mitchell myślał przede wszystkim o utraconym świdrze, ale wystarczająco interesował się Maggie, by przejąć się tym, że dziewczyna niepokoi się o ojca. Spojrzał na zdjęcie z przyjęcia.

— Kim jest facet siedzący koło drzwi helikoptera?

— Och, to Ralph Keller — główny fizyk Pattersona czy ktoś w tym rodzaju. Jest całkiem miły. Mieszka sam i zachowuje się bardzo nieśmiało wobec dziewcząt. Ta kobieta to Louise Campion.

Mieszka po przeciwnej stronie osiedla. Wydaje mi się, że jest coś pomiędzy nią a Pattersonem — często przychodzi do niego na drinka. Mitchell przestał słuchać dziewczyny, kiedy spojrzał na zdjęcie zniszczonej rafinerii.

— Czy ja cię nudzę, Mitch... Mitch? — Objęła Amerykanina i stanęła obok niego, patrząc na zdjęcie.

— Ten sprzęt był pewnie bardzo drogi? — spytała delikatnie. Mitchell skinął głową.

— Może to oznaczać koniec mojej firmy.

— Przykro mi. Jestem taka bezmyślna. Mówię cały czas o ojcu, podczas gdy ty...

— To nieważne, kochanie. Sądzę, że jakoś sobie poradzę.

— Otoczył ją ramieniem. Był to prawie odruchowy gest.

— Jesteś głodny? — spytała Maggie.

Mitchell zdał sobie nagle sprawę, że przez cały dzień nic nie jadł.

— Tak, umieram z głodu.

— Chcesz, żebym ci coś przygotowała?

— To miłe... — przerwał i uśmiechnął się. — Do diabła, nie.

Muszę utrzymać się w formie, jeśli mam sobie poradzić z tym problemem.

Poprowadził Maggie w kierunku francuskiego okna.

— Nie byłbym dżentelmenem, gdybym pozwolił ci gotować w takim bałaganie. Usiądź koło basenu, a ja zajmę się gotowaniem. Maggie roześmiała się.

— Lubię takie propozycje.

Mitchell wrócił do jadalni. Pozbierał fotografie i włożył je do złotej koperty Kodaka.

16

„Mitchell, Howard Steven, obywatel amerykański — stwierdzał raport Rejestru Cudzoziemców. Urodzony w Nowym Jorku, Lower East Side. Jako dziecko nie opływał w dostatki. Rodzice nie żyją; dawniej pracowali w przemyśle odzieżowym. Kształcił się w szkołach państwowych. Wcześniej wykazywał zdolności techniczne. Studiował inżynierię chemiczną w MIT”.

Premier pominął biograficzne szczegóły i zaczął czytać informacje o ostatnich poczynaniach Mitchella. Simpson obserwował go z nieszczęśliwą miną.

„Jedyny posiadacz przedsiębiorstwa Oil and Natural Gas Engineering Supplies Ltd. Adres: The Centre, Walton-on-Thames, Surrey. Zgodnie ze statutem, firma jest agencją przewozową, specjalizującą się w dostawie materiałów inżynieryjnych dla spółek naftowych, działających na Morzu Północnym. Prywatny adres: Berrylands, St Georges Hill, Weybridge, Surrey. Numer telefonu: Weybridge...”
Premier przestał czytać i popatrzył przeciągle na Simpsona. Ich

spojrzenia się spotkały.

— Ten Mitchell mieszka w St Georges Hill—powiedział spokojnie.

— To może być przypadek.

— Przypadek! — prychnął premier i wrócił do lektury.

Simpson zastanawiał się, czy przeczyta ostatnią stronę.

Premier przeczytał ostatnią stronę.

„Kawaler. Mieszka sam. Od czasu do czasu grywa w golfa z generałem Conradem Pyne'em. Przeszłość kryminalna: kilka wykroczeń drogowych (załącznik 6). Podobno przyjaźni się z Paulem Weinerem, kontrolerem do spraw kontaktów przemysłowych w ambasadzie amerykańskiej”.

Premier skończył czytać. Położył raport na biurku i wyjął cygaro.

- Wygląda na to, że Mitchell zna wysokich urzędników—zauważył Paul Weiner, w ambasadzie amerykańskiej

- Nie ma w tym nic niezwykłego, sir. Mitchell prowadzi tego rodzaju interesy, że musi kontaktować się z ambasadą. Nie wiemy zresztą czy spotyka się regularnie z Paulem Weinerem.

- Gdzie mieszka ten Weiner? — przerwał premier.

- Cumberland Mansions w Seymour Place - palce Simpsona zabębniły lekko po blacie biurka.

Premier obserwował go uważnie przez płomień zapalniczki. Znał dobrze Simpsona i wiedział, że na nim również raport zrobił wrażenie.

Był to przeoczony szczegół, a może nawet coś więcej szczegółów.

Simpson nie lubił niczego pomijać i był zwykle bardzo dokładny, musiał martwić się o szczegóły.

Premier zaciągnął się dymem z cygara.

- Czy objęto Weinerja rutynowym nadzorem?

- Tak, sir.

Premier zastanowił się.

- Selektywnym nadzorem, jak sądzę.

Simpson skinął głową. Czasami żałował, że ten polityk wie tak dużo o procedurach bezpieczeństwa. Teraz zastawiał na niego pułapkę.

Premier spojrzał na żarzący się koniuszek cygara.

- Skoro tak, to Weinerja nie obserwowano przez cały czas i nie spotykał się regularnie z Mitchellem... czyż nie mam racji?

- Jeśli mnie pamięć nie myli, wydział kontaktów przemysłowych

w ambasadzie amerykańskiej tuszuje mnóstwo grzechów - zwłaszcza

grzechów CIA. Prawda?

Simpson nie lubił niezręcznych sytuacji.

- Sądźmy, że ten wydział sprawdza amerykańskie firmy, działające za granicą — i upewnia się, że nie wywożą strategicznych materiałów na Bliski Wschód. Jest to czysto profilaktyczna działalność, która odpowiada naszym interesom - Simpson mówił z irytacją.

— Trudno uznać przelot tego faceta nad Vulcan Hall za profilaktyczną działalność.

— On ominął elektrownię, sir.

Premier spojrział lekceważąco na sekretarza.

Simpson rozszłościł się.

— Mógł to być tylko przypadek, sir. Nie jesteśmy pewni...

— Słusznie — wtrącił premier. — Nie jesteśmy pewni.

Zyskamy jednak pewność, jeśli dokładnie przyjrzymy się temu człowiekowi. Nie muszę panu przypominać, jak bardzo możemy się sparzyć na tej sprawie. Proponuję więc, żebyśmy mieli go na oku.

— Tak, sir — Simpson sięgnął po słuchawkę.

— Do kogo pan dzwoni?

Simpson zawahał się.

— Cóż, myślałem o służbach specjalnych.

— Rozumiem. Uważa pan więc, że możemy zaufać sir Gordonowi Clementowi?

Simpson zastanowił się, a potem odłożył słuchawkę.

— Możemy ufać tylko samym sobie — powiedział ostro premier.

— Stawka jest zbyt wysoka, żeby włączać w sprawę człowieka, który mógłby zwrócić się przeciwko mnie. Wolałbym mieć pana w biurze, ale Weybridge jest niedaleko od Londynu. Chcę, żeby dowiedział się pan, co wie Mitchell i czy przekazał komuś uzyskane informacje.

Simpson siedział samotnie, czytając Bóg wie który raz akta Howarda Mitchella. Uważał, że nie powinien wyjeżdżać z Londynu w sytuacji, gdy najbliższe godziny mogą zdecydować o wszystkim.

Z drugiej strony, premier miał słuszość. Howard Mitchell sprawiał kłopoty: najwyraźniej pracował dla CIA. Ile jednak wiedział o spisku? Jeśli zaś poznał prawdę, to jakie informacje udało mu się przekazać

Amerykanom? Simpson westchnął. Tylu rzeczy nie zdołał przewidzieć. Może to po prostu pech, że CIA miała agenta w St Georges Hill, gdzie mieszkali terroryści? Trudno jednak było w to uwierzyć. Simpson przejrzał dane dotyczące firmy Mitchella. Przygotowanie tajnego agenta musiało zająć dużo czasu. Ta myśl podsunęła mu pewien pomysł.

Niewykluczone, że Mitchell zdążył tylko trochę poszperać i nie wie zbyt dużo. Jeśli przekazał już jakieś informacje, to nic się na to poradzi, można jednak nie dopuścić, żeby nadal węszył. Gdyby został „zdezaktywowany” lub unieszkodliwiony, CIA nabrałaby podejrzeń, ale upłynęłyby długie miesiące, zanim Amerykanie zdążyliby podsunąć Brytyjczykom drugiego agenta. Teraz zaś chodziło tylko o czas. Simpson patrzył przed siebie, a jego bystry umysł rozważał problem i możliwe rozwiązania.

To miało sens. Usuwając Mitchella upiekłby dwie pieczenie przy jednym ogniu: CIA nie dowiedziałyby się niczego poza tym, co już wie, a Simpson nie musiałby wyjeżdżać z Londynu.

Simpson uśmiechnął się. To nie całkiem tak. Jego plan pozwoli również pozbyć się trzeciego kłopotu: samego Mitchella. Zastanawiał się, jak sprawić, żeby wyglądało to na wypadek.

17

Popołudnie było parne i duszne. W czasie jazdy z Thames Haven na Canvey Island Cox-Spender nie myślał o okropnościach, które czekają go w elektrowni. Było gorąco jak w piecu. Za kołnierzem zbierał mu się pot. Klimatyzacja w samochodzie okazała się mało skuteczna. Otworzenie okna nic nie pomogło: do samochodu wleciał giez i ugryzł go w szyję.

Samochód przejechał przez most, prowadzący na Canvey Island. Żołnierze przepuścili Cox-Spendera przez punkt kontrolny. Mieli zapisany numer rejestracyjny jego wozu. Kierowca zdziwił się na widok bariery, nauczono go jednak, że nie powinien odzywać się pierwszy do pasażerów. Wczasowicze i właściciele przyczep kempingowych spierali się z żołnierzami, na których nie robiło to wrażenia: kazano im sprawdzać wszystkie samochody, które próbowały wjechać na wyspę.

Czarny, rządowy samochód zostawił za sobą chmurę kurzu. Drogowskazy wskazywały kierunek do elektrowni Vulcan Hall. Nie było to zresztą potrzebne, gdyż cztery wieże chłodnicze widać było z każdego miejsca na wyspie.

Samochód zatrzymał się przed wysoką, stalową bramą, ustawioną w poprzek drogi. Z wartowni wyszli dwaj żołnierze i sprawdzili przepustkę Cox-Spendera. Brama otworzyła się. Żołnierze kazali kierowcy zaparkować koło stojącej obok amfibii i czekać. Nie pozwolili nikomu wysiąść. Landrover Conrada Pyne'a przyjechał w chwili, w której Cox-Spender miał już zamiar zawrócić. Asystent doradcy rządu do spraw naukowych poznał generała w czasie spotkań, na których opracowywano plany utworzenia jednostki ochrony platform wiertniczych. Miał wrażenie, że generał postarzał się od tamtej pory.

— Dzień dobry, panie Cox-Spender—powiedział Pyne otwierając drzwi samochodu. — Proszę ze mną. — Miał zmęczony głos. Ani przyjazny, ani wrogi, po prostu zmęczony.

— Wie pan zapewne, kto mnie tu przysłał — powiedział Cox-Spender, siadając koło Pyne'a w landroverze.

Pyne puścił sprzęgło. Gość musiał się przytrzymać, żeby nie wypaść z samochodu.

— Chciałbym zobaczyć kilka rzeczy—powiedział, postanawiając, że będzie mówił otwarcie. — Najpierw jednak muszę zbadać reaktory i upewnić się, że są bezpieczne. Potem chcę się spotkać z pracownikami elektrowni. Następnie rzucę okiem na materiały wybuchowe, które, jak twierdzicie, umieściliście wokół silosów z odpadami. — Cox-Spender bał się, ale uważał, że od początku musi zachowywać się zdecydowanie i pokazać tym ludziom, z kim mają do czynienia. Poczul się pewniej, kiedy stwierdził, że nikt mu nie grozi bronią.

Pyne wjechał przez wewnętrzną bramę na teren elektrowni.

Odwrócił się z gniewem do Cox-Spendera.

— W zeszłym tygodniu zaczęto realizować program dezaktywacji reaktora — uciął. —Zobaczy pan to, co pozwolimy panu zobaczyć. Ani mniej, ani więcej.

Wojowniczy nastrój opuszczył asystenta. Nie odezwał się już aż do końca krótkiej podróży.

Landrover jechał w cieniu aluminiowej kopuły, przykrywającej

maszynę paliwową. Wieńczyła ona dwudziestometrowy betonowy budynek, w którym znajdował się reaktor.

Cox-Spender pamiętał, że generał często spotykał się z premierem, kiedy ten polityk był jeszcze ministrem obrony narodowej. Krążyły wówczas plotki, że Pyne jemu zawdzięcza swój szybki awans. Obaj mężczyźni mieli ze sobą wiele wspólnego: pochodzili z ubogich rodzin i zrobili karierę dzięki połączeniu logicznego myślenia i bezwzględności. Umieali załatwiać sprawy.

Pyne zaparkował landrovera na betonowej płycie koło dwóch cystern. Z elektrowni wyszli kobieta i mężczyzna i zbliżali się ku nim.

Cox-Spender domyślił się, że ma przed sobą Hugh'a Pattersona i Louise'a Campiona. Nerwowo przełknął ślinę. Z ich ramion zwisały sterlingi. Widać było, że potrafią się nimi posługiwać.

Jednym z najpiękniejszych widoków, jakie kiedykolwiek oglądało ludzkie oko, jest błękitna poświata promieniowania Czerenkowa, którą można obserwować, kiedy naładowane cząstki przechodzą przez wodę.

Patrząc na to niesamowite, eteryczne światło Cox-Spender miał zawsze wrażenie, że jest świadkiem cudownej ingerencji Boga. Łatwo było uwierzyć, że hipnotyczny blask, przenikający wodę w zbiorniku, kryje w sobie klucz do tajemnicy stworzenia.

Teraz jednak Cox-Spender nie doświadczał uczucia zdziwienia, typowego dla prawdziwego naukowca. Był głęboko zaniepokojony, a swobodny sposób bycia obu mężczyzn nie poprawiał jego samopoczucia.

— Poziom promieniowania gamma wynosi zero — powiedział grzecznie Keller.

— Realizujecie program dezaktywacji reaktora? — spytał Cox-Spender.

— Tak, sir. Cały czas redukujemy powoli ciśnienie, tak że substancja chłodząca absorbuje neutrony i nie dopuszcza do reakcji.

Cox-Spender skinął głową.

— Jeśli się nie mylę, macie w sali kontrolnej komputer rejestrujący temperaturę. Chciałbym dostać wydruk i sprawdzić temperaturę rdzenia.

— Temperatura spada — rzekł z szacunkiem Keller.

— Zamierzam sam się o tym przekonać — odparł czujnie wizytator. Przynajmniej ten Keller znał swoje miejsce.

Fizyk spojrział na Pyne'a. Generał skinął głową.

— Teraz chciałbym zobaczyć zakładników — rzekł Cox-Spender, obejrzawszy wydruk komputerowy. Starł się mówić aroganckim tonem.

— Obawiam się, że to niemożliwe — odpowiedział Pyne.

— Dlaczego?

— Bo ja tak mówię.

Spojrzenie szarych oczu generała było twarde i chłodne.

Cox-Spender postanowił, że nie będzie się upierał. Przez chwilę nie wiedział, co może jeszcze powiedzieć.

— On czytał nasze ultimatum — odezwał się Pyne do pozostałych.

— To powinno ułatwić sprawę — zauważył Hugh Patterson.

— Terrorystom nigdy nie udało się osiągnąć długofalowych celów — zaczął Cox-Spender. — Wystarczy, że spojrzycie na...

— Nie wydaje mi się, żeby przysłano tu pana na dyskusje o polityce — przerwał złośliwie Pyne.

— Nie możecie mieć nadziei na sukces — wybuchnął z gniewem Cox-Spender. — Jest was tylko czworo. W końcu się zmęczycie, a wasi ludzie zwrócą się przeciwko wam.

— Może i tak - rzekł Pyne. — To jednak nie ma znaczenia, gdyż wykonali już swoje zadanie. Jeśli zaś chodzi o zmęczenie, to powiem panu rzecz następującą, i może pan to powtórzyć premierowi. Nigdy się nie zmęczymy i nigdy nie ustąpimy. Prędzej popełnię samobójstwo.

— To wcale nie jest wykluczone — uciął Cox-Spender.

— Wspomniał pan o długofalowych celach — mówił Pyne, ignorując słowa Cox-Spendera. — Nigdy do tej pory terroryści nie posłużyli się naprawdę skutecznymi środkami. Tym razem chodzi o życie pięćdziesięciu milionów ludzi, a naszym celem jest ich dobrobyt. Jeszcze jedno: nie nazwałby pan chyba „krótkim” okresu połowicznego rozpadu niektórych izotopów w silosach. Czyż nie mam racji?

Zjawił się Keller i podał Cox-Spenderowi kartkę. Ten spojrział na nią przelotnie, a potem włożył do kieszeni. Była to lista materiałów radioaktywnych, zaczynająca się od najbardziej niebezpiecznych izotopów plutonu.

__Zawartość silosu numer 3 — wyjaśnił Keller.

Cox-Spender spojrział na zegarek. Starając się, aby jego uwaga zabrzmiała arogancko, powiedział:

— Szkoda mi czasu na rozmowę z bandytami. Pokażcie, co zrobiliście z materiałami wybuchowymi, i zaraz się stąd wyniosę.

Pyne wręczył gościowi kasętę wideo.

— To dla premiera — rzekł. — Zanim zejdziemy, powinien się pan o czymś dowiedzieć, panie Cox-Spender. Przechowuje się tu nie tylko zużyte prety paliwowe, ale również odpady, przywiezione z całego kraju.

— Wiem — odparł chłodno Cox-Spender.

— Oprócz tego mamy tu trochę wysokoprocentowych, plutonowych odpadów z Japonii... Pamięta pan statek, który prasa w zeszłym miesiącu nazwała „latającym Holendrem”, bo żaden port nie chciał go przyjąć?

— Oczywiście, że pamiętam! — Po arogancji Cox-Spendera nie zostało ani śladu. Patrzył na Pyne'a.

— Chce pan powiedzieć, że ten ładunek jest tutaj?

Pyne skinął głową i uśmiechnął się lekko, widząc oszołomioną minę naukowca.

18

Premier podniósł głowę znad mapy rozpostartej na biurku.

— Czy istnieje możliwość ataku od strony rzeki? — spytał.

— To byłoby bardzo niebezpieczne, sir — odrzekł Cox-Spender.

— Nawet gdyby siły desantowe przedostały się na betonową płytę, wykryłyby ich system IRIS.

Premier podniósł detektor podczerwieni, który Cox-Spender położył na biurku.

— Jak czułe są te urządzenia?

— Z odległości pięćdziesięciu metrów wykryją ciepło, wydzielane przez ciało myszy — odrzekł Cox-Spender. — Są nawet wyposażone w automatyczne kompensatory, dzięki którym nie reagują na różnice temperatury pomiędzy dniem a nocą.

Premier nie był pewny, o czym mówi Cox-Spender, ale zachował milczenie.

Odłożył czujnik i bawił się bursztynowym przyciskiem do papieru.

— Moglibyśmy wrzucić granaty z gazem CS przez okno sali kontrolnej.

— To również byłoby bardzo ryzykowne, sir. Granaty z gazem CS lub CR nie działają natychmiast. Terrorystom zostanie kilka sekund na wywołanie eksplozji.

— Gaz paraliżujący?

Cox-Spender zastanowił się.

— Działa szybciej, ale nie wystarczająco szybko.

— Co z granatami oszałamiającymi? Okazały się skuteczne w czasie oblężenia Princes Gate.

— Myśli pan o ataku w stylu SAS, sir?

— Chyba wszyscy o tym myślimy.

— Potrzebowalibyśmy helikoptera. Oni mają radar, a poza tym warkot silników maszyny...

— Tak tak — przerwał gniewnie premier. — Wiem.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Polityk zaciągnął się cygarem. Dym unosił się wokół mapy i lampy przy biurku.

Cox-Spender przerwał milczenie.

<

— Z całym szacunkiem, sir, czy nie uważa pan, że należałoby zwołać posiedzenie Komitetu Politycznego, tak aby wszyscy mogli zastanowić się nad tym problemem?

— Nie — odrzekł krótko premier.

— A co z szefami sztabów?

— Wojsko będzie chciało zaatakować elektrownię, marynarka — zatopić, a lotnictwo — zbombardować.

Cox-Spenderowi nie spodobała się krótka odpowiedź premiera.

Było to niesprawiedliwe uogólnienie, słyszał jednak o chłodnych stosunkach, a nawet wrogości pomiędzy radą ministrów a szefami sztabów, spowodowanej ostatnimi redukcjami wydatków na brojenia. Krążyły nawet plotki, że wielu oficerów liczy się z możliwością zbrojnego zamachu stanu, gdyby doszło do utworzenia scentralizowanych, europejskich sił zbrojnych. Mimo to postanowił nalegać. Po dzisiejszych wydarzeniach nabrał pewności siebie.

— Mimo to, sir, w sztabie jest wielu zdolnych ludzi. Jestem pewny, że coś by wymyślili.

Na szyi premiera zaczęła pulsować żyłka. Gdyby Cox-Spender - znał go lepiej, natychmiast wyczułby niebezpieczeństwo.

— Panie Cox-Spender, w tym momencie sprawą najwyższej wagi jest zachowanie tajemnicy aż do chwili, w której zbadamy wszystkie możliwe rozwiązania naszego problemu. Na razie nie wiemy, czy terroryści nie blefują. Może rozumieją, że porwali się na coś, co ich przerasta i przestaną się upierać. Jeśli do tego dojdzie, a moim zdaniem jest to bardzo prawdopodobne, to nie zrealizują groźby wysadzenia silosów.

Tego było za wiele dla Cox- Spendera.

— Sir, z całym szacunkiem, ja widziałem tych ludzi. Oni nie zrezygnują — jestem tego absolutnie pewny. Zaszli już zbyt daleko. Premier odstawił z furją bursztynowy przycisk.

— Wyzaczyłem pana do tego zadania, panie Cox-Spender, bo sądziłem, że nie straci pan głowy w kryzysowej sytuacji. Najwyraźniej się myliłem. Zdaję sobie sprawę z położenia, nie podejmę jednak nie przemyślanych działań na podstawie opinii doradców, którzy stracili głowę!

Cox-Spender zadrżał. Ta niespodziewana tyrada była niesprawiedliwa, zabrakło mu jednak odwagi, żeby to powiedzieć. Zdołał jedynie wykrztusić:

— Tak, sir.

Premier odprężył się.

— Więc zgadza się pan ze mną?

Cox-Spender mógł jedynie powtórzyć:

— Tak, sir.

Premier uśmiechnął się. Zgoda Cox-Spendera została nagrana na taśmę magnetofonową.

— Czy podał im pan numer telefonu? — spytał spokojniejszym tonem.

— Tak, sir — Cox-Spenderowi nie podobało się, że musi bez przerwy powtarzać te dwa słowa. W czasie tej najdłuższej niedzieli swojego życia miał od czasu do czasu wrażenie, że uda mu się zerwać na dobre z tym nawykiem.

— Jeśli tak — powiedział premier — to poczekamy, aż wykonają pierwszy ruch.

Spojrzał na osiemnastowieczny zegar.

23:05.

Poklepał kasetę wideo otrzymaną od generała Pyne'a.

— Mam nadzieję, że jeszcze pan tego nie oglądał.

— Nie, sir. Przyniosłem ją prosto do pana.

Premier ziewnął.

— Bardzo dobrze, Cox-Spender. Zrobił pan wszystko, co było w pańskiej mocy. Obawiam się, że czeka nas jutro dzień w niczym nie przypominający zwykłego poniedziałku. Czas iść spać. Na pewno jest pan zmęczony.

Cox-Spender znów musiał powiedzieć:

— Tak, sir.

Premier sięgnął po słuchawkę.

— Przed wejściem na Downing Street będzie czekał na pana samochód. Oszczędzi to panu długiego spaceru.

Premier poszedł do łóżka o 23:25, a o 23:40 zapadł w głęboki sen.

PONIEDZIAŁEK

1

Pyne źle spał pierwszej nocy w elektrowni.

Obudził się po godzinie i przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

Był w gabinecie dyrektora elektrowni. Słyszał statek płynący po Tamizie. Próbował zasnąć, ale sen nie przychodził.

Odwinął kołdrę, postawił stopy na szorstkim dywanie z końskiego włosia i włączył światło.

Była godzina 03:00. Louise Champion dyżuruje na pewno w Sali kontrolnej.

W korytarzu panowała cisza. Słyszać było jedynie pochrapywanie Hugh'a Pattersona z sąsiedniego biura. Samonaprowadzająca się kamera z termicznym czujnikiem zaszumiała, kierując obiektyw w jego stronę. Louise Champion siedziała przy centralnej konsoli, a przed nią stał otwarty termos. Odwróciła się od monitora i uśmiechnęła do Pyne'a.

— Nie możesz spać, Conradzie?

Pyne usiadł obok niej.

— Wszyscy powinniśmy spać tutaj, Louise — tu jest chłodniej.

Louise wskazała komputery.

— Klimatyzacja jest dla nich. Komputery lubią komfort.

— Podniosła techniczny podręcznik. — Właśnie o nich czytam.

— Przywiozłaś książki?

— Około tysiąca książek o CD-ROM -ach. Poznam je, jeśli, Boże broń, będziemy musieli tu zostać przez...

— Louise — przerwał Pyne. — Co wydarzyło się wczoraj wieczorem?

— Hugh nie złożył ci raportu?

— Chcę usłyszeć twoją wersję.

Louise Champion wyglądała na zdziwioną.

— Cóż, Ralph i ja przyjechaliśmy około 13:30. On prowadził pierwszą cysternę, a ja drugą, tak jak planowaliśmy.

— Gdzie był Hugh?

— Pilnował pracowników. Było ich około trzydziestu. Przerwała. — Słuchaj, Conradzie, jeśli masz jakieś pytania, dotyczące Hugh'a i Ralph'a, to ich powinieneś o to zapytać. Zgodziliśmy się, że musimy sobie ufać. Czyż nie tak?

— Naprawdę, Louise? A co ze zmianami w ultimatum?

Powiedziałaś o nich Kellerowi?

Louise zarumieniła się.

— To twoje zadanie, Conradzie.

— Do moich zadań należy również poznanie prawdy o losach zakładników.

— Kiedy pomogli zanieść na miejsce materiał wybuchowy, dostali od Ralph'a łódź i odpłynęli.

Pyne obserwował ją uważnie. Unikała jego spojrzenia.

— Widziałaś tę łódź?

— Oczywiście, że nie. Było ciemno.

— A może ją słyszałaś?

— Byłam zbyt zajęta. Sprawdziałam zapasy. — Nalała sobie kawy nie częstując Pyne'a.

— Czy słyszałaś strzały z karabinu?

— Dotarł do mnie jakiś hałas. Ralph powiedział, że sprawdzał detonatory.

— Louise, czy przypominasz sobie dwudziestoletnią dziewczynę, jedną z pracownic elektrowni? Ładne stworzenie z jasnymi włosami.

Louise wciąż nie patrzyła na Pyne'a.

— Niewykluczone, że ją widziałam. Nie pamiętam.

— Keller ją zastrzelił.

Louise spojrzała na niego z gniewem.

— To absurd. Ralph nie mógłby...

— Widziałem jej ciało. Ja tego nie zrobiłem. Z pewnością nie zrobiłaś tego ty ani Hugh, pozostaje więc jedynie Keller. Ciało dziewczyny znajduje się w tunelach inspekcyjnych, a tylko Keller tam wówczas pracował.

Louise podsunęła Pyne'owi kawę.

— Myślisz, że Ralph zabił wszystkich pracowników?

Pyne przyjął filiżankę i napił się.

— Tak sędzę. Tam na dole jest wiele kryjówek.

Zapadła cisza. Louise wzdrygnęła się, a potem spojrzała na Pyne'a i powoli pokiwała głową.

— Miałam pewne podejrzenia. Czemu jednak miałby zrobić coś takiego? Dlaczego?

Pyne pokręcił głową.

— Bóg jeden wie. Zamierzałem mu powiedzieć o zmianach wprowadzonych do ultimatum, ale doszedłem do wniosku, że jest na to za wcześnie.

— Prędzej czy później musisz mu powiedzieć — zauważyła Louise.

Pyne patrzył na tablicę kontrolną, sterującą detonatorami.

Znajdowały się na niej dwa szyfrowe przełączniki w odległości trzech metrów jeden od drugiego. Do odpalenia ładunków potrzeba było dwóch ludzi, którzy wybraliby szyfr i jednocześnie wcisnęli guziki.

— Mamy dużo czasu — powiedział powoli Pyne. Przeciągnął ręką po włosach. — Gdybym tylko mógł go zrozumieć... gdyby przez cały czas nie był tak cholernie uprzejmy.

— Powinieneś mu powiedzieć o zmianach w ultimatum, Conradzie.

— Nie, Louise. Dowie się o tym, kiedy premier ogłosi nową ustawę. Wtedy będzie za późno na spory.

Louise zmarszczyła brwi.

— Ciekawe, co teraz robi premier.

Pyne wstał.

— To, co ja powinienem teraz robić, śpi.

— Mimo że ma nas na głowie?

— Na pewno śpi — Pyne odwrócił się do wyjścia.

— Znałeś go kiedyś, prawda? - spytała Louise.

Pyne'owi nie spodobało się to pytanie.

— Dawno temu, kiedy pracował w ministerstwie obrony narodowej. Szybko zmienił temat. — Louise, zniszcz swoją kopię ultimatum. Jutro rano powiem Hughowi, toby zrobił to samo. Wszedł, zanim Louise zdążyła odpowiedzieć.

2

Od 10:00 tego ranka Howard Mitchell spędził godzinę przy telefonie, starając się ustalić przyczynę wybuchu w Thames Haven. Musiał wiedzieć, czy jego świder został zniszczony, czy też przewieziono go w inne miejsce. Jednak nikt nic mógł albo nie chciał mu pomóc. Londyńskie główne biuro spółki naftowej oświadczyło, że katastrofę bada departament handlu i przemysłu.

Przedstawiciel departamentu stwierdził, że nic na razie nie można zrobić, bo istnieje niebezpieczeństwo następnych wybuchów.

Ministerstwo spraw wewnętrznych oświadczyło, że teren rafinerii zablokowała policja, która nie wpuści nikogo, dopóki sytuacja nie zostanie opanowana. W ministerstwie lotnictwa cywilnego powiedziano, że zakaz lotów nad dorzeczem Tamizy pozostanie w mocy, dopóki nie odwoła go departament handlu i przemysłu.

Zdesperowany Mitchell zadzwonił do starego znajomego, Paula Weinera z ambasady amerykańskiej. Pięć minut później opuścił biuro, mówiąc sekretarce, że wychodzi na trzy godziny.

Po dziesięciu minutach jechał do Londynu. Za nim podążał Simpson w ciężarówce Bedford. Był to idealny samochód do tego rodzaju zadań: dzięki wysoko umieszczonej szoferce kierowca mógł jechać w bezpiecznej odległości za śledzonym człowiekiem i nie spuszczać go z oczu.

Mustang Mitchella wjechał tyłem na parking obok Grosvenor Square. Simpson minął go, lecz za chwilę kobieta, prowadząca golfa, wcisnęła się przed ciężarówkę, zabierając jej miejsce na parkingu. Zanim Simpson zdążył usatysfakcjonować swoje męskie ego wciskając klakson i przeklinając, Mitchell zniknął.

Simpson znalazł wolne miejsce i wszedł do McDonalda. Zgubił Mitchella, ale mógł obserwować mustanga siedząc na wysokim krześle przy oknie.

Mitchell bez kłopotu znalazł lokal „American Dream”.

— Pan Weiner powiedział, że zaraz przyjdzie — poinformowała go kelnerka, prowadząc do zarezerwowanego stolika w rogu.

Weiner zjawił się dziesięć minut później i zamówił dwa steki.

Mitchell zaczynał właśnie pić drugą filiżankę kawy. Obaj mężczyźni przywitani się serdecznie.

— Dawno się nie widzieliśmy — powiedział Weiner. —

Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje.

— Zatrzymywały mnie polityczne i atmosferyczne burze na Morzu Północnym.

Weiner uśmiechnął się szelmowsko.

— I meblowanie nowego domu w St Georges Hill.

— Skąd, do diabła, o tym wiesz?

Weiner rozejrzał się, dając żartobliwie do zrozumienia, że sprawa jest ściśle tajna.

— Wiemy wszystko o naszych chłopcach z Ameryki. Niewielu z nich udaje się dostać do St Georges Hill. Wygląda na to, że przemysł naftowy świetnie się rozwija.

— To się może skończyć — rzekł krótko Mitchell. — Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem. — Opowiedział krótko o wczorajszym locie i problemach z zaginionym świdrem.

— Czy ubezpieczyłeś sprzęt? — spytał Weiner.

— Dopiero od dzisiaj. Tak czy inaczej firma ubezpieczeniowa nie wypłaci mi odszkodowania, jeśli doszło do wypadku na skutek ataku terrorystów. Brytyjscy agenci ubezpieczeniowi bardzo się niepokoją o platformy wiertnicze. W każdej chwili spodziewają się jakiegoś zamachu na Morzu Północnym. W przyszłym tygodniu muszę wydać sto tysięcy dolarów na pompy. Nie chcę tego robić, jeśli będę potrzebował pieniędzy na pokrycie strat, spowodowanych utratą świdra. Kelnerka przyniosła steki.

— Słyszałem wczoraj w dzienniku, że może dojść do następnych eksplozji — powiedział Weiner po jej odejściu.

Mitchell otworzył teczkę i wyjął żółtą, firmową kopertę Kodaka.

Wręczył zdjęcie Weinerowi.

— Nie trzeba eksperta, żeby przekonać się, że nie zostało tam nic, co mogłoby wybuchnąć. Przyjrzyj się dobrze. To jedna wielka ruina.

Weiner spojrział z ciekawością na odbitekę. Było to zdjęcie zniszczonej rafinerii, wykonane z odległości dwóch kilometrów.

Mitchell miał rację. Zostały tylko ruiny.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział Mitchell. — Mówiłeś, że wczoraj oglądałeś dziennik, w którym podawano informacje o wybuchu?

Weiner skinął głową.

— Widziałem wiadomości w sieci komercyjnej. Dlaczego pytasz?

— Ja również to oglądałem, a także wiadomości w telewizji BBC i Sky

— rzekł Mitchell. — Żaden kamerzysta nie zjawił się na miejscu wypadku ani nawet w jego pobliżu. Pokazywano jedynie zdjęcia rafinerii sprzed katastrofy. Wiem, że brytyjskie dzienniki nie są najlepsze, ale na ogół radzą sobie dobrze, kiedy mają podać informację o poważnej katastrofie pod Londynem.

— To prawda, ale teren został zamknięty — zauważył Weiner.

— Nie — odrzekł Mitchell. — Mogli ustawić kamery z długim obiektywem po przeciwnej stronie rzeki, nawet jeśli Tamiza ma w tym miejscu cztery kilometry szerokości.

Weiner nic nie powiedział. Mitchell podał mu inne zdjęcie.

— Dzięki tej fotografii można się zorientować, w którym miejscu doszło do wybuchu. Była tylko jedna eksplozja — w samym środku parkingu dla pracowników. Któż mógłby się tego spodziewać?

— Dziwne — rzekł Weiner unosząc głowę znad zdjęcia.

— Masz rację, do cholery. To bardzo dziwne. Pokażę ci coś, co jest jeszcze dziwniejsze. — Mitchell wręczył Weinerowi trzecią fotografię.

— Nie widać tu dobrze rafinerii — odległość była zbyt duża. Ten kompleks to chyba elektrownia, a dwa helikoptery należą do moich sąsiadów z St Georges Hill: Hugh'a Pattersona i generała Conrada Pyne'a.

Przez kilka sekund Weiner patrzył na odbitki, a potem powiedział:

— Co w tym dziwnego? Słyszałem o Pattersonie. Jego firma produkuje pojemniki na odpady radioaktywne. Może pracuje właśnie nad jakimś projektem.

— Może — powtórzył Mitchell. — Prosiłeś mnie kiedyś, żebym cię informował o interesujących wydarzeniach w przemyśle naftowym. Pomyślałem, że przekażę ci teraz tę informację, a ty w zamian dowiesz się, co się stało z moim świdrem.

Weiner podniósł zdjęcie.

— Czy mogę je zatrzymać?

— Oczywiście. Weź wszystkie — Mitchell wręczył mu żółtą kopertę.
— Znajdziesz tam inne fotografie, ale nie są tak dobre jak te.
Weiner włożył odbitki do koperty.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedział. — Sprawdzę te zdjęcia, ale niczego nie obiecuję.

Simpson jechał za mustangiem Mitchella aż do ronda pod wiaduktem w Hammersmith i doszedł do wniosku, że Amerykanin wraca cło Surrey. Simpson nie miał zamiaru spędzać całego dnia poza Londynem. Sytuacja była zbyt poważna. Mitchell cały czas kierował się na zachód. Simpson skręcił w prawo i zawrócił do Londynu.

Po powrocie do biura Weiner położył zdjęcia na stole i przez kilka minut dokładnie je oglądał. Układ szczątków potwierdzał teorię Mitchella o miejscu eksplozji, jednakże zanim dojdzie się do ostatecznych wniosków, trzeba będzie porównać te fotografie z ostatnimi zdjęciami satelitarnymi Wielkiej Brytanii. Sprawa wydawała się interesująca, ale Weiner wątpił, czy jest w niej coś ciekawego dla CIA.

Weiner postanowił zadać kilka pytań ze względu na Mitchella, a potem zapomnieć o wszystkim. Ziewnął i zaczął wkładać zdjęcia z powrotem do koperty. Coś mu przeszkadzało. Zajrzał do koperty i wyciągnął fotografię wielkości pocztówki, która najwyraźniej nie należała do kompletu Mitchella. Pokazywała grupę ludzi z kieliszkami w rękach, zgromadzonych wokół helikoptera Bell JetRanger.

Zamierzał właśnie włożyć zdjęcie do koperty, kiedy coś sobie przypomniał.

Położył fotografię na biurku i patrzył na znajomą twarz mężczyzny siedzącego w otwartych drzwiach helikoptera.

Keller... Ralph Keller! Jezu Chryste!

Weiner podniósł słuchawkę i nacisnął dwa guziki. Czekał, trzymając słuchawkę przy uchu.

— Harry... tu Paul. Przypomnij sobie, co się działo kilka lat temu w Libii. Pamiętasz faceta, który przyłączył się do grupy Erica Hoffmana i zaproponował, że zbuduje Libijczykom bombę atomową?... Tak... No cóż, pewnie w to nie uwierzysz, ale myślę, że go znalazłem.

Dwie godziny po spotkaniu Howarda Mitchella i Paula Weinera na obiedzie w „American Dream” James Raven, oficer dyżurny w Madryckim Centrum Kontroli Kosmicznej, otrzymał wiadomość z bazy USAF w Mildenhall w Anglii. Rozszyfrowana depesza była prosta: satelita CYKLOP ma wykonać zdjęcia południowej Anglii.

Raven odczytał instrukcję i zastanawiał się, dlaczego ktoś chce marnować ograniczony zapas filmu w magazynach satelity na serię zdjęć dorzecza Tamizy. Po opróżnieniu magazynów CYKLOP stanie się bezużyteczny. W przeciwieństwie do francuskich satelitów typu SPOT, przesyłających wzmocnione komputerowo cyfrowe obrazy telewizyjne o wysokiej rozdzielczości, CYKLOP posługiwał się filmami. Warto było ponosić dodatkowe koszty: jakość filmu znacznie przewyższała jakość obrazu telewizyjnego.

Raven zażądał potwierdzenia treści depeszy, na wypadek, gdyby szyfrant popełnił jakiś błąd. Pięć minut później teledrukarka wydrukowała potwierdzenie. Raven nie próbował nawet rozszyfrować drugiej wiadomości — cyfry się powtarzały. Umieścił obie depesze w księdze raportów dziennych i doszedł do wniosku, że cokolwiek się stanie, nikt go nie będzie obwiniał za rozpoczęcie tej kosztownej operacji.

Raven usiadł przy pulpicie kontrolnym i nacisnął guzik. Na monitorze pojawiła się świetlista smuga, zaznaczająca orbitę satelity.

Satelita zmierzał nad Syberią ku biegunowi północnemu. Komputer przepowiedział, że za dwadzieścia minut CYKLOP będzie przelatywał nad zachodnim brzegiem Grenlandii daleko na zachód od celu.

Raven wprowadził do komputera kody zmiany kursu. Trzydzieści sekund później sygnał, wysłany ze stacji w Reykjaviku, uruchomił Rianewrowe silniki.

Raven sprawdził nową orbitę.

Po kilku poprawkach był już pewien, że satelita przeleci nad Południową Anglią kilka kilometrów na wschód od południka Greenwich, dokładnie nad ruinami rafinerii Thames Haven.

Ekran koło łokcia Ravena pokazywał planowany i przewidywany kurs, a obie linie dokładnie się pokrywały. Mrugające światełko wskazywało pozycję satelity.

O 15:30 CYKLOP znalazł się nad Szkocją. Raven wcisnął guzik, uruchamiający automatyczne wkładanie filmu do aparatu i zdjęcie osłony z obiektywu.

O 15:35 wysłał depeszę do Mildenhall z Informacją, gdzie będzie można znaleźć kapsułę z filmem. Wiadomość przekazano przez radio pułkownikowi Donaldowi Kaufmannowi, pilotowi bombowca Hustler, który wystartował z Mildenhall zaraz po przesłaniu instrukcji do Madryckiego Centrum Kontroli Kosmicznej.

O 15:45 CYKLOP znalazł się nad celem. W próżni nie rozległ się żaden dźwięk, kiedy otwierały się migawki kseroskopowych i podczerwonych aparatów fotograficznych.

O 15:48 satelita opuścił „teren badań”, wyznaczony przez Madryckie komputery. Ostatni sygnał unieruchomił migawki. Reszta dokonała się automatycznie: kapsuła odłączyła się od satelity i rozpoczęła długi, pięciusetkilometrowy lot na ziemię. Mały silnik raketowy błyszczał jaskrawo, starając się zniwelować orbitalną prędkość CYKLOPA.

Spadochron kapsuły otworzył się o 16:03. O 16:15 nawigator pułkownika Kaufmanna wykrył słabe echo radiowe i rozwinął siatkę przechwytyjącą.

Kilka minut później samolot przejął kapsułę.

Hustler wylądował na pasie startowym w Mildenhall dokładnie pięć godzin od chwili, w której Mitchell przekazał fotografie Paulowi Weinerowi.

4

O 12:30 Simpson zatelefonował anonimowo do pięciu wydawców ogólnokrajowych gazet oraz do głównego komisarza stołecznej policji. Za każdym razem podawał hasło „Stokrotka”, używane tylko przez Tymczasowych IRA, aby odróżnić prawdziwe ostrzeżenia o zamachach bombowych od dowcipów. Mówiąc z wyraźnym irlandzkim akcentem oświadczył, że po południu, w czasie spotkania premiera z 360 parlamentarzystami, pałac Westminsterki stanie się celem ataku bombowego.

Policja zareagowała błyskawicznie: główny komisarz zadzwonił do Simpsona i prosił o odwołanie spotkania. Simpson odparł, że spotkanie

musi się odbyć. Wysłano już 360 telegramów z żądaniem, aby posłowie przerwali wakacje i wrócili do Londynu.

Simpson zaproponował, aby policja usunęła wszystkich — nawet pracowników — z pałacu Westminsterskiego i wpuszczała tylko posłów.

Spotkanie miało się rozpocząć o godzinie 15:00. Policjanci nie pozostawili niczego przypadkowi. Zastosowano bezprecedensowe środki bezpieczeństwa. Posłów kontrolowano dokładniej niż zwykle. Każdego z nich legitymowano dwa razy przed przepuszczeniem przez kordon.

Na podziemny parking nie wpuszczono nawet ministerialnych samochodów, sprawdzanych rutynowo każdego dnia. Poproszono kierowców, żeby odjechali natychmiast po wysadzeniu pasażerów. Posłowie gromadzili się na korytarzach i pytali jeden drugiego, czemu zwołano to spotkanie. Porządkowi powiadomili Simpsona, kiedy liczba obecnych osiągnęła 345.

Simpson prowadził samochód. Tym razem premier siedział z przodu, zmuszając ochroniarza do podróżowania na tylnym fotelu.

— Czego się pan dowiedział o Amerykaninie? — spytał premier. Simpson zwolnił, widząc podniesioną rękę uzbrojonego policjanta, który chciał sprawdzić ich przepustki. Obejrzał je uważnie, a potem wezwał funkcjonariuszy z jonizatorami, którzy dokładnie przeszukali podwozie.

— I cóż?

— Nic, sir. Jechałem za nim dziś rano z Walton do Londynu, ale nie udało mi się ustalić, kogo odwiedził.

Grupka posłów, czekających na schodach, ruszyła naprzód, kiedy Simpson zatrzymał samochód. Premier trzymał rękę na kłamce.

— Proszę nie zapominać o tym, co powiedziałem, Simpson. Wolałbym wprawdzie, żeby został pan ze mną, ale powinniśmy się dowiedzieć, jakie informacje posiada Mitchell.

Zgromadzeni w sali konferencyjnej posłowie umilkli, kiedy premier wstał. Celowo nie rozmawiał o tej sprawie z kolegami z rady ministrów: dzisiaj wszyscy byli równi. Każdy mężczyzna i kobieta mieli tylko jeden głos. Nic więcej się nie liczyło.

— Przykro mi, że musiałem przerwać wam wakacje — zaczął.

— Nie zrobiłbym tego, gdyby nie fakt, że w obecnej chwili nasz kraj stanął w obliczu największego kryzysu w historii. Wczoraj grupa terrorystów pod dowództwem generała Pyne'a zajęła elektrownię atomową Vulcan Hall na Canvey Island. Grożą, że wysadzą w powietrze silosy z odpadami radioaktywnymi, jeśli rząd nie podejmie kroków, które ich zdaniem rozwiążą gospodarcze i społeczne problemy naszego kraju. — Premier przerwał. Wszyscy patrzyli na niego. — Mój sekretarz rozda wam kopie listy ich żądań, którą wczoraj otrzymałem. Chciałbym, żebyście przez najbliższe pięć minut uważnie przeczytali ten dokument. Kopie są ponumerowane. Nie zgubcie ich, gdyż później będziecie musieli je zwrócić.

Nikt nie będzie się odzywał ani opuszczał tej sali do momentu zebrania kopii.

Simpson rozdał kopie ultimatum posłom, a także Cox-Spenderowi, którego poproszono o przybycie na spotkanie. Wszyscy czytali w oszołomieniu. Panowała cisza, jedynie od czasu do czasu rozlegał się szelest papieru. Mijały kolejne minuty. Coraz więcej przerażonych, szarych jak popiół twarzy patrzyło na premiera. Poczekał, aż wszyscy skończą czytać.

— Dziękuję — powiedział. — Jeśli sądzicie, że terroryści blefują, to powinniście wiedzieć, że to oni spowodowali wczorajszy wybuch w rafinerii Thames Haven.

W sali panowała kompletna cisza. Jeden z posłów zdjął nogi ze stołu i postawił je na podłodze.

— Już od pewnego czasu Vulcan Hall nie wytwarza energii elektrycznej. Elektrownia była nieczynna, kiedy zajęli ją terroryści. Mimo to w silosach znajduje się ogromna ilość odpadów, a to ze względu na zdarzenia, do których doszło na składowisku w Cheshire. Przechowuje się tam również plutonowy ładunek tak zwanego „Latającego Holendra”. Vulcan Hall jest obecnie największym magazynem odpadów radioaktywnych w całym kraju. Wczoraj pan Cox-Spender odwiedził Vulcan Hall. Terroryści pokazali mu, w jaki sposób zrealizują swoje groźby, gdyby rząd nie spełnił ich żądań. Nie jestem naukowcem, poprosiłem go zatem, żeby opowiedział wam o tej wizycie... Panie Cox-Spender. Premier usiadł.

Cox-Spender poczuł, jak Simpson szturcha go w plecy. Podniósł się niechętnie. Zawsze czuł się nieswojo, przemawiając do tłumu, a zwłaszcza wówczas, gdy słuchacze zachowywali kompletne milczenie. Na początku mówił z wahaniem, ale później nabrał pewności siebie. Nie jest to przecież posiedzenie komitetu, nikt nie będzie go atakował. 345 twarzy obserwowało uważnie

!SoWca. Asystent doradcy premiera cały czas patrzył na notatki. Mówił piętnaście minut, a później bez pośpiechu opadł na fotel.

-- Mam pytanie! — rozległ się okrzyk z tyłu sali. Prelegent spojrział na premiera, czekając na wskazówki, ale polityk patrzył z uporem na podłogę

Widząc niepewną minę Cox-Spendera, wszyscy zaczęli nagle zadawać pytania. Premier wstał i podniósł rękę. Hałas ucichł.

__ Pan Cox-Spender odpowie na wasze pytania, ale proszę je zadawać pojedynczo. Wydaje mi się, że pan Quentin Brieley odezwał się pierwszy.

Quentin Brieley, poseł z Breckon Park, był niskim, wojowniczym mężczyzną. Zanim wybrano go do parlamentu, pracował jako nauczyciel w rodzinnym mieście Cardiff.

Podszedł bliżej, aż stanął naprzeciwko Cox-Spendera.

__ Chciałbym wiedzieć, jakie radionuklidy znajdują się w Vulcan Hall i jakie będą skutki ewentualnego skażenia – powiedział Brieley z wyraźnym walijskim akcentem.

Słowo „radionuklidy” nie zaalarmowało Cox-Spendera. W przeciwnym razie nie odpowiedziałby:

Są to radioaktywne produkty uboczne reakcji nuklearnych. Brieley prychnął.

__ Wiem. Proszę nam dokładnie wyjaśnić, co to za substancje i jakie grozi nam niebezpieczeństwo.

--- Cóż, pojemniki w centralnym silosie zawierają około dwustu izotopów uranu..

__ Na przykład? — spytał Brieley.

Posłowie milczeli. Nie wątpili, że niski Walińczyk, bezwzględny przeciwnik programu nuklearnego, zada wszystkie istotne pytania. Cox-Spender gorączkowo starał się przypomnieć sobie wszystkie izotopy o krótkim okresie połowicznego rozpadu. — Hm... ksenon

133, jod 133

Brieley przerwał.

— Czy takie właśnie substancje skradziono kilka lat temu z Windscale?

— Tak — Cox-Spender przeklinał w duchu dobrze poinformowanego Walijczyka i zastanawiał się, czemu premier nie spieszy mu na pomoc.

— Nikt jednak nie zginął.

— Bo mają krótki okres połowicznego rozpadu, zgadza się?

Cox-Spender skinął głową.

— W elektrowni znajduje się również ładunek „Latającego Holendra”.

Czy zapomniał pan powiedzieć o czymś jeszcze?

Cox-Spender zamierzał zaprotestować przeciwko obraźliwym insynuacjom tego człowieka, ale Brieley był szybszy.

— Co ze strontem 90, proszę pana? Zdaje się, że jest go tam sporo. Ma długi okres połowicznego rozpadu.

— W Vulcan Hall przechowuje się pewną ilość strontu 90 — przyznał prelegent.

Brieley odwrócił się do kolegów.

— Słyszeliście prawdopodobnie o tej substancji — powiedział z gniewem. — Atomy strontu 90 przypominają atomy wapnia, dlatego ciało chętnie je przyswaja i buduje z nich kości. Stront 90 nie jest zbyt szkodliwy dla dorosłych. — Spojrzał na Cox-Spendera.

— Proszę im powiedzieć, jak działa na dzieci. Niech usłyszą, co spotyka dzieci, których kości są zbudowane ze strontu 90.

Premier wstał.

— To nie pan Cox-Spender wymyślił tę substancję — rzekł łagodnie.

Asystent pomyślał, że polityk zamierza sam odpowiadać na pytania, premier jednak unikał spojrzenia doradcy i znów usiadł.

Brieley cały czas patrzył na Cox-Spendera z niechęcią i pogardą.

— Jod i cez to nic w porównaniu z plutonem. Ile plutonu jest w Vulcan Hall?

Cox-Spender na próżno szukał pomocy u premiera.

— Nie jestem pewien. Niewiele.

— Boże! — krzyknął Walijczyk. — Przecież nie potrzeba wiele!

— Podniósł pięść. — Kawaleczek takiej wielkości mógłby zabić wszystkich ludzi w naszym kraju!

Na całym świecie, pomyślał Cox-Spender, ale nie poprawił oponenta.

— Wystarczy jeden wdech powietrza, w którym znajduje się cząstka plutonu, żeby dostać raka płuc. Później się umiera. Czy mam rację, panie Cox-Spender?

— Jaki jest okres połowicznego rozpadu plutonu? — spytał ktoś.

— Dwadzieścia tysięcy lat — odrzekł szybko Cox-Spender, bojąc się, że Brieley użyje jakiegoś dramatycznego porównania, odpowiadając na to pytanie.

— Co to znaczy?

— Znaczy to — odpowiedział Brieley — że po dwudziestu tysiącach lat kilka funtów tej substancji zabije tylko połowę świata, i tak dalej. Oni zaś siedzą na wielu tonach plutonu.

Nikt się nie odezwał.

— Czy mam wam wyjaśnić, co się stanie, jeśli terroryści wysadzą silosy? — spytał Walińczyk zgromadzonych. — W porównaniu z taką tragedią wypadek na Three Mile Islands i katastrofa w Czarnobylu będą przypominały nieudany eksperyment ucznia szkoły podstawowej. Wszyscy mieszkańcy naszego kraju, a być może również wszyscy mieszkańcy Europy, Azji i Ameryki, umrą w ciągu kilku lat, a przez następne milion lat ziemia nie będzie nadawała się do zamieszkania. Czy tak, panie Cox-Spender?

Zapytany skinął głową. Mógłby się spierać o liczby, ale w zasadzie walijski poseł nie mylił się.

Brieley nie był już wściekły.

— Jeśli istnieją bramy piekieł, to są zrobione z plutonu — powiedział ze smutkiem. Popatrzył przeciągle na milczące twarze. — Nie bez powodu nazwano tę substancję na cześć władcy ciemności... Pluton... Usiadł.

Jeszcze przez kilka chwil panowała cisza, a potem wszyscy naraz zaczęli zadawać pytania.

Premier znowu wstał.

— Proszę was, panowie, żebyście jeszcze przez chwilę zachowali cierpliwość. Zamierzam wam coś pokazać. Później będziecie mogli zadać panu Cox-Spenderowi tyle pytań, ile zechcecie.

Cox-Spender usiadł. Zaczął podejrzewać, że zrobiono z niego kozła ofiarnego.

Przez kilka minut Simpson ustawiał wideo i odbiornik telewizyjny. Skinął głową do premiera, dając mu znak, że jest gotowy.

— Za chwilę zobaczycie nagranie wideo, które terroryści wręczyli panu Cox-Spenderowi w czasie wizyty — powiedział premier.

— W porządku, Simpson.

Na ekranie pojawił się Pyne, siedzący przy biurku koło szafki z książkami. Przez chwilę widać było napis: „GENERAL-MAJOR CONRAD PYNE, KAWALER ORDERU IMPERIUM BRYTYJSKIEGO”.

Pyne splótł palce na biurku i pochylił się do przodu, patrząc prosto w kamerę.

— Kiedy usłyszycie te słowa, będziecie już znali prawdę — powiedział spokojnie i bez pośpiechu. — Myślicie prawdopodobnie, że stoicie przed trudnym dylematem. Nie istnieje jednak żaden dylemat, panie i panowie, jeśli spełnicie żądania podane w naszym ultimatum. Musicie je spełnić, gdyż nie macie wyboru. Chciwość, egoizm i nieumiejętność wprowadzenia prostych środków zaradczych sprawiły, że nasz kraj zmierza do ruiny. Wielu ludzi ponosi za to odpowiedzialność, ale przede wszystkim wy — Pyne wskazał kamerę. Telewizyjne transmisje z obrad parlamentu pokazały opinii publicznej, że większość posłów to niezdyscyplinowani egoiści, którzy nie nadają się do tego, by rządzić sześćdziesięciomilionowym narodem. Zapytuję, co złego zrobił naród brytyjski, aby kierowali nim tacy ludzie jak wy? — Pyne przerwał. Zszokowani posłowie milczeli.

Być może nie jesteście temu winni jako jednostki. Niewykluczone, że cała odpowiedzialność spada na wasze partie. Eliminują one błyskotliwych kandydatów i wysyłają do parlamentu ludzi ograniczonych, którzy potrafią machać tylko brytyjską flagą, ale nie są zdolni do logicznego myślenia. Skutki tego są opłakane. Wielką Brytanią rządzi niekompetentny i nieudolny parlament, któremu brakuje inicjatywy i odwagi, aby z determinacją i zapałem zabrać się za rozwiązywanie problemów kraju. W rezultacie mamy galopującą inflację, bezrobocie, jesteśmy izolowani w Europie, a nasze vouchery restauracyjne są pośmiewiskiem całego kontynentu.

Nie doceniliście narodu brytyjskiego. Wasze mdłe, nieprzemysłane półśrodki irytowały raczej niż inspirowały ludzi. Oto jeden z przykładów: zwróćcie uwagę na zamieszanie, jakie panuje w handlu nieruchomościami. W naszym kraju nie brakuje ziemi ani materiałów budowlanych! Obciążanie obywateli ogromnymi długami hipotecznymi

przypomina zadawanie sobie samemu poważnej rany.

Zagospodarowaliśmy jedynie dziesięć procent ziemi! Ziemia jest przecież dla ludzi! PozwólmY Brytyjczykom budować i rozbudowywać domy w miarę ich możliwości i potrzeb, zamiast sprzedawać po zawyżonych cenach ciasne, małe domki z prefabrykatów na ogromnych parcelach.

Jeśli zaczniemy sprzedawać ziemię po realistycznych cenach, to będzie to procentować w następnym stuleciu.

Sytuacja w handlu nieruchomościami świadczy o tym, że nie potrafiliście zauważyć rzeczywistych potrzeb kraju. Baliście się wprowadzić skuteczny system kontroli, gdyż przerażała was wizja pustych skrzynek do głosowania w czasie następnych wyborów.

Jednakże gdybyście to zrobili, uzyskalibyście szerokie poparcie.

Niestety, woleliście załamywać ręce i obwiniać wszystkich oprócz samych siebie.

Inne kraje Wspólnoty Europejskiej przeżywały okres rozkwitu — nawet dawne Niemcy Wschodnie są teraz w lepszej sytuacji niż Wielka Brytania. Tymczasem my musieliśmy słuchać, jak kolejne rządy gadają bez przerwy o suwerenności. Jeśli podstawimy słowo „władza” zamiast wyrazu „suwerenność” we wszystkich politycznych przemówieniach, wygłoszonych przez kilka ostatnich lat, to ich sens stanie się złowieszczo jasny. Z waszego punktu widzenia władza jest ważniejsza niż miejsca pracy, domy, opieka zdrowotna — niż wszystko. Jednakże suwerenność nie buduje domów i nie zapewnia miejsc pracy, nie równoważy naszego bilansu płatniczego, nie spłaca kredytów hipotecznych, nie gwarantuje łóżek w szpitalach, przyzwoitych szkół ani nauczycieli z motywacją do pracy.

Suwerenność to negatywna siła: podsyca nacjonalizm, sprzyja chciwości i niekompetencji. Jeśli chcemy ją zachować, musimy płacić wysokie podatki na niezależne wojsko, marynarkę i lotnictwo. W ten sposób koszty rosną, a w dodatku zmniejsza się bezpieczeństwo w powietrzu, gdyż nie pozwalamy na wprowadzenie ogólnoeuropejskiego systemu kontroli lotów. Podam przykład: w imię suwerenności wydaliśmy majątek na dwa systemy telefonów komórkowych, z których żaden nie jest kompatybilny z europejskimi sieciami.

W rezultacie musimy teraz wyrzucić oba systemy i spisać na straty pięć miliardów funtów. Dążeniu do niezależności zawdzięczamy również

absurdalny system telewizyjny MAC, który przyczynił się do upadku naszego przemysłu telewizyjnego, gdyż nikt inny nie był nim zainteresowany. Nic dziwnego, że Japończycy biją nas na głowę, jeśli zmuszamy naszych najlepszych inżynierów do projektowania bezużytecznych systemów. Zapomnieliście chyba, że Wielka Brytania jest małym krajem, przez który można przejechać samochodem w jeden poranek. Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie mózgow, pieniędzy i środków na bezsensowne powielanie w imię podstępnego wroga naszej przyszłości: tej tak zwanej niezależności. Pyne niemal wypuł to ostatnie słowo. Przerwał na chwilę i napił się wody.

— Od tej chwili, panie i panowie, nasz kraj prowadzi wojnę. Wielka Brytania radziła sobie dawniej z widzialnymi przeciwnikami. Teraz musimy zjednoczyć nasze siły w walce przeciwko niewidzialnym wrogom: chciwości i inflacji, które zniszczą kraj, tak jak zamierzał zrobić to Hitler i jak to zrobią odpady nuklearne, jeśli będziemy zmuszeni wysadzić silosy. Pyne przerwał i spojrzał prosto w kamerę.

— Myliłem się. Macie pewien wybór. Możecie zaakceptować na pięć lat nasze propozycje albo zniszczyć Anglię na całą wieczność.

Obraz zniknął. Przez kilka sekund panowała niezmacona cisza, którą przerwał dopiero dźwięk wyłączającego się odtwarzacza wideo.

Premier wstał i przyjrzał się zamyślonym twarzom.

— Wiecie teraz, z jakimi ludźmi mamy do czynienia. Są bezwzględni, lecz działają skutecznie. To jednak terroryści, niezależnie od ich motywów. Nie możemy o tym zapominać. Macie jakieś pytania?

— Co na to wojsko? — spytał ktoś z tyłu. — Kiedy zaatakują i załatwią tych ludzi?

— Chyba pan nie rozumie — odrzekł premier. — Nie zaplanowano żadnych posunięć przeciwko terrorystom. Nikt poza wami nie wie o niczym. Nawet moi koledzy z rady ministrów dopiero teraz poznali prawdę. W obliczu tak poważnego kryzysu wszyscy powinniśmy się zastanowić, co należy zrobić. To bardziej sensowne posunięcie niż zwoływanie parlamentu, aby zaakceptował decyzje rady ministrów.

— Prędzej my coś uzgodnimy niż rada ministrów — zauważył poseł z tylnych ławek. Kilka osób zachichotało. Premier uśmiechnął się chłodno.

— Podziały wewnątrzpartyjne odzwierciedlają się na wszystkich poziomach — zauważył. — Także na tylnych ławkach. W obecnej chwili potrzebujemy jedności.

— Jakie są szanse zorganizowania skutecznego ataku? — spytał minister spraw wewnętrznych.

Premier skinął głową w kierunku Cox-Spendera.

— Zgodnie ze wstępnym rozpoznaniem, każdy atak zakończy się klęską — powiedział Cox-Spender.

Na ministrze nie zrobiło to wrażenia. Nie podobało mu się, że nie poinformowano go wcześniej o tej sprawie.

— Doprawdy? Kto doszedł do takiego wniosku?

Brieley poderwał się.

— O czym my do diabła mówimy? — spytał. — Zachowujemy się tak, jak gdybyśmy mieli jakiś wybór. — Pokazał palcem telewizor.

- Widzieliście tego maniaka. Musimy go posłuchać, bo w przeciwnym razie zniszczy cały kraj. Sprawa jest jasna i prosta. Zostaliśmy przyparci do muru. Jak mówią Amerykanie, „nie mamy wyjścia”. Jego słowa wytrąciły posłów z oszołomienia. Wszyscy poderwali się z miejsc. Niektórzy krzyczeli, że Brieley ma słuszość, inni wrzeszczeli, że żaden rząd nie powinien ustępować terrorystom.

Wyglądało na to, że za chwilę rozpęta się jeszcze jedna zwykła, parlamentarna awantura. Premier musiał krzyknąć kilka razy, żeby zwrócić na siebie uwagę. W końcu tumult ucichł i wszystkie twarze zwróciły się ku przywódcy.

— Cóż — rzekł premier. — Wygląda na to, że pan Brieley ma na ten temat dużo do powiedzenia, może więc on zaproponuje, co powinniśmy zrobić. Panie Brieley?

Protekcjonalny ton premiera nie onieśmielił walijskiego posła. Całą karierę parlamentarną zawdzięczał walce przeciwko energii atomowej. Teraz wiedział, że gra była warta świeczki.

— Panie premierze, proponuję natychmiastowe zwołanie parlamentu, tak aby w ciągu najbliższego tygodnia żądania tych łotrów zostały wprowadzone w życie.

— Brieley był w dobrej formie — zauważył premier, wracając z Simpsonem na Downing Street.

— Można się było tego spodziewać — rzekł Simpson.

— Załatwił całą sprawę za nas — odpowiedział premier, opierając się na fotelu.

Simpson patrzył na jezdnię. Kilku policjantów zatrzymało ruch, pozwalając im przejechać.

— Kiedy obejmie pan tego Amerykanina intensywnym nadzorem?

— Czy nie sądzi pan, że ktoś inny lepiej by się do tego nadawał?

Nie jestem przyzwyczajony do takich zadań.

— Znakomita okazja, żeby się czegoś nauczyć, Simpson. Taki talent może przydać się panu w przyszłości.

Simpson zacisnął usta i nic nie odpowiedział.

5

Walter Innam miał słaby wzrok. Z odległości pięćdziesięciu jardów nigdy nie udało mu się trafić w cel nie mówiąc że z takiego dystansu nawet nie zważyłby celu. Bez okularów z grubymi szklami przedmioty znajdujące się w odległości większej niż jeden metr, zlewały się przed jego oczami w nie wyraźną plamę.

Nikt jednak nie radził sobie lepiej od Innama kiedy należało przypatrzeć się czemuś z bliska. Na przykład zdjęciom wywiadu wojskowego Nawet najgorsza fotografia była dla niego niewyczerpanym źródłem informacji. Często odkrywał szczegóły, na które nikt inny nie zwracał uwagi. Natura wynagrodziła Innama, obdarzając go zdolnością zauważania na zdjęciach rzeczy, których nie mógł ujrzeć w wysoko kwalifikowanym laboratorium CIA. Innam patrzył w okular stereoskopowej przegładarki, przypominający peryskop łodzi podwodnej. Jedną ręką trzymał małą dźwignię, za pomocą której mógł posuwać trójwymiarowy obraz w dowolnym kierunku Kiedy ją naciskał - miał wrażenie, że ziemia pędzi ku niemu jakby znajdował się w ostro nurkującym samolocie.

Poproszono go, żeby przygotował raport o przyczynach wybuchu, który wczoraj zniszczył rafinerię Thames Haven. Uwielbiał wykonywać takie zadania był wówczas przekonany, że wykorzystuje swój talent we właściwy sposób, a jego praca ma sens.

Przez kilka minut przyglądał się zdjęciu z różnych stron, aby nabrać orientacji w terenie. Nie odnosił wrażenia, że patrzy na fotografię. Czuł się tak jakby leciał samolotem, który po naciśnięciu dźwigni może nurkować do wysokości dziesięciu stóp nad ziemią lub wznieść się 500 kilometrów w górę.

Tu w ciemności, był istotą - najwyższą — nie dręczyły go bolesne wspomnienia dzieciństwa, kpiny okrutnych dzieci, które postanowiły zamienić w piekło życie ośmioletniego krótkowidza. Tutaj stawał się Bogiem; wszechmocną istotą, której bystre oczy obserwują drobną, ludzką krzątanicę i patrzą szyderczo, jak ludzie próbują ukryć swoje nędzne sekrety. On, Walter Innam, widział wszystko — pary kopulujące w polach kukurydzy, libijskich inżynierów, budujących bazy raketowe na urwistych wzgórzach, europejską królową spacerującą z mężem wokół pałacu. Nic się przed nim nie ukryło. Innam dokładnie przyjrzał się rafinerii z wysokości trzech tysięcy stóp. Jego pole widzenia obejmowało cały teren zniszczeń. Nacisnął guzik i ujrzał zdjęcie rafinerii zrobione przed eksplozją — była to jedna z tysięcy fotografii z biblioteki CIA, zrobionych dwa lata temu w czasie przeglądu brytyjskich instalacji przemysłowych. Wciskając kilka razy ten sam przycisk Innam miał wrażenie, że niszczy i odbudowuje rafinerię. Czuł się jak Bóg, ale prawdziwym celem tego eksperymentu, nazywanego w żargonie zwiadowców „badaniami porównawczymi”, było odkrycie epicentrum. Rafineria — ruiny; rafineria — ruiny. Jego dłoń coraz szybciej naciskała guzik. Na siatkówce Innama tworzył się pewien obraz; zaczynał widzieć wybuch. Rafineria — ruiny... Obrazy zlewały się niczym sąsiadujące ze sobą klatki filmu. Teraz Innam dostrzegał eksplozję. Widział falę uderzeniową, biegnącą z północnego końca rafinerii — z parkingu. Widział, jak wysokie kolumny destylacyjne pękają i padają na ziemię, a ich szczątki fruwią w powietrzu na wysokości kilkuset metrów. Prerażająca scena zniszczenia, trwająca zaledwie pięć sekund, przesuwała się w ciszy przed oczami Innama. W ciągu pięciu minut ustalił miejsce wybuchu. Teraz musiał znaleźć przyczynę. Realizacja takiego zadania zabrałaby innemu ekspertowi przynajmniej dwie godziny. Innam usadowił się wygodnie w fotelu i rozpoczął drobiazgowo badania. Podzielił rafinerię na kwadraty, nakładając na obraz siatkę współrzędnych. Skoncentrował się na kwadracie w epicentrum i

naciskał dźwignię, dopóki ten kwadrat nie wypełnił całego pola widzenia. Niewyraźna masa żelastwa zamieniła się w osobne, ale wciąż trudno rozpoznawalne fragmenty urządzeń.

Jeszcze niżej. Sto metrów. Bez zmruczenia oka spoglądał w dół.

Pięćdziesiąt metrów. Jasne plamy, które na większej wysokości zlewały się z otoczeniem, stały się teraz promieniami słońca, odbitymi od stalowych odłamków. Szczątki samochodów.

Innam zwiększył kontrast i skorygował oświetlenie. Na początku przyjrzał się szwom spawalniczym. Ich ułożenie powie mu, czy eksplozja miała miejsce w jakimś samochodzie czy też na zewnątrz.

Przeszukał szczegółowo każdy centymetr kwadratowy badanej powierzchni. Od czasu do czasu nagrywał uwagi na taśmę magnetofonu, który włączał się na dźwięk głosu. Czasami przyglądał się dokładnie jakiemuś przedmiotowi. Ani razu nie mrugnął. Kawałek aluminium o nieregularnym kształcie miał szerokość trzydziestu centymetrów. Był lekko zakrzywiony i wyglądało na to, że w procesie produkcji poddano go anodowaniu. Wrytyo na nim cyfry, które Innam natychmiast rozpoznał. Zanim minęło pięć minut, odkrył inne fragmenty aluminiowego urządzenia.

Przez kilka chwil przyglądał się im ze zdumieniem, a później odprężył się. Czuł jednocześnie satysfakcję i żal, że zadanie zostało już wykonane.

Spojrzał na zegarek.

Ustalenie przyczyny wybuchu zajęło mu 15 minut.

6

Zamyślony Ralph Keller siedział samotnie w sali kontrolnej elektrowni Vulcan Hall.

Po raz setny zastanawiał się nad możliwymi działaniami rządu brytyjskiego i po raz setny doszedł do wniosku, że rząd nie ma wyboru: musi zaakceptować warunki ultimatum. Nie istniało inne rozwiązanie, gdyż elektrownia była niedostępną fortecą. Z trzech stron bronił jej obóz wojskowy, a z czwartej strony drogę zagrażdzała rzeka.

Na dachu nad głową Kellera pracował radar. Jeśli coś znajdzie się w jego zasięgu, natychmiast włączy się alarm. Nawet bombowce, lecące na dużej wysokości, nie przemkną się nie zauważone.

W najgorszym razie może dojść do ataku raketowego — otrzymałby wówczas ostrzeżenie z trzydziestosekundowym wyprzedzeniem. Po wielu tygodniach ćwiczeń potrzebował jedynie pięciu sekund, żeby wyjąć z kieszeni zmodyfikowany telefon komórkowy i wcisnąć pięciocyfrowy kod.

Uśmiechnął się do siebie i pogłaskał mały telefon. Inni nie wiedzieli, do czego służy to urządzenie. Kiedy należało podjąć jakieś działanie, nie można było na nich liczyć. Wykazała to ich reakcja na wiadomość o ofiarach w rafinerii. Na szczęście podjął środki ostrożności.

Jeszcze raz pogłaskał guziki telefonu. Były gładkie i twarde, a jednak ustępowały pod naciskiem — jak sutki kobiety...

Przypomniał sobie sobotni wieczór.

Stała tam jasnowłosa dziewczyna. Patrzył w mroku tunelu, jak kołyszą się jej piersi, kiedy pochylała się, aby podnieść pudło z cyklonitem. Miał nad nią absolutną władzę. Tym razem nic go nie powstrzyma.

Przyłożył do jej boku lufę sterlinga i wskazał korytarz. Na początku nie zrozumiała. Patrzyła na niego bez wyrazu, on zaś pragnął widzieć w jej oczach strach. Może powinien wybrać inną?

Nie! Znaczyłoby to, że to oni go kontrolują.

Wepchnął dziewczynę w niszę tunelu i ustawił się tak, aby widzieć również pozostałych pracowników elektrowni, ustawiających kartony.

Miała długie, jedwabiste włosy. Lubił długie włosy. Pogładził ją po nich, trzymając w drugiej ręce karabin. Chyba wzdrygnęła się, kiedy jej dotknął. Nie był pewien. Zwracał uwagę tylko na własne emocje — krew łomotała mu w uszach jak pospieszny pociąg. Położył ręce na jej piersiach. Wcześniej, kiedy się schylała, wyglądały bardzo obiecująco, teraz jednak rozczarowały; ledwo wyczuwał sutki pod palcami.

Ogarnął go gniew. Ścisnął mocno pierś dziewczyny i popchnął ją w głąb korytarza. Wystrzał sterlinga uciszył jej krzyk. Kule uniosły dziewczynę w powietrze i rzuciły o ścianę tunelu. Upadła na podłogę.

Nie miała już piersi.

Tego właśnie chciał.

Pomimo włączonej klimatyzacji, późnym wieczorem w Sali kontrolnej było gorąco. Zamknął oczy. Poruszyły go wspomnienia sobotniej nocy. Dotknął się.

Potem jego twarz się zachmurzyła. Skulił się.

— Ty wstrętny chłopcze! — krzyczała matka. — Poczekaj, niech tylko ojciec wróci do domu!

Cios, którego oczekiwał, nigdy jednak nie spadł.

Otworzył oczy.

Przyglądała mu się Louise Champion.

— Przyniosłam ci kawę — powiedziała. — Za pięć minut obejmuję wartę.

Keller podziękował i wziął kubek. Miała na sobie obcisłe dzinsy i drogą bluzkę, zawiązaną z przodu w węzełek.

Keller sączył kawę. Na kubku była plama, ale nie protestował.

Opuściły go gniew i napięcie, ale czuł się nieswojo w obecności tej kobiety. Dlaczego nie usiadła? Może starała się okazać w ten sposób swoją wyższość, dokuczwała mu, tak jak to często robią kobiety? Drażnił go wąski pasek ciała, widoczny pod bluzką.

Patrzyła teraz na jego białe palce, zaciśnięte nerwowo na kubku.

Z wysiłkiem rozluźnił uścisk. Rzadko pozwalał sobie na okazywanie zdenerwowania, kręciło mu się jednak w głowie, kiedy wspominał dziewczynę z tunelu. Niewiele brakowało, a rozpadłby się delikatny, psychiczny mechanizm, powstrzymujący Kellera przed szaleństwem.

— Wyglądasz, jak gdybyś potrzebował snu — powiedziała

Louise.

— Czy dziś po południu udało ci się zasnąć w tym upale? — spytał.

— Och, tak — odparła beztrosko. — Spróbuj liczyć barany.

Keller skinął głową i wstał.

Może jej łóżko jest jeszcze ciepłe.

Pokój Louise należał dawniej do głównego inżyniera elektrowni.

Był zamknięty.

Keller wcisnął kartę kredytową w szparę pomiędzy drzwiami a framugą. Poczul lekki opór, kiedy sztywny kawałek plastiku natrafił na zasuwkę typu Yale. Poruszał kartą w dół i w górę pchając jednocześnie do przodu. Nagle zamek ustąpił. Keller otworzył drzwi i schował kartę do portfela. Stał przez chwilę na progu, drżąc z podekscytowania i radości. Zamknął za sobą drzwi i miał wrażenie, że powróciły czasy dzieciństwa. Musi się spieszyć — matka nigdy nie robi zakupów dłużej niż godzinę.

To jednak nie był pokój matki. Ona zawsze sprzątała pościel przed wyjściem i nigdy nie spała na łóżku polowym.

Przez chwilę stał nieruchomo, a jego oszołomiony umysł próbował odróżnić fantazję od rzeczywistości.

Louise zrobiła z biurka toaletkę. Stały na nim jej rzeczy: szczotka do włosów, zdjęcie w srebrnych ramach przedstawiające mężczyznę w mundurze RAF-u, upozowanego w stylu fotografii z minionej epoki. Ile ona ma lat? Trzydzieści pięć?

Czterdzieści?

Najpierw otworzył dolną szufladę. Zawierała pudełka po taśmie maszynowej, ołówki i butelki zaschniętego płynu korekcyjnego. To samo było w następnej szufladzie. Keller otworzył górną szufladę, nie zamykając dolnych. Znajdował się w niej portfel, kilka listów, spis lekarstw i wykaz detektorów promieniowania w elektrowni.

Listy były nieciekawe.

Z wściekłością zamknął szufladę.

W rogu stały dwa duże pudła. Jedno z nich zawierało pudełka z podpaskami i nowymi butami. W drugim znajdowały się nie używane ubrania w fabrycznych opakowaniach. Wyjął spod łóżka małą walizkę. Znalazł w niej biustonosze i majtki — wszystkie czyste i nie używane.

Nie mógł już wytrzymać napięcia. Rozrzucił wściekle bieliznę po pokoju i rzucił się na łóżko. Przez kilka minut był z gorzkiej frustracji.

W końcu odzyskał rozsądek. Pozbierał ubrania, poskładał i schował do walizki. Potem usiadł na brzegu łóżka i starał się uspokoić nerwy.

Zwrócił uwagę na chodniczki, leżące na podłodze. Wszystkie miały ten sam kolor, zostały jednak ułożone w taki sposób, że szczebiniaste pokrycie dwóch sąsiadujących ze sobą chodniczków było ustawione pod innym kątem. Jeden z chodniczków różnił się od pozostałych—jego włosie układało się pod niewłaściwym kątem.

Keller wyciągnął rękę, zamierzając inaczej go położyć.

Pod chodniczkiem znajdowała się pojedyncza kartka maszynopisu.

Była to kopia, być może piąta lub szósta, gdyż na powierzchni widniały ślady kalki. Mimo to bez trudu odczytał tekst:

Do końca obecnego stulecia nad zorganizuje w Wielkiej Brytanii jednostkę wojskową dla potrzeb Wspólnoty Europejskiej... Środki transportu publicznego będą bezpłatne...

należy natychmiast sprzedać 500 000 hektarów ziemia w działkach po ćwierć hektara, aby ludzie mogli budować na nich domy.

Keller z niedowierzaniem studiował dokument. Potem z rosnącym gniewem przeczytał go jeszcze raz.

Conrad Pyne i Hugh Patterson siedzieli w sali rekreacyjnej, kiedy drzwi raptownie się otworzyły. Do środka wpadł Keller; jego twarz była biała z gniewu. Zanim Patterson zdążył go zatrzymać, chwycił Pyne'a za kłapy i zaczął krzyczeć:

- Drań! Wstrętny, kłamliwy drań!

Patterson starał się odciągnąć Kellera, ale Pyne mu przeszkodził.

— Do diabła, o co panu chodzi? — spytał Pyne, próbując wyswobodzić się z uścisku Kellera. Wyglądało jednak na to, że Keller stracił panowanie nad sobą. Bez przerwy krzyczał:

— Drań!

— Powiedz mi wreszcie, co się stało!

Patterson skoczył ku nim, ale zgiął się wpół, kiedy Keller wymierzył mu cios w żołądek. Fyzyk popchnął Pyne'a na krzesło i pomachał mu kartką przed nosem.

— Uzgodniliśmy warunki. Wszyscy się na nie zgodziliśmy! — Keller drżał z wściekłości.

— Nie bądź głupi — westchnął Patterson. — O czym ty, do diabła, mówisz?

Keller pokazał kartkę obu mężczyznom.

— Komuniści! — krzyknął histerycznie.

— No dobrze — powiedział łagodnie Pyne. — Teraz uspokój się i pokaż mi ten papierek.

Keller uspokoił się, ale jego twarz wciąż była trupio biała.

— Wszyscy zaakceptowaliśmy warunki ultimatum, kiedy planowaliśmy tę operację. Teraz odkryłem, że...

— Poczekaj chwilę — rzekł Patterson. — Trudno było cię przekonać, żebyś zgodził się chociaż na połowę z nich.

— Tylko komunista mógłby je przyjąć!

— Niech pan posłucha — powiedział spokojnie Pyne. — Wszyscy pragnęliśmy umieścić na liście pewne prawicowe żądania, ale jeśli mamy uzyskać poparcie narodu, to dla równowagi musimy również zaproponować kilka socjalistycznych rozwiązań. Chcemy przecież

zjednoczyć kraj, a nie wywołać wojnę domową. Projekt założenia samorządnych muzułmańskich enklaw w Zjednoczonym Królestwie...

— Przecież tego domagają się Azjaci! — wrzasnął Keller.

— Tego domagają się niektórzy muzułmanie — poprawił Pyne.

— Sam pan dobrze wie, że ta propozycja była tylko podstępem.

Upierał się pan przy tym, gdyż miał pan nadzieję, że wywoła to konflikt pomiędzy muzułmanami a resztą ludności.

— Nie chcemy wprowadzać apartheidu — rzekł Patterson.

— Nikt z nas tego nie pragnie.

— Posłuchaj, Keller — rzekł Pyne. — Bardzo nam przykro, że cię okłamaliśmy, ale jest już za późno na zmianę ultimatum. Wcale zresztą tego nie chcemy.

— Nie, generale. Myli się pan — Keller mówił teraz spokojnie i bez gniewu. Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon komórkowy.

-Podejrzywałem, że coś przede mną ukrywacie, dlatego podjąłem środki ostrożności.

Keller podniósł urządzenie. Obaj mężczyźni patrzyli zaskoczeni.

— Do kogo dzwonisz? — spytał Patterson.

Keller uśmiechnął się chłodno do swego byłego pracodawcy, nacisnął kciukiem przełącznik i podniósł aparat, tak aby obaj mężczyźni mogli zobaczyć klawiaturę.

— To już nie jest telefon, Patterson, chociaż wciąż pełni rolę przekaźnika. Wystarczy, że go włączę, tak jak to przed chwilą pobiłem, i nacisnę pięć klawiszy w odpowiedniej kolejności.

Wyemitowany sygnał dotrze do odbiornika, ukrytego w jednym z pudeł z cyklonitem, i spowoduje wybuch. — Keller uśmiechnął się. —

Wybuchnie nie tylko to pudło, ale cały ładunek. Pomysł dwóch guzików, które muszą wcisnąć jednocześnie dwie osoby, był bardzo sprytny, ale to jest sprytniejsze.

Keller nacisnął cztery guziki. Dźwięk rozległ się w całym pokoju.

Pyne wyciągnął rękę.

— Daj mi to, Keller. — Mówił jak do małego chłopca.

Keller jednak nie zareagował: teraz to on kontrolował sytuację.

Agresywna, stłumiona część jego osobowości brała górę tylko wtedy, gdy czuł, że rządzą nim zewnętrzne siły. Teraz był spokojny

i niewzruszony — prawdziwy pan sytuacji. Pokręcił głową, trzymając palec nad klawiaturą.

— Jeśli zrobi pan jeszcze jeden krok, generale, nacisnę guzik. Być może nie wszystkie ładunki wybuchną, zadbałem jednak o to, by eksplodował materiał wybuchowy pod silosem trzecim, w którym znajduje się pluton.

Pyne patrzył przez chwilę na Kellera. Nie mógł uwierzyć, że ten ogarnięty zimną wściekłością mężczyzna to spokojny, zawsze uprzejmy Keller. Do tej pory Keller tylko raz stracił panowanie nad sobą, kiedy w czasie jednego ze spotkań wyraził sprzeciw wobec pewnych środków proponowanych przez Pyne'a.

Generał doszedł do wniosku, że Keller nie blefuje — posiadał wystarczającą wiedzę, żeby zmodyfikować telefon komórkowy i zbudować odbiornik. Pyne przeklinał w duchu samego siebie za to, że włączył Kellera do grupy. Nigdy mu nie ufał, jednakże to Keller zaprojektował silosy — znał ich słabości i wiedział, gdzie podłożyć ładunki.

— Co pan zamierza zrobić? — spytał Pyne zmęczonym głosem. Nagle zapragnął, żeby ta okropna historia wreszcie się skończyła. Nie uświadamiał sobie nawet, że to niepokój o losy kraju nie pozwolił mu rzucić się teraz na szaleńca. Nie myślał o tym. Jego samokontrola była instynktowna.

Keller popatrzył na kartkę.

— Zdaje się, że do godziny dwunastej jutrzejszego dnia rząd musi zaakceptować warunki ultimatum, czy tak?

— Tak — odrzekł Pyne bezbarwnym tonem. — Potem będą mieli siedemdziesiąt dwie godziny na sporządzenie projektu ustawy.

— Czy coś jeszcze ukryliście przede mną?

— Nic.

— Na pewno?

— Tak.

Keller skinął głową.

— Dobrze, generale. Lepiej jednak, żeby tym razem mówił pan prawdę.

Położył kartkę na stole i skreślił kilka warunków. Popchnął dokument w kierunku Pyne'a.

— Chcę, żeby zadzwonił pan natychmiast do premiera i powiedział mu o tych zmianach.

Na stole stał telefon. Keller przyłożył słuchawkę do ucha, a potem

wręczył Pyne'owi.

— Jest sygnał. Mam nadzieję, że korzystał pan ze specjalnej linii, tak jak ustaliliśmy.

Pyne wziął słuchawkę i powoli wykręcił bezpośredni numer Simpsona. Czekał patrząc na podłogę.

— Proszę nic więcej nie mówić — rzekł Keller. — Po prostu niech pan powie, które warunki zostały wykreślone i upewni się, że zrozumiał.

Pyne zastanawiał się, czy Keller słyszy sygnał. Przycisnął mocniej słuchawkę do ucha.

— Simpson? Tu generał Pyne z Vulcan Hall... Wprowadziliśmy pewne zmiany do ultimatum, dostarczonego w niedzielę... Tak...

Niektóre warunki zostały skreślone. — Pyne podniósł kartkę i przeczytał numery spornych żądań. Rozmowa trwała cztery minuty. Od czasu do czasu Pyne przerywał, tak jak gdyby dawał rozmówcy czas na przeczytanie poprawek. W końcu powiedział:

— Tak. To jest pełna lista. Niech pan dopilnuje, żeby premier natychmiast dostał tę wiadomość... Przykro mi, ale nie mam nic więcej do dodania.

Pyne zamierzał właśnie odłożyć słuchawkę, kiedy odezwał się Keller:

— Proszę mu powiedzieć, że następne rozmowy mają się odbywać rządowej częstotliwości, zakodowanej cyfrowo, tak aby nikt nas nie podsłuchał.

Pyne powtórzył tę instrukcję. Keller wyjął mu z ręki słuchawkę i odłożył na widelki.

— Przypuszczam, że zechce pan teraz przejąć dowództwo?

— spytał Pyne.

— Nie, generale. Pan nadaje się lepiej ode mnie do zadań administracyjnych, proszę więc nadal kierować elektrownią.

— Poklepał telefon. — Niech pan jednak nie zapomina, że przez cały czas noszę ze sobą to małe urządzenie i wystarczy mi niecała sekunda na naciśnięcie guzika. Nawet jeśli pan do mnie strzeli, nie ma pan gwarancji, że umrę wystarczająco szybko i nie zdążę obrócić kraju w perzynę. Jeśli zaś spróbuje pan zniszczyć celnym strzałem to urządzenie... — Keller uśmiechnął się. — Cóż, zaprogramowałem je w taki sposób, że efekt będzie identyczny jak po naciśnięciu guzika.

— Spodziewa się pan, że w to uwierzę?

Keller podniósł telefon.

— Niech pan strzela — zachęcił.

— Co z naszymi karabinami? — spytał Patterson, oszołomiony nagłą metamorfozą pracownika, któremu ufał przez wiele lat.

Przez chwilę Keller wyglądał na zakłopotanego. Potem podjął decyzję.

— Będziecie musieli je zatrzymać. — Spojrzał na Pyne'a. — Ma pan rozkazać żołnierzom, żeby pod żadnym pozorem nie wchodzili do elektrowni. Sami zadbamy o bezpieczeństwo, zwiększając liczbę czujników IRIS. Rano i wieczorem wyjdzie pan z Pattersonem na patrol, żeby sprawdzić baterie, będziecie więc potrzebowali broni.

Keller schował do kieszeni maszynopis.

— Przenieś moje rzeczy do sali kontrolnej. Bez mojego pozwolenia nikomu nie wolno tam wejść.

Podszedł do drzwi.

— Jeszcze jedno ostrzeżenie. Ani wy, ani panna Champion nie możecie stąd uciec. Jeśli ktoś spróbuje ucieczki, pozostali powinni go powstrzymać. Sam sobie nie poradzę — nie poradziłibyśmy sobie nawet we trójkę. Jak dobrze wiecie, nie lubię przegrywać...

Wypowiedziawszy te słowa odszedł.

Dwie godziny później Keller odbezpieczył sterlinga. Uwielbiał poczucie siły, które przenikało jego palce, kiedy dotykał niezgrabnej, lecz skutecznej broni. Z tak bliskiej odległości nie musiał celować. Żołnierze niczego nie usłyszą — Pyne kazał im wrócić do obozu i umieścić czujniki przy wejściu do elektrowni.

Wystrzelił z biodra.

Konsola Ericcsona rozprysnęła się, a odłamki szarego plastiku spadły na wyfroterowaną podłogę holu elektrowni. Ogluszający hałas przypominał wystrzał korka szampana. Strzelał bez przerwy, póki urządzenie nie zamieniło się w bezładną masę drutów i roztrzaskanych klawiszy. Kule uszkodziły również sosnową boazerię za konsolą. Kilka minut temu Keller zniszczył sprzęt komunikacyjny w helikopterach Pyne'a i Pattersona.

Hałas zaalarmował obu, oglądających właśnie zniszczone radia w helikopterach. Poczekali, aż Keller wyjdzie; później stwierdzili, że pulpit został rozbity.

- Tyle, jeśli chodzi o nasz pierwszy pomysł — powiedział

Patterson.

— Kiedy Keller zamknie się w sali kontrolnej, nie będziemy mogli zbliżyć się do radiotelefonu. Co więc zrobimy?

-- Muszę stąd uciec — rzekł Pyne.

-- Po co, Conradzie? Premier weźmie pod uwagę zmiany w ultimatum.

Pyne pokręcił głową.

— Nie uzyskałem połączenia. Rozmawiałem sam ze sobą.

Wysoki mężczyzna spojrział ze zdziwieniem na Pyne'a i gwizdnął.

- Nie przypuszczałem, że Keller da się nabrać — powiedział Pyne. —

Boże, to taka stara sztuczka, a jednak okazała się skuteczna.

- Czemu to zrobiłeś?

— Nadarzyła się okazja. Potrzebowałem czasu, żeby się zastanowić. —

Pyne spojrział na drugi brzeg rzeki, widniejący w odległości czterech kilometrów. — Hugh, pamiętasz, że pokazaliśmy Cox-Spenderowi, jak działa system kontroli detonatorów i wyjaśniliśmy, że mogą go obsługiwać jedynie dwie osoby?

Przypuśćmy, że obserwują nas teraz z przeciwnej strony rzeki zauważą, że od tego momentu tylko jedna osoba przebywa w Sali kontrolnej, a nigdy dwie?

Oszołomiony Patterson patrzył na Pyne'a.

- Oni... zaplanują błyskawiczne uderzenie, nie wiedząc... nie wiedząc...

— Nie wiedząc, że jeden człowiek może w niecałą sekundę wysadzić silosy — zakończył Pyne.

Patterson był przerażony. Patrzył na mgiełkę na drugim brzegu rzeki.

— Postaw się w ich sytuacji — mówił Pyne. — Czy nie obserwowałbyś nas?

Patterson skinął głową.

— Właśnie dlatego trzeba przekazać wiadomość premierowi - rzekł Pyne. — Muszę jakoś uciec.

Patterson podniósł się.

— Ależ Conradzie, jak to sobie wyobrażasz? Gdybyś próbował uciekać, musiałbym cię zastrzelić, żeby nie pozwolić Kellerowi na popełnienie głupstwa.

Pyne skinął głową.

— Właśnie, Hugh. Będziesz musiał mnie zastrzelić.

Dziesięciu zszokowanych członków komitetu Cromwell Dwa słuchało w milczeniu, jak ich przewodniczący wyjaśnia, co wydarzyło się tego dnia w Pałacu Westminsterskim.

— Pyne nas przechytrzył — zakończył przewodniczący. Przez kilka sekund panowała cisza.

— Można się było tego po nim spodziewać — powiedział generał sir Richard Markham. — Pyne często mówił, że komitet nie poradzi sobie z problemami rasowymi, jeśli nie zmienimy poglądów na temat środków, które należy zastosować.

— To pan zaproponował, żeby przyjąć go do komitetu — zauważył przewodniczący.

— Potrzebowaliśmy jednostki, nad którą objął dowództwo — odparł Markham. — Nie miałem nic do powiedzenia w sprawach związanych z formowaniem i administracją tego oddziału.

Przewodniczący westchnął.

— Co teraz zrobimy?

— Musimy odwołać zamach stanu — powiedział sir Oswald Fox.

— To niemożliwe — rzekł szef Służb Specjalnych. — Jesteśmy gotowi do działania.

— sir Oswald ma rację — przerwał przewodniczący. — Po co mamy przejmować władzę, jeśli potem musielibyśmy słuchać Pyne'a i jego rzezimieszków? Nie, panowie. Proponuję, żebyśmy podjęli ulubioną grę premiera — poczekamy na rozwój wypadków.

Niech premier poradzi sobie z Pyne'em, a wtedy ruszymy. Tymczasem będę was informował o wszystkim, co dzieje się na posiedzeniach rady ministrów.

8

Żadna organizacja, posługująca się zabójstwem jako środkiem rozwiązywania problemów politycznych, nie należy do brytyjskiej administracji. Żaden James Bond ani Boysie Oakes nie jest bezpośrednim podwładnym wysokiego urzędnika aparatu rządowego. Z tego względu Simpson znalazł się w kłopotcie, kiedy doszedł do wniosku że należy pozbyć się Howarda Mitchella.

Potem przypomniał sobie listę nazwisk i adresów, dostarczoną przez Służby Specjalne w czasach, kiedy można było jeszcze ufać temu departamentowi.

O 16:00 Simpson studiował dokładnie tę listę.

Wyszedł z biura o 16:05 i jechał mostem Westminsterskim, szukając odpowiedniej budki telefonicznej. Znalazł ją na Waterloo Bridge Road. Patrick Reagan był w ogrodzie i pryskał francuską fasolą środkiem owadobójczym. Dzięki udanym zbiorom mógł zmniejszyć koszty prowadzenia domu. Te oszczędności bardzo się przydawały jemu żonie w tych ciężkich czasach.

Reagan był kiedyś producentem urządzeń precyzyjnych. Zatrudniała go mała firma, którą zniszczyły wzrastające koszty produkcji. W lepszych czasach Reagan dorabiał do pensji, wytwarzając bomby i mechanizmy zegarowe w swoim małym, ale dobrze wyposażonym warsztacie.

Komórki, korzystające z jego usług, zostały jednak rozbite przez policję, a członkami nowych organizacji byli bystrzy, świetnie wykształceni chłopcy, którzy sami potrafili zmontować te urządzenia ze składników zakupionych w sklepach elektronicznych. Patrickowi Reaganowi nie wiodło się ostatnio, ale mimo to nie narzekał. Mógł się przecież znaleźć w więzieniu. Na szczęście prokuratura nie zdobyła przekonujących dowodów jego współudziału w zamachu bombowym w Aldershot.

Reagan właśnie uzupełniał zapas środka owadobójczego w rozpylaczu, kiedy zadzwonił telefon.

— Pan Reagan? — spytał nieznajomy głos.

— Kto mówi?

— Czy chciałby pan zarobić kilka tysięcy funtów?

— W jaki sposób? — spytał podejrzliwie Reagan. Akcent rozmówcy był właściwy, ale wydawał się nieco wymuszony.

— Chciałbym, żeby urządził pan specjalne przyjęcie dla mojego przyjaciela i wykorzystał swoje szczególne talenty...

Przekłęta policja, pomyślał Reagan i odłożył słuchawkę.

Telefon znów zadzwonił.

— Proszę iść do budki telefonicznej koło Raynes Park Station

— powiedział ten sam głos. — Tam otrzyma pan instrukcje... Dwa

tysiące funtów, panie Reagan. Niech pan się zastanowi.

Simpson patrzył, jak nissan Reagana przejeżdża koło kawiarni.

Zapłacił za niesmaczną kawę i ruszył w kierunku budki telefonicznej.

Ze środka obserwował parkujący samochód i mężczyznę wchodzącego do budki koło stacji.

Reagan był zaskoczony, gdyż kiedy tylko otworzył drzwi budki, rozległ się dzwonek telefonu.

— Panie Reagan — odezwał się męski głos. — Proszę spojrzeć w górę.

— Co takiego?

— Proszę podnieść głowę.

Reagan spojrział w górę i dostrzegł kopertę, przymocowaną do szyby z numerami telefonów awaryjnych. Zawierała pakiet banknotów dwudziestofuntowych.

— Jest ich pięćdziesiąt — powiedział mężczyzna, jakby czytał w jego myślach. — Następne pięćdziesiąt dostanie pan po wykonaniu zadania.

— Co mam zrobić? — spytał Reagan.

Simpson powiedział mu.

Pięć minut później Reagan siedział w samochodzie i zastanawiał się nad pewnym problemem; miał jedynie dziesięć gramów plastiku.

Materiał wybuchowy schował pod kompostem w ogrodzie, żeby nie zwietrzyły go tresowane labradory. Dziesięć gramów nikogo nie zabije, chyba że wybuchnie bardzo blisko ofiary. Taka ilość wystarcza do wyprodukowania listu-bomby, który jednak okaleczyłby tylko nieostrożnego odbiorcę. Mężczyzna wyjaśnił jednoznacznie przez telefon, że nie o taki rezultat mu chodzi.

Reagan zastanawiał się.

Dziesięć gramów, wybuchające bardzo blisko ofiary...

Policjantka ruchu drogowego zauważyła jego samochód i zaczęła się zbliżać.

Bardzo blisko ofiary... dziesięć gramów...?

Tak. Odpowiedź była oczywista. Reagan uśmiechnął się rozbijając do policjantki i odjechał, zanim zdążyła go zatrzymać.

Reagan wszedł do dużego sklepu z artykułami elektronicznymi tuż przed godziną zamknięcia. Pośpny sprzedawca wręczył mu przełącznik sterowany ciepłem. Jeden z obwodów zamykał się po podgrzaniu czujnika do temperatury trzydziestu stopni Celsjusza. Jest to kilka stopni więcej niż temperatura gorącego popołudnia

i kilka mniej niż ciepłota ludzkiego ciała.

Reagan cieszył się z zakupu. Zarobi te dwa tysiące funtów bardzo tanim kosztem.

9

Kapral Gamet wysiadł z pociągu w Waltonon-Thames i szedł wąskim i brudnym tunelem dla pieszych obok innych zdesperowanych pasażerów, pragnących wydostać się ze stacji, przed którą w samochodach czekały na nich żony. Żaden inny pociąg na tej linii nie wyjechał z Londynu w ciągu ostatniej godziny.

Podróż przypominała koszmar, a wagony były zatłoczone do granic możliwości.

Gamet stał, mrużył oczy w słońcu i zastanawiał się, co ma teraz robić.

Kupiony koło Piccadilly, w sklepie z męską odzieżą, drogi garnitur pogniótł się i wybrudził w czasie podróży.

Miał szczęście, że znalazł w pociągu miejsce siedzące. Naprzeciwko siedział urzędnik, który patrzył podejrzliwie na bliźnię i teczkę generała, ozdobioną monogramem. Gamet spoglądał to na niego, to na siedzącą obok dziewczynę, która podwinęła wysoko spódnicę, aby rozkoszować się chłodnym powiewem z okna.

Wydał do tej pory tylko pięć funtów z pieniędzy generała.

Pojechał taksówką do centrum Walton i wysiadł koło banku Midland.

Włożył do bankomatu kartę generała i wcisnął numer identyfikacyjny, zapisany ołówkiem na kartce, która znajdowała się w portfelu.

Maszyna wypuła z siebie sto funtów w nowych banknotach.

Kapral spróbował poprosić o następne sto funtów, ale maszyna nie zareagowała. Zatrzymała również kartę.

Miał teraz sto pięć funtów.

Wystarczy na kilka drinków i jedną kobietę.

Potrzebował bardzo jednego i drugiego.

10

Późnym popołudniem Pyne stał na straży, a Patterson pracował przy tokarce w warsztacie elektrowni.

Pot spływał mu z czoła, częściowo na skutek upału, a częściowo

ze strachu przed konsekwencjami, które nastąpiłyby, gdyby złapał go Keller. Mimo to pracował szybko. Na szczęście przez te wszystkie lata nie zapomniał, jak obsługuje się tokarkę. Delikatnie umieścił dziewięciomilimetrowy nabój w uchwycie tokarskim, tak że tuleja zacisnęła się równomiernie wzdłuż krawędzi łuski. Potem zacisnął na pocisku szczęki konika tokarskiego. Powoli pokręcił tokarką. Cały nabój obrócił się. Zaklął, wytarł pot z czoła, a następnie zacisnął trochę mocniej szczęki konika. Znowu energicznie pokręcił tokarką.

Tym razem uchwyt trzymał mocno; górna część naboju drgnęła i pojawiła się szczelina pomiędzy łuską a pociskiem. Patterson znowu pokręcił tokarką.

Wyciągnął pocisk z łuski niczym dentysta wrywający ząb. Wziął łuskę i zajrzał do środka, upewniając się, że ładunek wciąż jest na miejscu. Potem zatkał otwarty koniec, starając się nie zniekształcić łuski, która mogłaby wówczas się zablokować. Jeśli ktoś włoży tę łuskę do karabinu i wystrzeli, jedynym rezultatem będzie huk i dym.

Pyne przyglądał się dziełu Pattersona.

— Świetnie. Znakomicie. Przygotuj cały magazynek.

Na dobrodusznej twarzy Pattersona pojawiła się obawa. Wziął łuskę od Pyne'a i przyglądał się jej krytycznie.

— Conradzie, skąd wiemy, że magazynek się nie zablokuje?

— Musimy zaryzykować — odrzekł beznamiętnie Pyne.

11

Komisja, składająca się z dwudziestu posłów i dwóch prawników zatrudnianych przez rząd, pracowała przez pięć godzin nad projektem ustawy, która wejdzie w życie w ciągu najbliższej doby.

Pięć minut przed północą członkowie komisji opuścili Downing Street. Posłowie mieli wykształcenie prawnicze. Każdy z nich musiał napisać jeden paragraf, a następnie pokazać go dwóm kolegom, którzy sprawdzali, czy wszystkie sformułowania są bez zarzutu.

Praca była męcząca.

Premier życzył im dobrej nocy i wrócił do biura. Simpson

pochylał się nad kartkami, zapisanymi różnymi charakterami pisma. Na każdym arkuszu widniało wiele poprawek i uzupełnień. Simpson podniósł jeden z nich.

— Ostatnią klauzulę dopisał Beresford. Na jej mocy ustawa automatycznie straci ważność, kiedy zniknie presja wywierana na rząd.

Premier skinął głową.

— To prowokacyjne, nie sądzi pan? — Simpson wrzucił kartkę do szatkownicy.

— Czy wie pan, co powiedział prokurator królewski? — spytał premier. — Stwierdził: „Całe szczęście, że nie mamy konstytucji, a rządy zawsze sprzeciwiały się uchwaleniu Karty Praw”.

Simpson miał zdziwioną minę.

— Pan powiedział to samo, kiedy...

— Nie przywiązywałbym do tego większej wagi, Simpson.

Premier ziewnął i spojrział na zegarek. Północ.

Piętnaście minut po północy leżał już w łóżku, a dziesięć minut później mocno spał.

12

O 23:00 Reagan zaparkował nissana za wielkim rododendronem pięćdziesiąt metrów od domu Mitchella. Ziemia była twarda i z pewnością nie zostaną na niej ślady opon.

Zamknął okno ze względu na komary, spojrział na zegarmistrzowskie narzędzia i poupychał je po różnych kieszeniach; pincety ukrył w butonierce, wielofunkcyjny śrubokręt schował do kieszeni spodni, do portfela zaś włożył diament i wolframowy przecinak do szkła, owinięty w samoprzylepną taśmę. Mały termos, zawierający składniki bomby, tworzył wyraźne wybrzuszenie pod jego kurtką. Pudełko od zapalek, w którym przechowywał cenne dziesięć gramów plastiku, owinał przewodem od słuchawek tranzystorowego radia. Kabel był wystarczająco cienki, by dało się go przeciąć nożyczkami do paznokci. Położył na podłodze kluczyk do samochodu. Jeśli będzie musiał uciekać, znajdzie go bez problemu. Nigdy nie odważyłby się zostawić kluczyka w stacyjce. Reaganowi często śnił się koszmar, w którym uciekał po włamaniu i stwierdzał, że ktoś ukradł mu samochód.

Zostawił wóz z nie zaciągniętym ręcznym hamulcem i otwartymi drzwiami od strony kierowcy.

Ruszył w kierunku domu trzymając się w cieniu. Od czasu do czasu świecił na trawnik, żeby sprawdzić, czy żadne znaki nie wskazują na obecność psa. Niczego takiego nie zauważył.

W pokoju na piętrze paliło się światło, tym się jednak nie przejmował.

Myślał tylko o tym, w jaki sposób dostać się szybko do środka.

Wewnątrz budynku będzie mógł polegać na swoich umiejętnościach.

Na zewnątrz jest zdany na łaskę ciekawskich spojrzeń,

Kuchenne drzwi odgradzał od ogrodu i ulicy płotek. Na betonowych schodach nie stała żadna miska. Nie wałały się kawałki mięsa, nie widać było śladów pazurów na drzwiach.

Reagan odprężył się nieco. Drzwi były zamknięte. Nacisnął je stopą od dołu. Trochę ustąpiły. Znaczyło to, że zostały zamknięte od środka na zasuwę, wystarczy więc, że upora się z zamkiem.

Zaświecił latarkę i zauważył z zadowoleniem, że klucz tkwi w zamku z przeciwnej strony.

W ciągu dwóch minut naciął diamentem okrągłą rysę na szklanych drzwiach, zakrył ją samoprzylepną taśmą, a następnie uderzył lekko. Potem usunął przylepiec wraz ze szkłem, sięgnął ręką przez dziurę i otworzył drzwi.

Natychmiast po wejściu do domu zaczął szukać kryjówki. Kiedy zawodowy włamywacz słyszy hałas, wskazujący na to, że odkryto jego obecność, nie rzuca się do ucieczki, lecz próbuje się ukryć.

Większość ludzi naiwnie wierzy, że wystarczy wywołać hałas, aby przepłoszyć włamywacza. To dobra strategia przeciwko amatorom, ale nie zdaje egzaminu, kiedy ma się do czynienia z zawodowcem. Reagan zaś był nim.

Znalazł w korytarzu schowek na miotły. Przytwierdził do drzwi od wewnątrz gumową przysawkę, tak że w razie potrzeby mogły natychmiast zamknąć je za sobą.

Telefon stał na małym stoliku w salonie. Reagan ustawił latarkę pod odpowiednim kątem i położył narzędzia na chusteczce, tak aby podnosić je i odkładać bez robienia hałasu. Mógł również zebrać szybko narzędzia, gdyby usłyszał na górze jakiś szmer. Otworzył termos i wysypał do pustej popielniczki składniki bomby i kostki

lod. Potem rozkręcił słuchawkę telefoniczną i położył na chusteczce. Używając pincety, aby nie rozgrzać urządzenia, wyjął z lodu ciepły przełącznik i umieścił w słuchawce. Następnie wziął do ręki kawałek plastiku wielkości napałka, nadał mu w palcach podłużny kształt i położył na kilka sekund wśród kostek lodu. Kiedy plastik się ochłodził, ukrył go ostrożnie w słuchawce, tak żeby materiał wybuchowy przytrzymał termiczny przełącznik, z którego sterczały dwa cienkie druciki. Wśród kostek lodu leżał również detonator. Wyłowił go pincetą i osuszył bawełnianą szmatką, a później przycisnął mocno do plastiku. Ostatnim składnikiem bomby była bateria wielkości tabletki aspiryny. Z niej również sterczały dwa kawałki cienkiego drutu. Na końcu jednego z nich znajdowała się plastikowa osłona, dzięki której druciki się nie stykały i bateria nie marnowała energii. Reagan zdjął osłonę dopiero wówczas, gdy umieścił baterię obok materiału wybuchowego. W końcu połączył drutem składniki bomby i przykręcił do słuchawki plastikową pokrywę. Sprawdził wagę urządzenia, Wątpił, czy Mitchell w czasie rozmowy zwróci uwagę na zwiększony ciężar telefonu. Odłożył słuchawkę i podziwiał swoje dzieło. Dwa kontakty wewnątrz ciepłego przełącznika zbliżają się teraz do siebie. Nie zetkną się jednak, dopóki temperatura nie wzrośnie do trzydziestu stopni Celsjusza. Kiedy Mitchell odbierze telefon, ciepło jego ciała sprawi, że po dziesięciu sekundach obwód się zamknie. Wybuch będzie o wiele słabszy niż eksplozja listu-bomby. Mimo to rozniesie głowę Mitchella na strzępy. Reagan pozbierał narzędzia i schował topniejący lód do termosu. Wylał chusteczką popielniczkę. W następnej fazie operacji będzie musiał zapracować na dodatkowe tysiąc funtów, które mu obiecano. W tym celu musi tylko raz zatelefonować.

13

Reagan jechał w kierunku głównej szosy, kiedy zauważył między drzewami policyjny samochód z pomarańczowym paskiem i wiśniowym dachem. Przejechał spokojnie obok niego. We wstecznym lusterku zauważył,

że samochód wyjechał na jezdnię i zaczął się zbliżać. Reagan starał się nie wpadać w panikę i prowadzić normalnie, chociaż oslepiąły go światła policyjnego wozu.

Policjant nie próbował zatrzymać Reagana — po prostu siedział mu na ogonie.

Reagan zaczął się pocić. Gdyby policjanci zainteresowali się nim, szybko odkryliby dom z wybitą szybą. Wkrótce poznaliby pewne ciekawe fakty z jego przeszłości. Przeszukaliby dokładnie dom Mitchella. Nie znaleźliby odcisków palców, ale te cholerne labradory szybko wywąchałyby materiał wybuchowy.

Reagan bezwiednie przyspieszył. Dlaczego te sadystyczne dranie go nie zatrzymały?

Ostre reflektory znajdowały się teraz tuż za nim. Gdy odwracał głowę, mrugały do niego kpiąco z bocznego lusterka.

Dranie.

Widział przed sobą wąski pas jezdni, znikającej szybko pod maską nissana. Kiedy zauważył latarnie przy głównej szosie, do której się zbliżał, było już za późno.

Peter Floyd, kierowca Brytyjskich Zakładów Lotniczych, wiozł zapasowy statecznik na londyńskie lotnisko. Policja żądała, żeby taki ładunek przewozić nocą. Droga prowadziła w dół. Jechał z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę, kiedy jego przegubowa ciężarówka zderzyła się z samochodem, który nagle wyjechał z bocznej drogi.

Floyd nie zdążył nawet zahamować. Potrącony samochód zawirował, a z jego uszkodzonego baku wylała się benzyna.

Reagan mógłby przeżyć, gdyby nissan uderzył prosto w bok ciężarówki. Wpadł jednak w panikę i skręcił ostro, kiedy zauważył żółte latarnie i nadjeżdżający samochód.

Zanim zdążył rozpiąć pas bezpieczeństwa, maszyna stanęła w płomieniach. Reagan żył jeszcze przez trzy sekundy po zderzeniu — ze wszystkich sił starał się otworzyć drzwi, przytrzymywane przez gumowe uszczelki, topniejące pod wpływem gorąca. Udało mu się opuścić szybę o kilka centymetrów. Do środka wdarły się płomienie, zapalając podsufitkę. Zaczął krzyczeć, kiedy roztopiony plastik podpalił jego włosy i ubranie. Wiedział, że musi umrzeć..

WTOREK

Kapral Gamet widział wypadek, ale nie obchodziło go to. Przecisnął się obojętnie przez tłum, torując sobie drogę do domu generała Pyne'a w St Georges Hill.

Wyrzucono go z pubu w Walton, kiedy zamykano lokal.

Dziewczyna była ładna. Spodobało mu się to, że nie wspomniała o jego bliźnie, a jeszcze bardziej podobała mu się jej krótka spódnica. Krótkie spódniczki były w Anglii rzadkością, ale kociaki w Irlandii Północnej tak się właśnie ubierały, aby drażnić angielskich żołnierzy. Kupił jej trzy rumy z colą. Potem dziewczyna pochyliła się, pocałowała bliźnę i powiedziała, że musi iść do toalety. Więcej jej nie zobaczył. Kiedy poszedł zapłacić za drinka, stwierdził, że jego portfel zniknął. Ostatni autobus już odjechał, a on nie miał pieniędzy na taksówkę. Musiał iść piechotą sześć kilometrów do Weybridge. Najpierw udał się do domu, który ta arogancka dziwka, córka generała, kupiła za pieniądze matki.

Nie było jej.

Stał godzinę przed domem, planując, że kiedy dziewczyna przyjdzie i otworzy drzwi, wślizgnie się za nią do środka. Im dłużej czekał, tym bardziej nie podobało mu się jej zachowanie. Cóż, był teraz cywilem i żandarmeria nic mu nie zrobi. Sąd skáže go po pewnie na sześć miesięcy — w stylu cywilów.

To jest warte tej ceny.

Przez cały piątek mozolił się nad czyszczeniem basenu w domu jej ojca. Kiedy już prawie skończył napełniać basen, zapytał, czy może wejść do domu i odpocząć. Ta dziwka odwróciła się i powiedziała:

— Dopiero jak przystrzyże pan trawnik.

Jej ojciec był przyzwoitym facetem. Takiego człowieka można podziwiać i szanować. Jak to możliwe, że spłodził taką córkę? Pyne pomógł Gametowi wykaraskać się z kłopotów, związanych ze sprawą śmierci nastolatki koło składu drewna w Belfaście. Głupi dzieciak wjechał prosto na wojskową blokadę. Coś strzeliło w przeklętym samochodzie, a Gamet, który po długim pobycie na prowincji miał zszargane nerwy, władował pięć kul w bagażnik uciekającej toyoty.

Samochód wpadł w poślizg, przewrócił się, a po chwili stanął w płomieniach.

Był to w tym roku trzeci przypadek śmierci kierowcy przy blokadzie drogowej. Władze chciały zrobić z Gameta kozła ofiarnego, aby uspokoić wzburzonych mieszkańców. Potem postanowiły wyciszyć sprawę i odesłać go do domu. Do tej pory gnąłby w więzieniu, czekając na rozprawę, gdyby nie interwencja generała, który powiedział, że potrzebuje kierowcy i pilota Scouta.

Lubił tę nową pracę, dopóki córka generała nie dowiedziała się o jego przeszłości. Pewnego razu strzygł trawnik przy podjeździe, kiedy dziewczyna, wyjeżdżająca samochodem, zwolniła i powiedziała kpiąco:

— Upewniam się tylko, że nic nie strzeli w gaźniku.

Gamet zauważył przejeżdżający wóz policyjny.

Postanowił się stąd zabierać. Może znajdzie Maggie w domu jej ojca w St Georges Hill.

Samochód dziewczyny stał przed domem.

Gamet otworzył drzwi kluczem, który wyjął z teczki generała, zdjął buty i sprawdził parter. Nie znalazł nikogo, chociaż w kuchni panował bałagan, a wszędzie w jadalni leżały porozrzucane zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało Maggie, ubraną w kostium bikini. Obejmował ją jakiś pętał, którego ręka wędrowała w kierunku lewej piersi dziewczyny. Gamet drżał z niecierpliwości, kiedy patrzył na fotografię i myślał, że Maggie jest na górze.

Najpierw jednak musiał się napić. W kredensie znalazł whisky. Pół godziny później butelka była prawie pusta.

Teraz przyszła kolej na dziewczynę.

Rozebrał się w korytarzu i ruszył po schodach. Z przyjemnością poczuł na skórze chłodne, nocne powietrze.

Drzwi do sypialni były uchylone. Otworzył je powoli. Przez chwilę wydawało mu się, że lampka nocna jest włączona, ale to tylko księżyc świecił tak jasno.

Leżała skulona na łóżku w krótkiej nocnej koszuli. Jej białe nogi błyszczały prowokująco.

Gamet stał w drzwiach, czekając na erekcję, a później podszedł do łóżka dziewczyny.

Położył rękę na ustach Maggie. Wydała zdławiony jęk, kiedy przewrócił ją na plecy. Patrzyła na niego z przerażeniem. Czuł, jak próbuje ugryźć go w rękę. Kopała dziko nogami i trudno było ją utrzymać. Potem spróbowała złapać Gameta za włosy.

Wymierzył jej mocny policzek. Kiedy wsunęła rękę pod jego łokieć, przycisnął ją do łóżka. Drugą rękę przydusił do poręczy.

Chryste, ależ ta dziwka jest silna.

Ze złośliwą satysfakcją wbił jej kolana w golenie. Ręka, zaciśnięta na ustach dziewczyny, zdusiła krzyk bólu. Usłyszał jęk, co zachęciło go tylko do wzmożenia wysiłków. Położył się całym ciężarem na Maggie, starając się rozewrzeć jej kolana. Dziewczyna próbowała przydusić kaprała nogami, ale dotyk wnętrza jej ud tylko go podniecił. Ręka Maggie opadła na stolik. Palce zamknęły się wokół alabastrowej lampy.

Uderzyła na oślep, trafiając go w skroń. Ciało mężczyzny zwiotczało.

Wymierzyła następny cios, tym razem z całej siły.

Ciało stoczyło się na podłogę i leżało nieruchomo.

Dopiero kiedy Maggie zapaliła światło, zdała sobie sprawę, że napastnikiem był kapral Gamet. Na jej koszuli widniała krwawa plama. Na początku pomyślała, że ojciec wrócił do domu. Zbiegła na dół i zaczęła go wołać, odpowiedziała jej jednak cisza. W ogromnym, pustym domu było gorąco i duszno.

Zdażyła dobiec do kuchennego zlewu i zwymiotowała. Otrzeźwił ją chłodny dotyk nierdzewnego metalu. Wypiła szklanekę wody, a potem zeszła do jadalni po pistolet ojca.

Na porozrzucanych fotografiach stała butelka whisky oraz coś jeszcze.

Patrzyła bez zrozumienia na ten przedmiot. Była to teczka ojca.

W szufladzie znalazła rewolwer Webley. Poczowała się pewniej, czując w dłoni ciężar tej muzealnej broni. Poszła na górę, omijając jak zdechłego kota ubrania kaprała Gameta.

Leżał w tej samej pozycji, zupełnie nagi. Na dywanie widniała plama krwi. Ostrożnie podeszła bliżej, obawiając się, że znów ją zaatakuje.

Miała wrażenie, że jego pierś się nie porusza. Potem przypomniała sobie sceny z filmów kryminalnych. Przytknęła mu do ust lusterko, trzymając rękę nad blizną.

Lusterko pozostało czyste.

Nagle przeszył ją ból. Zeszła na dół, wciąż ściskając rewolwer.

Usiadła w salonie, patrzyła na telefon i próbowała zdobyć się na odwagę, aby zadzwonić na policję. Słyszała, w jaki sposób policja traktuje przypadki gwałtu lub usiłowania gwałtu. Na korytarzu leżały ubrania; będzie musiała przyznać, że kapral Gamet nie był tu obcy. Boże, na pewno zechcą ją przesłuchać.

Adwokat ojca nazywał się Meredith. Otworzyła notes i wykreśliła jego numer. Odpowiedziała jednak automatyczna sekretarka.

Z trzaskiem odłożyła słuchawkę i spróbowała spokojnie zastanowić się nad całą sprawą. Na otwartej stronie zauważyła nazwisko i adres Mitchella. On jej pomoże. On będzie wiedział, co robić.

Wykreśliła jego numer, modląc się, żeby był w domu.

Sygnal rozbrzmiewał jej w uszach. Niewiele brakowało, a rozpląkałyby się, kiedy ktoś podniósł słuchawkę.

- Tu Mitchell—powiedział zasnym głosem, z amerykańskim akcentem.

— Mitch! Dzięki Bogu! — Niemal wpadła w histerię, kiedy czekanie, aż ktoś odbierze telefon, wreszcie się skończyło. — Mówi Maggie Pyne. Ja...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo z tyłu złapał ją Gamet.

Upuściła słuchawkę i zaczęła desperacko drapać duszącą ją rękę.

— Dziwka! — krzyknął Gamet. — Wstrętna, wyzywająca dziwka!

Słuchawka wisiała na sznurze. Słyszała zdziwiony, zniekształcony głos.

— Maggie...? Maggie...?

Gamet puścił gardło dziewczyny i uderzył ją.

Upadła na podłogę, odwróciła się i złapała rewolwer.

Gamet właśnie zamierzał się na nią rzucić. Zamarł.

Przeżrana Maggie patrzyła na bliznę, trzymając oburącz rewolwer.

Kiedy Gamet skoczył w bok, nacisnęła spust.

Iglica natrafiła na pustą komorę.

Cholera, jest córką generała, a nawet nie sprawdziła, czy broń jest nabita!

Gamet rzucił się na dziewczynę, ona jednak odskoczyła w bok.

Chwycił ją za włosy i miotał przekleństwa, próbując zerwać z niej nocną koszulę.

Starła się uderzyć go pistoletem. Wyrwał jej broń i cisnął na podłogę.

Skrzyżowała nogi i odepchnęła go. Koszula nocna rozdarła się i została mu w rękach. Gamet uśmiechnął się do Maggie.

Spomiędzy włosów na jego piersi płynęła krew. Wylał się koszulą nocną, nie spuszczać z oczu dziewczyny, skulonej na podłodze. Próbowała odczołgać się od niego. Stał na jej kostce i przycisnął boleśnie do podłogi. Dziewczyna krzyknęła.

— Dalej, dziwko — zawołał szyderczo Gamet. — Pokaż, jak potrafisz się bronić.

W odpowiedzi skoczyła i zatopiła zęby w jego łydce. Kapral podniósł drugą nogę i mocno kopnął ją w brzuch. Gdyby miał buty, taki cios byłby śmiertelny.

Zęby Maggie nie zwolniły uścisku. Czuła smak krwi Gameta.

Zaklął i odciągnął ją za włosy. Uderzył dziewczynę w twarz.

Jęknęła z bólu.

Garnet roześmiał się.

Przykucnął i położył jej ręce na biodrach. Maggie zeszywniała i zacisnęła nogi. Kapral groźnie podniósł pięść. Wzdrygnęła się, kiedy Garnet położył ręce na jej nogach i rozchylił je siłą.

Pochylił się nad nią, a wstrętne blizna znalazła się tuż przed jej oczami. Patrzyła na niego, niczego nie czując po ostatnim kopnięciu.

Zaczął poruszać się rytmicznie. Łokcie opierał na dywanie, a dłonie mocno ścisnęły jej piersi.

Poruszał się coraz szybciej. Czuć było od niego whisky, a z jego głowy płynęła krew.

Maggie z wysiłkiem wsunęła rękę pomiędzy siebie a Gameta.

Garnet zaniepokoił się, kiedy palce dziewczyny delikatnie dotknęły jego członka, a potem zamknęły się na jądrach.

Maggie zacisnęła dłoń i pociągnęła z całej siły. Garnet wydał przenikliwy, niemal kobiecy krzyk i odskoczył od dziewczyny, jak gdyby jego kręgosłup był kuszą, a Maggie właśnie nacisnęła spust. Zwinął się w kłębek, krzycząc bez ustanku.

Maggie podniosła się z wysiłkiem. Rozejrzała się szybko, chwyciła rewolwer za lufę i uniosła go, zamierzając uderzyć kaprała w głowę. Spojrzał na nią wzrokiem zamglonym z bólu i klęknął na jedno kolano.

Maggie w panice upuściła rewolwer i pobiegła do przedpokoju. Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Gamet czołgał się w jej kierunku.

Wbiegła na górę i zamknęła się w łazience.

Słyszała, jak Gamet wchodzi do kuchni, a potem idzie za nią po schodach, rycząc jak wściekły byk.

Wkrótce znalazł się na półpiętrze.

Zamka w drzwiach łazienki nie projektowano po to, by wytrzymał ostre natarcie. Drzwi ustąpiły po pierwszym uderzeniu, Zanim Maggie straciła przytomność, dostrzegła błysk światła na nożu kuchennym w dłoni Gameta.

2

Premier rzucił na biurko fałszywy raport Cox-Spendera o przyczynie wybuchu w rafinerii Thames Haven i zapalił cygaro. Przyglądał się ukradkiem Simpsonowi przez chmurę błękitnego dymu.

— Nad czym pan teraz pracuje, Simpson?

Simpson podniósł głowę i zapragnął, żeby premier wrócił już do swojego gabinetu.

— Mam na głowie zaniepokojone rodziny pracowników Vulcan Hall, które skarżą się, że ich krewni od soboty nie wrócili do domu.

— Co zamierza pan im powiedzieć?

— Nie wiem — odparł kwaśno Simpson.

— Rzadko się zdarza, że nie wie pan, co robić.

Simpson nie odpowiedział.

Premier przeciągnął się i obserwował promienie słońca, padające na obłok dymu.

— Wiesz, Simpson, gdyby sprawa nie była tak poważna, świetnie bym się bawił. Czy brzmi to gruboskórnie?

Simpson spojrział politykowi w oczy. — Jak długo zdołamy ukryć tajemnicę przed administracją, sir?

Premier wyszczerzył zęby.

— Spróbujemy im wmówić, że chodzi o jakieś rozgrywki wewnątrzpartyjne. — Przerwał i patrzył, jak Simpson mozoli się nad raportem. Problem polegał na tym, że Simpsonowi brakowało wyobraźni.

— Może powiemy rodzinom, że doszło do awarii jednego z reaktorów i cały personel został poddany kwarantannie?

— Wtedy rzuci się na nas prasa.

— Nie da się uniknąć zamieszania, Simpson. Poradzimy sobie z tym, kiedy prawda wyjdzie na jaw. W tej chwili martwię się ważniejszymi sprawami.

— Na przykład?

— Na przykład tym Amerykaninem — Howardem Mitchellem.

Co słysząc na tym froncie?

Simpson uzbroidł się w odwagę.

— Kazałem go śledzić prywatnemu detektywowi. Żyłka na szyi premiera zaczęła pulsować.

— To ryzykowne, Simpson.

— Wszystko załatwiłem przez telefon — odrzekł spokojnie sekretarz.

— To nie tylko ryzykowne, Simpson, ale wbrew moim rozkazom.

— Chciałem być w pobliżu, żeby panu pomagać, sir. Doszedłem do wniosku, że mogę sobie pozwolić na mały podstęp.

Premier obserwował Simpsona przez chmurę dymu. Ten człowiek za dużo wiedział. Nie należy doprowadzać go do ostateczności.

Simpson uśmiechnął się lekko do polityka.

— Rano i wieczorem składa mi raport.

Kłamstwo przychodziło Simpsonowi bez trudu. Całe jego życie było jedną wielką pajęczyną kłamstw.

3

To był sen.

Przez kilka minut Maggie przebywała w świecie pomiędzy snem a jawą. Otworzyła jedno oko, a jej oszołomiony umysł próbował odróżnić złudzenia od rzeczywistości. Otoczenie wydawało się tak normalne, że budzący się ze snu rozum podpowiadał jej, że przerażające wydarzenia ubiegłej nocy były tylko snem.

Położyła nogi w chłodnym rogu łóżka i od razu wyczuła, że dwie rzeczy się nie zgadzają: tępy ból w miednicy i gładkość prześcieradła. Jedyne w niedzielne poranki pościel była tak gładka, gdyż tylko w sobotę Maggie ścieliła łóżko.

Jeszcze jedna sprawa: miała na sobie koszulę nocną matki.

Usiadła i skrzywiła się, czując w głowie ukłucie bólu. Jej palce namacały plaster przyklejony do czoła.

Lampka nocna zniknęła. Czyżby to nie był sen?

Potem zobaczyła plamę krwi na dywanie i nagle stanęły jej przed oczami wszystkie straszne wydarzenia z ubiegłej nocy.

Gamet wciąż chodził po korytarzu. Przestraszona Maggie otuliła

się koldrą.

Drzwi otworzyły się.

Do pokoju wszedł Mitchell, niosąc tacę. Spojrzał na nią z troską i powiedział:

— Sprawdzalem co piętnaście minut, czy się obudziłaś.

Postawił tacę na stole i wlał do filiżanki gorący napój.

— To herbata. Nie próbuj się odzywać — po prostu wypij. Płyn parzył jej gardło, ale splukiwał również z ust przykry smak.

Ręce dziewczyny zaczęły drżeć. Mitchell usiadł na brzegu łóżka i schylił się ku niej, aby przytrzymać spodek i filiżankę.

— Przepraszam — powiedziała, ale Mitchell podniósł palec do ust.

— Nie musisz nic mówić. Lekarz powiedział, że powinnaś teraz spać.

— Która godzina?

— Prawie wpół do dziewiątej — rzekł Mitchell, a po chwili dodał: —

Rano. — Zabrał jej spodek i filiżankę i odstawił na tacę.

— Potrzebujesz snu, Maggie. — Poglaskał dziewczynę po policzku i wyszedł z pokoju, zamykając cicho drzwi.

Godzinę później Maggie zeszła na dół. Ciekawość nie pozwalała jej zasnąć. Mitchell jadł w kuchni kanapkę. Uśmiechnął się do niej ciepło.

— Jak się czujesz?

— Okropnie — usiadła przy stole naprzeciwko niego.

Na jej twarzy pojawiły się siniaki, których Mitchell wcześniej nie zauważył.

— Maggie, nie wyglądasz dobrze. Powinnaś wrócić do łóżka.

Jego ton zirytował dziewczynę.

— Zawsze tak rano wyglądam — ucięła i natychmiast tego pożałowała. — Przepraszam, Mitchell. Czy to kawa?

Nalał jej filiżankę.

— Urządziłaś w nocy niezłe przyjęcie. Lekarz powiedział, że przeżyłaś szok. Wpadnie tu dziś po południu.

Maggie unikała spojrzenia Mitchella.

— Wiesz, co się stało? — spytała.

— Lekarz mi powiedział. Wyglądałaś okropnie, kiedy cię znalazłem.

— Ty mnie znalazłeś?

— Telefonowałaś do mnie, pamiętasz? Nie wiem, jak długo musiałaś dzwonić, zanim podniosłem słuchawkę. Zwykle śpię jak zabity i nic nie

jest w stanie mnie obudzić. Usłyszałem, jak krzyczysz, rzuciłem więc telefon i przybiegłem najszybciej jak mogłem.

— Dziękuję — powiedziała Maggie.

— Gamet stał nad tobą z nożem kuchennym i wrzeszczał coś o swoich klejnotach. Uderzyłem go z tyłu i przywlokłem tutaj.

Pewnie powinienem go związać, ale niepokoiłem się o ciebie.

Zanim zdążyłem cię umyć, zniknął.

Boże, pomyślała z goryczą Maggie. Zaatakował mnie jeden mężczyzna, a skończyło się na tym, że obaj mnie obmacywali. Była to niewdzięczna myśl, ale nic nie mogła na to poradzić,

Mitchell wyczuł jej zakłopotanie. Podeszedł do zlewu i udawał, że zmywa talerz.

Maggie patrzyła na niego. Przypomniała sobie błyszczący nóż.

Podeszła do przyjaciela.

— Mitch, przepraszam. Nie chciałam być nieuprzejma. Cieszę się, że przyszedłeś tak szybko.

Objął ją i zaprowadził na krzesło.

— Nie martw się o mnie, kochanie. Po prostu usiądź i wypij kawę.

Potem powinnaś wrócić do łóżka. Jeśli chcesz, zostanę.

Maggie posłusznie usiadła na krześle.

— Czy zamierzasz wnieść skargę przeciwko niemu? — spytał z wahaniem Mitchell. — Będzie cię musiał zbadać lekarz policyjny.

Maggie pokręciła głową.

— Nie wiem. — Potem przypomniała sobie teczkę ojca.

Pomimo protestów Mitchella, wybiegła z kuchni. Wróciła, wertując różne dokumenty.

Mitchell przeczytał list, który Pyne napisał do banku w sprawie kaprała Gameta.

— Czemu miałyby zrobić coś takiego? — zapytał.

Oszołomiona Maggie pokręciła głową i wzięła do ręki inny dokument.

— Podarował mu łódź... i napisał, że może ją sprzedać... Są tu również papiery demobilizacyjne Gameta... Spójrz, czek na pięćset funtów, wystawiony na kaprała!

Mitchell przyglądał się uważnie dokumentom.

— Dlaczego twój ojciec zrobił coś tak szalonego?

Maggie patrzyła na czek. Potem podniosła głowę i spojrzała na Mitchella.

— On go szantażuje—powiedziała cicho. Nagle zaczęła krzyczeć. Ten wstrętny mały łajdak szantażuje mojego ojca!

Mitchell starał się ją uspokoić.

— Opanuj się, kochanie. Nie możesz być tego pewna.

Zadzwoił telefon. Maggie odsunęła się od Mitchella i podniosła słuchawkę.

Wróciła po kilku minutach z zamyśloną miną.

— Dzwonili z przystani w Weybridge. Powiedzieli, że Gamet właśnie zabrał łódź i pytali, czy wszystko jest w porządku... Mitch, masz łódź, prawda?

Mitchell spojrział na dziewczynę. Lekarz miał rację: trudno było ją złamać. Patrzyła na niego twardo.

— Posłuchaj, Maggie, czy nie sądzisz, że powinnaś poczekać na lekarza?

— Chcę wiedzieć, co się stało z ojcem.

— Trzeba wezwać policję.

— Nie! Najpierw musimy się dowiedzieć, czym ten drań szantażuje ojca!

Mitchell postanowił, że nie będzie się spierał. Westchnął.

— Dobrze. Pójdę do domu po klucze do łodzi. Daj mi pół godziny.

Przed domem Mitchella stał samochód policyjny i półciężarówka.

W pierwszym momencie pomyślał, że Maggie zmieniła zdanie i zawiadomiła policję.

— Pan Mitchell? — spytał oficer.

— Tak. O co chodzi?

— Czekaliśmy na pana, sir. Czy wie pan, że wczoraj wieczorem ktoś się do pana włamał? Zgłosił to chłopiec roznoszący gazety. — Policjant miał podejrzliwą minę, jak gdyby uważał, że właściciele splądrowanych domów są współwinni przestępstwa.

Przez piętnaście minut policja przeszukiwała dom. Spuszczono nawet labradora. Pies obwąchał każdy pokój, wracając kilka razy do salonu, ale niczego nie znalazł.

W końcu Mitchell przekonał policjantów, żeby wyszli i obiecał, że zadzwoni do nich, jeśli odkryje, że coś zniknęło. Wsiedli niechętnie do samochodów i przez kilka minut obserwowali dom, zanim odjechali.

Mitchell posępnie obejrzał wybitą szybę w kuchni. Przed wyjściem musiał prowizorycznie naprawić szkodę. Kiedy skończył przybijając ostatnią deskę, usłyszał, że w salonie dzwoni telefon.

4

Spotkanie w chłodnym, wychodzącym na północ pokoju nad biurami Środkowoeuropejskich Linii Lotniczych na Oxford Street miało się zacząć o 10:00.

Walter Innam przyjechał o 10:05. Nosił garnitur, który kupił dziesięć lat temu, a w ręku trzymał teczkę. Recepcjonista wskazał mu windy i powiedział, że czekają na niego w pokoju 101. Przez pięć minut Innam patrzył z nieszczęśliwą miną na numery pokoi, dopóki nie wyratowała go maszynistka.

Paul Weiner przyjechał taksówką o 10:10.

Czterdziestoletni mężczyzna w garniturze w kratkę przybył pieszo. Skinął głową recepcjoniście i poszedł prosto do pokoju 101. Weiner i Innam siedzieli już przy długim stole konferencyjnym. Na jednej ze ścian widniał duży ekran z głośnikami po obydwu stronach. Na długiej półce po przeciwnej stronie pokoju stało kilka projektorów do filmów i slajdów.

— Mam nadzieję, że zrobiliście slajdy z tych zdjęć? — spytał mężczyzna w kraciastym garniturze.

— Tak — Weiner skinął głową w kierunku Linama. — Pan Innam je przyniósł.

Mężczyzna w kraciastym garniturze spojrzął na Innama, jak gdyby dopiero teraz go zauważył. Potem uśmiechnął się i serdecznie uściśnął mu rękę.

— Cieszę się, że znów cię widzę — powiedział. — Jak się miewasz?

— Bardzo dobrze — odrzekł Innam. Usiłował dyskretnie przyjrzeć się rozmówcy, tak aby go nie urazić.

— Kilka lat temu spotkaliśmy się w Waszyngtonie. Sprawdzales wtedy jakieś podejrzone prace budowlane w Iraku.

— Ach, tak — odparł grzecznie Innam.

— A teraz odkryłeś kilka niespodzianek tutaj, w Anglii? — mężczyzna spojrzął pytająco na Weinerja. — Dobrze. Zaczniemy?

— Myślę, że powinniśmy poczekać na Hendricksa — odrzekł Weiner.

— Przyjdzie lada chwila.

Mężczyzna w kraciatym garniturze wyglądał na zdziwionego.

— Jest w tym kraju?

Weiner skinął głową.

— Wyleciał z Langley dwie godziny temu.

— Dlaczego podjął taką decyzję? — mężczyzna spojrzał oskarżycielsko na Weinerja.

Weiner wzruszył ramionami.

— Hendricks nie musi się przed nikim tłumaczyć.

— Tylko niezwykle powody mogły go skłonić do podróży przez Atlantyk.

— Posłałem mu kopię raportu Innama — powiedział Weiner,

— Ja jej nie otrzymałem — odparł z naciskiem mężczyzna w kraciatym garniturze.

— Sądziłem, że Hendricks powinien pierwszy ją zobaczyć. Mężczyzna spojrzał w zamyśleniu na Innama.

— Musisz mieć w tej teczce coś naprawdę specjalnego.

— Zgadza się — odpowiedział za Innama Weiner.

Drzwi otworzyły się i wszedł Hendricks. Był wysokim, chudym mężczyzną o pociągłej, posępnej twarzy. Na widok tej twarzy każdego człowieka ogarniał smutek i głęboki niepokój. W „firmie”, czyli kwaterze głównej CIA w Langley, krążyła plotka, że Hendricks kiedyś się uśmiechnął. Jeśli tak, to był to taki sam ewenement, jak zburzenie murów Jerycha: nikt nie potrafił tego udowodnić, istniały jedynie poszlaki.

Weiner próbował przedstawić Hendricksa pozostałym, on jednak machnął niecierpliwie ręką. Usiadł naprzeciwko ekranu, ułożył starannie złote pióro obok wcześniej przygotowanych kartek i spojrzał na trzech mężczyzn.

- Dzień dobry, panowie. Zaczniemy? — Nie było to pytanie, lecz polecenie.

Weiner i mężczyzna w kraciatym garniturze spojrzeli na siebie niepewnie.

Weiner chrząknął.

— Cóż, sir, jak pan zapewne wie, w niedzielę wielka rafineria, znajdująca się w miejscu zwanym Thames...

Hendricks podniósł rękę.

— Słusznie, Weiner. Wiem. Nie ma więc sensu tego powtarzać. Przyleciałem z tak daleka, aby wysłuchać waszego raportu, gdyż nie wystarczały mi fakty. Chcę usłyszeć, co macie do powiedzenia, a wtedy podejmę decyzję. Proponuję, żebyśmy przeszli do sprawy bez żadnych wstępów. — Zdania te zostały wypowiedziane krótko, ostro, z harwardzkim akcentem.

Weiner rozejrzał się niepewnie. Wymruczał:

— Tak, sir. — Podeszedł do okna i zaciągnął żaluzje. W półmroku Innam wkładał slajdy do projektora.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało ruiny rafinerii z wysokości tysiąca stóp. Minęło zaledwie pięć sekund, a już Hendricks warknął:

— Następny.

Ten sam los spotkał trzy kolejne slajdy. Każdy z nich ukazywał się na ekranie przez pięć sekund, a potem mężczyzna o chudej twarzy mówił:

— Następny.

Piąty slajd przedstawiał kawałek aluminium, który wczoraj przykuł uwagę Innama. Trudno było odczytać wytłoczone na nim białe litery.

— Czy mamy jakieś zbliżenie? — spytał Hendricks.

— W tym projektorze jest urządzenie, które pozwala na oglądanie zdjęć z bliska — powiedział Innam.

— W takim razie proszę z niego skorzystać.

Obraz rozszerzył się — jego krawędzie widniały teraz na suficie i nad głośnikami. Białe cyfry i litery zrobiły się wyraźniejsze i można je było z łatwością odczytać.

— Panowie — powiedział Hendricks, wskazując ekran kościstą ręką.

— Widzicie przed sobą federalny numer ewidencyjny. Jest to jeden z numerów przydzielonych piechocie morskiej przez Logistyczny Ośrodek Wojskowy w Battle Creek w stanie Michigan.

Pierwsze dwie cyfry — jedyńka i czwórka — są, jak zaznaczyliście w raporcie, identyfikatorem broni sterowanych. Przed wyjazdem zdażyłem ustalić, że pozostałe cyfry tworzą numer identyfikacyjny pocisku Honest John. Numer został wytłoczony zgodnie z regulaminem korpusu piechoty morskiej, dotyczącym znakowania magazynowanego sprzętu.

Hendricks przerwał, oparł się wygodnie i splótł długie palce za

głową.

— Wszyscy w Langley zgodzili się, że wykrycie tego szczegółu wymagało dużej bystrości i poproszono mnie, żebym wam za to podziękował.

Miły, okrężny komplement, pomyślał Weiner.

— Moim zdaniem powinniśmy się jednak wstrzymać z pochwałami, dopóki nie ustalicie, kto wystrzelił amerykański pocisk — ciągnął Hendricks. — Płaci się wam przecież za rozwiązywanie zagadek, a nie tylko za ich odkrywanie.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwał Weiner:

— Rząd brytyjski wydał oświadczenie, zgodnie z którym do eksplozji doszło przypadkiem.

— To jeszcze jedna zagadkowa sprawa — powiedział powoli Hendricks. — Bez wątpienia zniszczenie rafinerii jest dziełem terrorystów i rząd brytyjski zdaje sobie z tego sprawę. Terrorysty nie trzymają w sekrecie swoich akcji — Hendricks uśmiechnął się lekko.

— W przeciwnym razie nie warto by było ich podejmować. Musimy zadać sobie następujące pytania. Kim są ludzie, którzy wystrzelili amerykański pocisk? Czego żądają od zaprzyjaźnionego rządu? Wygląda na to, że Brytyjczycy starają się zatuszować całą sprawę.

— Czy wiadomo, skąd wzięły się w Anglii te pociski? — spytał mężczyzna w kraciatym garniturze, zastanawiając się, co to ma wspólnego z elektrownią.

— Tak — odparł krótko Hendricks. Przerwał, a po chwili mówił dalej: — Sądzymy, że jest to jeden z dziesięciu pocisków, sprzedanych kilka lat temu brytyjskiemu rządowi. Bardzo stary sprzęt. Przed trzema miesiącami uprowadzono ciężarówkę, przewożącą dwie rakiety do Królewskich Zakładów Artylerii. — Hendricks spojrzał na Weinerja. — Być może pamięta pan ten incydent.

Weiner skinął głową. Przypominał sobie, że złożył w Langley raport, którego skutkiem była ostra nota, wysłana do brytyjskiego rządu przez amerykańskiego sekretarza stanu. Zawierała krytyczne uwagi o środkach bezpieczeństwa, podjętych podczas transportu pocisków.

— Na ogół nie spieszę się z wyciąganiem wniosków, jest jednak bardzo prawdopodobne, że pocisk, który zniszczył Thames Haven, to jedna ze skradzionych rakiet — powiedział Hendricks i rozejrzał się, jak gdyby oczekiwał, że ktoś zaoponuje. Nikt się jednak nie odezwał. — Ciekawe,

skąd wystrzelono pocisk — rzekł. — Jeśli zakreślimy promień o długości trzydziestu kilometrów wokół miejsca eksplozji, to otrzymamy obszar o powierzchni czterech tysięcy kilometrów kwadratowych. Czy ktoś ma jakieś sugestie, od czego powinniśmy zacząć poszukiwania? Weiner tylko na to czekał.

— Pan Innam dokonał nowych odkryć od chwili złożenia raportu — rzekł szybko.

Hendricks odwrócił się do Innama.

— Czyżby?

Innam zauważył, że biała plama nad ramionami Hendricksa zwraca się w jego kierunku.

— Myślę, że potrafię dokładnie określić, skąd wystrzelono pocisk — powiedział nerwowo.

— Proszę to zrobić — rzekł Hendricks.

— Zmienię slajd, jeśli panowie pozwolą... — Jedno po drugim na ekranie pojawiały się zdjęcia. Po chwili obraz pokazywał ujście Tamizy w dziwnych kolorach. Rzeka była jasnozielona, a teren wokół niej miał różne odcienie, od różu do szkarłatu.

— Widzą panowie zdjęcie w podczerwieni — wyjaśnił Innam. —

Liście drzew mają tu różne odcienie czerwieni. Jeśli je zbliżymy...

Dziwny pejzaż przybliżył się do czterech mężczyzn. Przez chwilę Weiner czuł się jak Bóg — tego właśnie doświadczał Innam za każdym razem, kiedy zbliżał się do ziemi.

Weiner z zawodowym zainteresowaniem przyglądał się zdjęciu, ale nie zauważał niczego wśród kolorowych plam.

— Na środku zdjęcia widzimy elektrownię Vulcan Hall — wskazał Innam. — Znajduje się w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów od rafinerii. Te kwadraty to dwie cysterny.

Weiner przyjrzał się uważniej. Zauważył plamę wokół jednego z samochodów.

— Co to za smuga? — spytał Hendricks.

— Pęcherz cieplny — rzekł Innam. — Występuje zawsze po eksplozji. Podobne zjawisko możemy zaobserwować wokół rafinerii.

— Twierdzi pan, że ten... pęcherz cieplny wokół cysterny powstał po odpaleniu pocisku Honest John? — spytał sceptycznie Hendricks.

Innam wyczuł niedowierzanie Hendricksa i zjeżył się — kwestionowano jego zawodowe umiejętności.

— Tak, sir. Jestem tego absolutnie pewny, gdyż w cysternie z prawej strony znajduje się nie wystrzelona rakietą. Jeśli przyjrzy się pan dokładniej, zobaczy pan szczelinę na szczycie cysterny. Wewnątrz widać czubek pocisku. To musi być Honest John, bo wszystkie parametry się zgadzają!

Po tyradzie Innama zapadła cisza.

Innamowi drżała ręka. Zastanawiał się, co go teraz czeka.

Chuda twarz Hendricksa odwróciła się od ekranu.

— Dobrze. Wpuśćmy trochę światła.

Weiner wstał i odsłonił żaluzje.

— Proszę mi powiedzieć o tej elektrowni — rzekł Hendricks.

Mężczyzna w kraciastym garniturze otworzył teczkę i popchnął ją w kierunku drugich palców, bębniących niecierpliwie po stole. Palce znieruchomiały, a po chwili wyjęły z teczki plany i zdjęcia.

— To jednostka o mocy 1320 megawatów, napędzana przez dwa reaktory powielające, na neutronach prędkich — rzekł mężczyzna w kraciastym garniturze. — Właśnie wycofano ją z produkcji i przeznaczono do rozbiórki. Jednakże zdjęcia w podczerwieni pokazują, że dwie wieże chłodnicze wciąż wydzielają ciepło — więcej niż można by się spodziewać po dwóch niedawno zamkniętych reaktorach.

Chmura ciepła kieruje się ku Morzu Północnemu.

Sądzę, że Brytyjczycy zgromadzili w Vulcan Hall mnóstwo odpadów nuklearnych. Mają problemy polityczne ze składowiskiem w Cheshire.

Hendricks uderzył ręką w plany.

— Jak sądzicie, ile odpadów znajduje się w Vulcan Hall?

Mężczyzna w kraciastym garniturze zawahał się.

— Mogłem tylko dokonać przybliżonych obliczeń w oparciu o wielkość chmury ciepłej, ale powiedziałbym, że dwa i pół biliona curie.

— Co to znaczy? — spytał Hendricks. — Nie jestem fizykiem atomowym.

— Vulcan Hall to największe na świecie składowisko odpadów nuklearnych — powiedział mężczyzna w kraciastym garniturze.

Nikt się nie odezwał. Mury Jerycha zaczęły chwiać się w posadach.

Hendricks uśmiechnął się.

— Mam pewną teorię, panowie, która wyjaśnia te na pozór nie związane ze sobą fakty. — Odwrócił się do mężczyzny w kraciatym garniturze. — Jakie skutki wywołałoby skażenie środowiska? Mężczyzna w kraciatym garniturze zapisał coś na kartce, a potem podniósł głowę. Opanowanym głosem odpowiedział.
— Byłby to drugi Czarnobyl, tylko gorszy... O wiele gorszy.

5

Godzinę później Hendricks siedział na krześle Paula Weinerja i oglądał zdjęcie Ralpa Kellera, zrobione na przyjęciu w St Georges Hill. Położył fotografię na biurku i spojrzał na Weinerja.

— Dziwne, że właśnie teraz się pojawił.

— Nie wiemy przecież, czy jest w to zamieszany — odrzekł Weiner.

— Tak podpowiada mi szósty zmysł—stwierdził Hendricks, biorąc do ręki rejestr wyborców z St Georges Hill i niedbale przerzucając strony. Jego bystre oczy obserwowały kolumny nazwisk i adresów.

Kilka pozycji było podkreślonych. Wskazał jedną z nich i uniósł brwi.

— To ludzie o daleko idących prawicowych poglądach — wyjaśnił Weiner.

— Daleko idących, lecz nie skrajnych. Wyeliminowaliśmy postrzelców i wzięliśmy pod uwagę tylko tych, którzy potrafią trzeźwo myśleć i umieliby założyć komórkę ruchu oporu. — Weiner przerwał. — Gdyby istniała taka potrzeba.

Hendricks w milczeniu przyglądał się liście.

— Gdzie jest nazwisko Pyne'a? — spytał w końcu.

— Strona siódma. Nazwisko Pattersona znajduje się na stronie piątej, obok nazwiska Louise Campion. To kobieta z tej samej fotografii.

Hendricks przewracał strony.

— Czym zajmuje się Pyne?

— Jest logistycznym oficerem łącznikowym brytyjskiego rządu — odpowiada za stan zaopatrzenia służb wojskowych. Jego podpis widnieje na wszystkich dokumentach, zalecających redukcję wydatków na zbrojenia. Jest jednym z głównych zwolenników utworzenia centralnie dowodzonych europejskich sił zbrojnych.

— Gabinetowy żołnierz?

— Ten gabinetowy żołnierz potrafi skutecznie działać. Lubi go ministerstwo skarbu — właśnie dlatego w wieku czterdziestu pięciu lat uzyskał stopień generała-majora.

Hendricks skinął głową.

— Czy na pewno helikopter w Vulcan Hall należy do niego.

— Tak.

— Jak dobrze zna go twój kontakt — ten Howard Mitchell?

— W niedzielę grywa z Pyne'em w golfa. Nic ponadto. Howard nigdy nie nawiązywał łatwo przyjaźni.

Hendricks wstał.

— Chcę się spotkać z Howardem Mitchellem. Zadzwoń do niego i zaprosz tu... natychmiast.

W słuchawce odezwał się kobiecy głos.

— Czy mogę rozmawiać z panem Reaganem? — spytał Simpson.

Zapadła cisza, a potem kobieta zapytała:

— Kto mówi?

— Kolega — odrzekł Simpson.

Znow przez chwilę panowała cisza.

— Mogę przekazać wiadomość pani Reagan — powiedziała kobieta.

— Gdyby podał mi pan swoje nazwisko...

Jej ton zaniepokoił Simpsona.

— Chcę rozmawiać z panem Reaganem — przerwał, starając się mówić spokojnie.

— Pan Reagan... zginął wczoraj wieczorem w wypadku drogowym — rzekła szybko kobieta.

Simpson położył rękę na telefonie.

— Naprawdę? Jak to się stało? — wcale nie musiał udawać szoku.

— To straszne — stwierdziła kobieta. — Pan Reagan prowadził bardzo ostrożnie. Zawsze był bardzo ostrożny. Kierowca ciężarówki powiedział, że wyjechał prosto z bocznej uliczki...

— Gdzie to było?

— W Weybridge, Nikt z nas nie ma pojęcia, co tam robił. Jego żona jest w okropnym stanie, biedactwo...

Simpson pozwolił kobiecie mówić przez chwilę — myślał gorączkowo, rozważając różne nieprawdopodobne teorie.

— Może przekazuje jej, że pan dzwonił?

— Nie. Nieważne. — Odłożył słuchawkę i patrzył przez kilka sekund na telefon, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Zadzwoił do biura numerów i poprosił o numer komisariatu w Weybridge. Dwie minuty później rozmawiał z dyżurnym sierżantem.

— Nie umiem panu powiedzieć nic poza tym, co podaliśmy prasie — powiedział policjant. — Niejaki Patrick Reagan zginął wczoraj w nocy na skrzyżowaniu Brooklands Road i St Georges Hill Road. Jeśli poczeka pan chwilę, to będę mógł pana poinformować, kiedy dokładnie doszło do wypadku.

— Czy wie pan, w którym kierunku jechał?

— Wyjeżdżał z St Georges Hill na Brooklands Road. Jego samochód został potrącony przez ciężarówkę, należącą do Brytyjskich Zakładów Lotniczych.

— Dziękuję — rzekł Simpson i odłożył słuchawkę. Wyszedł z budki telefonicznej ze zmartwioną miną.

7

Kellera zbudziły ciepłe promienie słońca, wpadające do Sali kontrolnej. Źle spał pierwszej nocy po objęciu dowództwa w elektrowni. Kilka razy budził się i sięgał po telefon komórkowy, gdyż wydawało mu się, że ktoś zbliża się do jego łóżka.

Nie zauważył jednak nikogo. Podeszedł do pulpitu kontrolnego i podniósł mikrofon do ust.

— Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś przyniósł mi śniadanie — powiedział uprzejmie. Słyszał, jak jego głos rozbrzmiewa w odległych korytarzach, a głośniki z różną dokładnością odtwarzają nosowy akcent.

— Może zrobi to panna Champion — odezwały się głośniki w sali rekreacyjnej dla personelu, gdzie Pyne i Louise jedli zimne śniadanie. Louise spojrzała na głośnik i skrzywiła się.

— Niech sam je sobie weźmie — powiedziała.

Pyne ostrożnie postawił filiżankę na spodku i położył rękę na dłoni Louise.

— To chyba dobry pomysł, Louise, zwłaszcza jeśli namówisz go, żeby podeszedł do jednego z frontowych okien.

Spojrzała na dłoń, a później w szare oczy generała Pyne cofnął rękę.

— Jak mam to zrobić, Conradzie?

Pyne wyglądał na zakłopotanego.

— Cóż... jakiś kobiecy podstęp.

Louise uśmiechnęła się.

— Uważasz, że stać mnie na to, Conradzie?

Unikał jej wzroku.

— Oczywiście.

— Może najpierw powinnam poćwiczyć na tobie?

Pyne zaczął żałować, że to zaproponował. Louise nic już nie powiedziała. Podeszła do niedużej lady i zaczęła przygotowywać kanapki.

— A może byśmy go otruli? — spytała.

— Moglibyśmy — zgodził się Pyne. — Musiałabyś jednak przygotować coś, co zadziałałoby w ciągu jednej sekundy.

Spojrzała na Pyne'a, ale w jego oczach nie było rozbawienia.

Trzymał ręce na stole i patrzył z rozpaczą w ścianę. Tej nocy, kiedy zastanawiali się, jak poradzić sobie z Kellerem, kilka razy miała ochotę go pocieszyć — powiedzieć, że nie ponosi winy za nieoczekiwany obrót wypadków. Nie miała jednak odwagi: generał był niewzruszony i wyglądało na to, że bierze na siebie całą odpowiedzialność. Hugh Patterson starał się wyperswadować Pyne'owi ucieczkę i proponował, że zastrzeli Kellera, Pyne odrzucił jednak tę sugestię.

— Mamy tylko sterlingi — powiedział.

— Myślałam, że to groźna broń — rzekła Louise Champion.

— Niewystarczająco groźna. Musi go zabić pierwsza kula, a strzelając ze sterlinga nie możemy być tego pewni. Ta broń ma duży rozrzut. To nie przeszkadza w walce z bliska, nie ma jednak stuprocentowej pewności, że uśmierci się człowieka, którego bierze się na cel.—Pyne przerwał. — My zaś musimy być stuprocentowo pewni.

Dyskutowali przez całą noc. O 08:30, kiedy Patterson poszedł sprawdzić czujniki IRIS, doszli do wniosku, że oryginalny plan Pyne'a ma pewne szanse powodzenia. Generał podkreślił, że jest niezwykle ważne, aby rząd został ostrzeżony o zmianie sytuacji w elektrowni. Kiedy generał kończył drugą filiżankę kawy, do sali rekreacyjnej wszedł Patterson. Posadził na krześle swoje masywne ciało i spojrzał niespokojnie na kanapki przygotowywane przez Louise Champion.

— To chyba nie dla mnie?

— Dla Kellera — odrzekł Pyne. — Chce, żeby Louise przyniosła mu śniadanie. Sprawdziłeś czujniki nad brzegiem rzeki?

— Nie. Wróciłem po baterie. Wydawało mi się, że czuję zapach kawy. Pyne wstał.

— Czas zrealizować nasz plan. — Podniósł sterlinga i podał Pattersonowi. — Chodźmy. Później wypijesz kawę. Patterson spojrzał najpierw na karabin, a potem na Pyne'a.

Powoli pokręcił głową.

— Teraz? — spytał.

— Wszyscy zgodziliśmy się, że należy działać, kiedy nadarzy się okazja. Louise zanieśe Kellerowi śniadanie i zwabi go do okna, tak aby widział, jak sprawdzamy czujniki.

Patterson wziął broń i zbadął ją z zatrokaną miną.

— To zbyt niebezpieczne, Conradzie. Co będzie, jeśli karabin się zatnie?

Louise Champion skończyła przygotowywać śniadanie. Obserwowała w milczeniu obu mężczyzn.

Pyne wzruszył ramionami.

— Nigdy nie twierdziłem, że plan nie jest ryzykowny. Wolę jednak zaryzykować niż siedzieć beczynnienie.

— Pozwól mi to zrobić.

— To był mój pomysł—odrzekł zdecydowanie Pyne. — Przecież to z mojej winy Keller znalazł się w naszej grupie.

Pyne sprawdził, która godzina.

— Lepiej zsynchronizujmy zegarki. Ustawiam go na 09:17.

— Spojrzał na Louise. — Czy uda ci się ściągnąć Kellera do okna o 09:30?

Louise spojrzała na zegarek.

— Tak.

— W takim razie załatwione. Chodźmy, Hugh.

Patterson westchnął i wyszedł za Pyne'em z pokoju.

Louise Champion zatrzymała się przed drzwiami sali kontrolnej i postawiła tacę na podłodze. W cichym korytarzu słyszała szum kamer, śledzących jej ruchy od sali rekreacyjnej. Stała teraz bezpośrednio pod kamerą i miała nadzieję, że znajduje się poza polem widzenia. Obiektów był skierowany na podłogę pod maksymalnym kątem. Louise drżała, ale nie ze strachu, że Keller ją

obserwuje, lecz na myśl o tym, co za chwilę będzie musiała zrobić. Rozpięła pięć górnych guzików bluzki. Spojrzała na zegarek. 09:21. Zapukała głośno, podniosła tacę i biodrem otworzyła drzwi. Keller stał w odległości kilku metrów. Trzymał niedbale sterlinga, a na jego nadgarstku wisiał na krótkim pasku telefon komórkowy. Uśmiechnął się i zrobił krok w jej kierunku.

— Panna Champion. To miło z pani strony. Proszę pozwolić, że wezmę od pani tacę.

Louise podeszła do okna.

— Tutaj? — spytała, patrząc Kellerowi w oczy, aby przekonać się, czy zerka na jej rozpiętą bluzkę. Nie zerkał.

Wziął tacę i usiadł przy jednym z pulpitów.

— Jest zbyt gorąco, żeby przebywać na słońcu, nie sądzi pani? — rzekł uprzejmie, sącząc ciepły napój. — Znakomita kawa, panno Champion. Bardzo pani dziękuję.

Louise odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i spojrzała na zegarek. 9:22.

Zostało jej osiem minut, żeby ściągnąć Kellera do okna.

8

O 9:22 Howard Mitchell odłożył młotek, którym przybijał deseczki do ramy drzwi i pobiegł do salonu, żeby odebrać telefon.

Kiedy podniósł słuchawkę, aparat przestał dzwonić. Odezwał się ponownie, gdy Mitchell był już w połowie schodów.

Odebrał w sypialni.

— Halo?

Po drugiej stronie słyszał czyjś oddech.

— Pan Mitchell? — zapytał jakiś mężczyzna.

— Tak. Kto mówi?

Odpowiedziała mu cisza.

Mitchell zmarszczył brwi i odłożył słuchawkę. Wziął szybki prysznic i ogolił się, mając zamiar wrócić później do Maggie z kluczami od łodzi. Telefon zadzwonił trzeci raz, kiedy chował elektryczną golarkę. Tak jak poprzednio, odebrał w sypialni. Dzwoniła sekretarka, która dziwiła się, dlaczego nie pokazał się w biurze.

— Jest już prawie wpół do dziesiątej, panie Mitchell — stwierdziła z wyrzutem. — Powiedział pan wczoraj, że zamierza pan wcześniej zacząć...

Mitchell przerwał jej. Oświadczył, że zmienił plany i postanowił spędzić rano na łodzi. W razie potrzeby będzie się można z nim połączyć przez telefon komórkowy.

Kilka minut później odjechał.

Zamyślony Simpson wyszedł z budki telefonicznej. Najwyraźniej Reagan nie wykonał zadania. Trzeba na razie zapomnieć o problemie Howarda Mitchella.

Jeśli CIA dowiedziała się o elektrowni... cóż, premier jakoś sobie poradzi.

— Wydaje mi się, że najpierw będziemy musieli zjeść konserwy wołowe, bo nie można ich przechowywać zbyt długo — powiedział Keller.

— Chyba tak — odrzekła Louise.

Jeszcze sześć minut.

Keller zauważył, że Louise spogląda na zegarek. Uśmiechnął się.

— Ciekawe, jak wpłynie na nas życie w zamknięciu.

Zorientowała się, że patrzy na nią.

Potrzebowała całej siły woli, żeby nie zapiąć rozchylonej bluzki.

— Nie wiem — odpowiedziała.

Keller jadł w milczeniu.

— Mogę usiąść? — zapytała.

Keller wyglądał na zdziwionego.

— Przepraszam, że pani nie zaprosiłem. — Machnął ręką. - Nie wiedziałem, że chce pani zostać. Proszę się rozgościć. Zawsze nieskazitelne maniery, pomyślała. Trudno uwierzyć, że ten człowiek jest niezrównoważony. Udało mu się nabrać wszystkich — nawet bystrego Hugh'a Pattersona. Podeszła do okna, wychodzącego na rzekę, i usiadła.

Pięć minut.

Wyglądało na to, że kiedy się oddaliła, Keller przestał się nią interesować. Generał Pyne i Patterson pojawili się na odległym końcu betonowej płyty i sprawdzali czujniki IRIS strzegące elektrowni od

strony rzeki. Każdy czujnik stał na aluminiowej podstawie dwumetrowej wysokości, obciążonej u dołu ołowiem.

Louise ściągnęła usta i dmuchnęła w górę, aż powietrze poruszyło jej włosy. — Boże, ale gorąco.

Keller zaczął jeść drugą kanapkę.

— Owszem — powiedział niezobowiązująco.

Cztery minuty.

Louise powachlowała się, najpierw dłonią a potem bluzką.

Stanęła w rozkroku i jeszcze raz wykonała ten sam gest, rozkoszując się chłodnym powiewem na gorącej skórze. Starła się podciągnąć materiał wystarczająco wysoko, by Keller dostrzegł jej ciało.

Zwykle nie zachowywała się w taki sposób. Przypomniała sobie czasy wczesnej młodości, kiedy po raz pierwszy odkryła, jaka potęga drzemie w jej ciele. Zamknęła oczy. Te dni wydawały się bardzo odległe. Miała prawie dwadzieścia lat, gdy poznała Clive'a. Wkrótce pozostały jej tylko wspomnienia, gdyż Clive źle podszedł do lądowania, a jego myśliwiec Tornado zamienił się w ognistą kulę koło bazy RAF-u w Biggen Hill.

— Rzeczywiście, panno Champion. Jest bardzo gorąco — subtelny, uprzejmy głos rozległ się tuż za nią.

Otworzyła oczy i odwróciła się. Koło niej stał Keller, trzymając na ramieniu sterlinga. Mdłości ogarniały ją jak trująca winorośl, uśmiechnęła się jednak z wysiłkiem. Wyrzała przez okno. Pyne i Patterson sprawdzali właśnie trzeci czujnik. Patterson patrzył w ich kierunku, udając, że przygląda się elektrowni.

- Co oni robią? — spytał Keller niedbałym tonem.

— Chyba sprawdzają detektory IRIS.

— Sprawdzali je przecież wczoraj wieczorem.

— Zdaje się, że należy je codziennie nastawiać ze względu na upał. Jeszcze trzy minuty.

Patterson schylił się, żeby zawiązać sznurowadło. Pyne szedł dalej.

— Dziwne — rzekł Keller.

— Generał Pyne jest bardzo ostrożny — odrzekła Louise, mając nadzieję, że głos jej nie drży.

— Nie o tym myślałem.

Dwie minuty.

— Wygląda pani na przestraszoną, panno Champion — Keller mówił spokojnie, bezbarwnym tonem. Położył Louise ręce na ramionach. Próbowwała opanować drzenie i nie odważyła się podnieść głowy, by przekonać się, czy Keller patrzy na nią, czy na dwóch mężczyzn w dole. Promienie słońca odbijały się od jej zegarka, nie mogła więc sprawdzić, która godzina. Pochyliła głowę w kierunku ręki Kellera. Jedna minuta.

Popełniła błąd: Keller uznał to za pieszczotę. Jego palce zeszywniały i spoczęły na jej szyi.

Patterson wyprostował się. Pyne szedł trzydzieści metrów przed im po betonowym falochronie. Pięć metrów niżej była woda.

Trzydzieści sekund.

Była pewna, że Keller zauważył jej przyspieszony puls.

— Czy pamięta pani, jakie buty nosi Patterson? — spytał Keller, mówił cicho, ale paznokcie wbiły się mocno w jej ciało.

Dwadzieścia sekund.

Pyne patrzył na wodę, czekając, aż Patterson zbliży się do niego.

— Pracuję dla niego od pięciu lat — rzekł Keller. — Zawsze nosił drogie, elastyczne obuwie.

Spojrzała szybko na Kellera. Nie przyglądał się jej, lecz obserwował uważnie obu mężczyzn. Nagle puścił ją, podniósł sterlinga i złapał magazynek. Przez krótką chwilę, gdy Keller patrzył w dół, zastanawiała się, czy nie wyrwać mu broni. Rozległ się metaliczny szczęk, kiedy zwalniał bezpiecznik. Potem Pyne zaczął biec, a Keller zbliżył się do okna.

— Stój! — krzyknął Patterson, a jego głos słychać było wyraźnie w sali kontrolnej. — Na miłość boską, Pyne! Stój, ty cholerny idioto!

Pyne jednak nie zatrzymał się. Biegł wzdłuż falochronu, a Patterson podążał za nim. Nagle Patterson zatrzymał się i podniósł karabin. Jego następny okrzyk zagłuszył brzęk pękającego szkła. To Keller wybił okno sterlingiem.

— Zatrzymaj go! — wrzasnął Keller do Pattersona. — Nie mogę strzelać z tej odległości!

Patterson spojrzał szybko na wybitą szybę, a potem wycelował w Pyne'a.

Wystrzelił długą serię, zużywając dwie trzecie magazynka. Pyne

odwrócił się jakby pod wpływem uderzenia, zawisł na skraju falochronu, a potem wpadł do wody. Patterson podbiegł bliżej i wystrzelił drugą serię w kierunku rzeki.

Dwie minuty później obok niego na brzegu rzeki stanął Keller ciężko dysząc.

— Gdzie on jest? — spytał Keller, mrużąc oczy. Oślepiało go światło, odbite od powierzchni wody.

Patterson zmrużył oczy i wskazał w dół rzeki, pod słońce. Keller zauważył jakiś przedmiot, przepływający koło krawędzi falochronu. Podniósł karabin.

— To nie jest konieczne — rzekł ostro Patterson. — On nie żyje. Keller zignorował jego słowa i wystrzelił. Kule uderzyły niedaleko ciała Pyne'a. Odrzut sprawił, że zakołysał się telefon komórkowy, przypięty paskiem do nadgarstka Kellera. Odległość była duża, nie zauważył więc, jak wokół dryfującego ciała pryska woda. Opuścił dymiącego sterlinga i odwrócił się do Pattersona, który stał jak sparaliżowany.

— Długo dla pana pracuję, panie Patterson. Powinien pan wiedzieć, że zawsze staram się zabezpieczyć, podobnie jak pan zawsze się upewnia, że ma zasznurowane buty.

Patterson nic nie odpowiedział. Odwrócił się i szedł w kierunku głównej bramy, skąd Louise Champion przyglądała im się z przerażeniem. Miał wrażenie, że za chwilę Keller strzeli mu w plecy. Fizyk osłaniał oczy i patrzył na martwe ciało, dryfujące ku morzu. Właśnie wtedy Patterson doszedł do wniosku, że musi zabić Kellera, zanim zapadnie zmrok.

10

- Jak wygląda łódź twojego ojca? — spytał Mitchell, wkładając kluczyk do stacyjki.

Maggie przyjrzała się zacumowanym motorówkom.

— Jest podobna do tej. To łódź typu Freeman — wskazała białoniebieski jacht ze szklanego włókna. — Nasza ma jednak biały kadłub i jasnozieloną kabinę.

Mitchell kiwnął głową i uruchomił silnik. Uśmiechnął się do żeglarza, siedzącego w kokpicie sąsiedniej łodzi i zawołał do Maggie.

— Dobrze. Odwiąż linę. —Lubił używać niefachowych określeń, żeby drażnić pretensjonalnych żeglarzy. Niektórzy z nich nosili nawet kapitańskie czapki, choć pływali w niewielkich, płaskodennych łódkach.

Silniki zdążyły się już rozgrzać, kiedy duża motorówka wypływała na Tamizę.

Mitchell usadowił się na wygodnym fotelu na pomoście nawigacyjnym. Na dole, w sterówce, koło sterowe z nierdzewnej stali i przyrządy kontrolne poruszały się same, jak gdyby łodzią kierował duch.

Maggie przyłączyła się do Mitchella i usiadła na fotelu nawigatora.

— Lubisz żeglować? — spytał, żeby coś powiedzieć.

— Tak — odrzekła krótko.

Mitchell spojrzał na nią. Twarz dziewczyny wciąż zdradzała napięcie po przeżyciach ubiegłej nocy. Na policzku miała brzydki, czerwony ślad po uderzeniu Gameta. Nie mówiła na ten temat w czasie krótkiej podróży na przystań.

— Jak się teraz czujesz? — Było to głupie pytanie. Dlaczego zawsze zachowywał się tak nerwowo w towarzystwie kobiet? Czemu nie umiał wymyślić żadnej dowcipnej uwagi, która by ją rozśmieszyła i pozwoliła zapomnieć?

— Lepiej — odpowiedziała Maggie.

— Może chcesz o tym porozmawiać?

— Nie. — Po chwili zapytała: — Czy mogę przez chwilę zająć się nawigacją?

To pytanie stworzyło okazję, na którą czekał.

— Naprawdę sądzisz, że możemy się zgubić na rzece?

Z przyjemnością usłyszał śmiech Maggie.

— Idiota. Chodziło mi o sterowanie.

— Pewnie. — Zwolnił fotel i stanął obok niej. Zauważył, że dziewczyna nie stara się sterować zbyt poprawnie, jak robi to większość ludzi, którzy po raz pierwszy siadają za kołem sterowym.

— Sterowałaś już kiedyś łodzią — zauważył.

Maggie skinęła głową.

— Kiedy matka żyła, jeździliśmy na ryby do Windsoru.

— Razem z ojcem?

— Tak. Zawsze. Byliśmy zżytą rodziną. Ojciec zawsze potrafił znaleźć dla nas czas.

— Teraz już nie?

— Ostatnio był bardzo zajęty.

Minęli zacumowaną policyjną motorówkę. Gruby policjant wygrzewał się na słońcu.

Tamiza stawała się coraz szersza, a na jej środku pojawiła się wysepka. Prawa odnoga prowadziła do Shepperton Manor; z lewej strony widniał przesmyk Desborough.

— Którędy? — spytał Mitchell.

Maggie zastanowiła się chwilę.

— Najpierw popłyniemy w dół rzeki, a potem wrócimy przesmykiem. W ten sposób zaoszczędzimy paliwo.

— Nie martwię się o to. Co jednak będzie, jeśli Gamet popłynął dalej w dół rzeki?

Maggie skręciła w lewo, zanim odpowiedziała.

— Nie przedostanie się przez służę Molesey. Tablica rejestracyjna jest już nieaktualna. Nie zdążyliśmy załatwić formalności.

— Posłuchaj, Maggie. Minęliśmy niedawno komisariat policji.

Czy nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdyby to oni się tym zajęli?

— Nie, Mitch. Najpierw muszę się dowiedzieć, czy Gamet szantażuje ojca.

Wyglądała na zdecydowaną. Mitchell postanowił, że nie będzie się spierał. Stłumiony warkot chłodzonych wodą rur wydechowych oraz cichy pomruk dwóch dieslowskich silników nie przeszkadzały zwierzętom, żyjącym na zalesionych brzegach i w małych zatoczkach porośniętych trzcina.

Mitchell często tędy pływał — po raz pierwszy wkrótce po przyjeździe do Anglii. Właśnie ta pierwsza podróż oraz spokojny urok rzeki skłoniły go do sprowadzenia z Ameryki łodzi typu Chris Craft, kiedy pozwolił na to stan interesów. Żałował, że sprawy zawodowe nie pozwalały mu na częstsze korzystanie z łodzi. Interesy pochłaniały go tak bardzo, że nie miał nawet czasu dla przyjaciół. Kupno wielkiego domu w St Georges Hill okazało się błędem: poza generałem Pyne'em, sąsiedzi nie byli zbyt przyjacielscy. Teraz Mitchell zrozumiał, że Pyne zaprzyjaźnił się z nim tylko dlatego, żeby dowiedzieć się czegoś

o przemyśle naftowym na Morzu Północnym. Stojąc na mostku Mitchell

nagle zdał sobie sprawę, że poza sekretarką, która miała męża i dzieci, Maggie jest pierwszą kobietą, z którą związał się po opuszczeniu Nowego Jorku. Może gdyby pracował i mieszkał w Londynie, spotykałby więcej ludzi. Mitchell spędził jednak dzieciństwo na Lower East Side i postanowił, że nigdy więcej nie zamieszka w mieście.

— Chciałabyś się czegoś napić? — spytał.

— Teraz?

— Może coli? — Uśmiechnął się.

— Potrzebowałabym raczej czegoś mocniejszego. Przepraszam, Mitch. Nie jestem zbyt rozmowna.

— To zaleta — odrzekł Mitchell i zszedł pod pokład do dobrze zaopatrzonej kuchni. Właśnie usiłował wyjąć lód z lodówki, kiedy silniki zwolniły. Na początku pomyślał, że śruby się zablokowały. Potem drzwi lodówki zamknęły się, a łódź łagodnie skręciła.

— Spójrz — powiedziała Maggie, gdy Mitchell wrócił na mostek. Wskazała porośnięty trzcinami brzeg, gdzie wśród liści widniał dach łodzi motorowej.

Mitchell położył Maggie rękę na dłoni, trzymającej koło sterowe. Cofnęła się, jakby użądliła ją pszczoła.

— Przepraszam — rzekł Mitchell. — Wyrównywałem kurs.

— To nie twoja wina — odparła Maggie drżącym głosem.

— Dasz sobie radę?

— Tak.

Maggie skierowała Chris Crafta prosto w trzciny. Widać było pawęż małej łodzi. Kapral Gamet drzemał w kokpicie. Wędka wyslizgnęła mu się z dłoni. Nie obudził go warkot silników. Poruszył się dopiero wtedy, gdy cień padł na jego twarz. Otworzył oczy i spojrzał w górę na pomost nawigacyjny. Zamrugął ze zdziwieniem. Zaniepokoił się na widok Maggie przy kole sterowym.

Wstał raptownie, ale dziewczyna ruszyła szybko naprzód, odcinając mniejszej łodzi drogę ucieczki. Gamet zastanawiał się, czy nie wyskoczyć za burtę. Wysunął już jedną nogę, kiedy pojawił się Mitchell.

— Nie radzę — powiedział groźnie. — Rzeka ma tu trzy metry głębokości.

Gamet zawahał się. Czuł, że córka generała patrzy na niego.

— Czego chcesz?

— Zamienić z tobą słowo.

— Odpieprz się. Zasłaniasz mi widok — Gamet próbował bezczelnością zamaskować strach.

Mitchell wszedł na pokład Freemana. Łódź zakołysała się i Gamet stracił równowagę. Mitchell uderzył go, wskakując do kokpitu.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył Gamet po odzyskaniu przytomności, były rury wydechowe. Opierały się na nich jego nogi, związane boleśnie liną na wysokości kostek.

Dźwiękoszczelna maszynownia Chris Craffa była idealną salą tortur. Ostrożnie otworzył oczy. Maszynownię oświetlała lampa w drucianej oprawie. Obok niego stał Mitchell. Gamet zamknął oczy i przygotował się na kopniaka w jądra.

— Radzę, żebyś odpowiedział na kilka pytań — warknął Amerykanin. Gamet rzucił jakieś przekleństwo, ale tej pozornej brawurze przeczyły krople potu, zbierające się na jego czole. Próbował usiąść, lecz skrzywił się, kiedy rury wpiły się w jego ciało z tyłu kolan.

— Czemu to zrobiłeś?

— Niby co?

Mitchell zacisnął zęby i uderzył Gameta. Bezczelna mina kaprała pomogła mu przewyciężyć skrupuły.

— Sama mnie zachęciła — splunął.

Mitchell znów go uderzył. Tym razem nie miał żadnych oporów.

— Ona mówi co innego.

— W takim razie masz jej słowo przeciwko mojemu. Do cholery, czemu mnie związałeś?

— Dowiesz się wkrótce, jeśli nie odpowiesz na moje pytania.

— Posłuchaj — powiedział Gamet. — Czy ty ją znasz? To po prostu wyzywająca, mała dziwka. — Przerwał i rozejrzał się po maszynowni, w której pełno było kosztownych urządzeń. — Pewnie traktuje cię lepiej niż mnie.

— Jak ciebie traktowała? — spytał Mitchell. Tym razem opanował się i nie uderzył Gameta.

— Jak ostatniego śmiecia.

— Może miała powody.

Po twarzy kaprała spływał pot.

— Na początku myślałem, że zawsze tak się zachowuje, kiedy ma przed sobą zwykłego kaprała, kogoś nie z jej sfery, ale to nie o to chodziło.

— A o co?

Opowiedział Mitchellowi o wtorkowym popołudniu w Belfaście — o nastolatce za kierownicą, wystrzale w gaźniku i interwencji generała Pyne'a, który dowiedział się, że kapral umie pilotować helikoptery typu Scout.

— Lubisz generała? — spytał Mitchell, kiedy Garnet zamilkł.

— Pomógł mi, gdy potrzebowałem pomocy. Niestety, potem musiałem usługiwać jego córeczce.

— Jeśli lubisz Pyne'a, to czemu go szantażujesz?

Żołnierz patrzył na Mitchella.

— Nie gadaj bzdur. O co ci chodzi, do cholery?

Trzeci cios odrzucił w tył głowę Gameta i zdarł skórę z kłykci Mitchella.

— Na miłość boską! — prosił Garnet. — Nie wiem, o czym mówisz! Obaj mężczyźni przyglądali się sobie w półmroku.

— Gdzie jest teraz generał?

— Nie wiem — powiedział Gamet. Z kącika ust ciekła mu krew. Mitchell spojrzął na zakrwawioną dłoń. Wyprostował się i zdjął z haczyka mikrofon.

— Dobrze, Maggie. Włącz silniki. Na luźnym biegu. Powoli i spokojnie.

Kiedy odwieszał mikrofon, słychać było głośny syk sprężonego powietrza, a potem rozległ się ostry, metaliczny dźwięk, dzwoniący przykro w uszach w ciasnym pomieszczeniu.

Silnik na lewej burcie ożył nagle, a wkrótce przyłączył się do niego drugi diesel. Oba silniki pracowały na wysokich obrotach.

Rury między nogami Gameta zaczęły się rozgrzewać.

Kapral nie miał już aroganckiej miny. W jego oczach pojawił się strach,

Mitchell uśmiechnął się z wysiłkiem. Duża różnica istniała pomiędzy biciem człowieka a tym, co zamierzał teraz zrobić.

— Rury wydechowe są chłodzone wodą, nie nagrzewają się więc zbyt mocno — powiedział Mitchell, przekrzykując warkot dwóch wysokoprężnych silników. — Oczywiście pod warunkiem, że chłodzenie jest włączone. — Wskazał zawór.

— Jeśli jednak zakręcę wodę, choćby tylko trochę, na przykład tak... — przekręcił kran.

Garnet czuł, jak rura się rozgrzewa. Zastanawiał się, czy Amerykanin blefuje. Twarde spojrzenie Mitchella rozwiało jego nadzieje.

— Co cię obchodzi generał?

— Jego córka chce poznać prawdę.

Kapral właśnie zamierzał się uśmiechnąć, kiedy Amerykanin lekko przekręcił zawór. Gorący gaz natychmiast rozgrzał obydwie rury.

— Dlaczego szantażujesz Pyne'a i gdzie on jest?

— Kazał mi nic nie mówić — wykrztusił Garnet.

Mitchell jeszcze bardziej odkręcił zawór. Nie sprawiało mu to przyjemności, ale ten drań na to zasłużył.

— Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

— Przyrzekłem, że nic nie powiem.

Garnet raptownie wciągnął powietrze, czując ostry ból w ścięgnach.

— Dlaczego żądał, żebyś mu to obiecał?

Mitchell znów lekko przekręcił zawór. Garnet czuł się tak, jak gdyby ktoś odcinał mu nogi na wysokości kolan.

— Nie wiem, do cholery! — krzyknął. Próbował unieść plecy z podłogi, ale w ten sposób jeszcze mocniej przycisnął mięśnie do gorących rur.

Mitchell patrzył z niepokojem na wijącego się kaprala. Garnet znów opadł na pokład i rzucał się to w jedną, to w drugą stronę, daremnie próbując uwolnić się od cierpienia. Jęki bólu mieszały się z przekleństwami.

Mitchell postanowił dać mu już spokój. Właśnie zamierzał włączyć zimną wodę, kiedy Garnet powiedział:

— Dobra. Odwiąż mnie, do cholery, to powiem ci wszystko, co wiem.

Piętnaście minut później Mitchell zawlókł Gameta do kokpitu.

— Trzymaj się z daleka od St Georges Hill i Maggie, bo inaczej spotka cię coś o wiele gorszego — ostrzegł.

— General powiedział, że mam się zająć jego domem — rzekł posepnie.

— Nie spieraj się ze mną. Rób, co ci każe!

Kapral spojrział w chłodne oczy Maggie Pyne, obserwujące go z pomostu nawigacyjnego. Skinął głową.

Mitchell dał znak Maggie, żeby się cofnęła, wskoczył na pokład Chris Craфта i wrócił do kokpitu. Duża łódź wypłynęła z trzcin, zostawiając za sobą smugę spienionej, białej wody. Maggie skierowała jacht na środek rzeki.

— Co powiedział? — spytała, kiedy Mitchell stanął obok niej.

Amerikanin opowiedział, czego dowiedział się od Gameta o niedzielnej podróży Pyne'a na Downing Street.

— Twój ojciec wręczył list policjantowi przed posesją numer 10. Może złożył rezygnację albo coś w tym rodzaju — zakończył Mitchell. Maggie była zdziwiona.

— Przecież nie przekazałby jej premierowi — zmarszczyła brwi. — Chociaż kiedyś go znał.

— Twój ojciec znał premiera? — Mitchell spojrział na nią ze zdumieniem.

— Tak. Nie sądzę jednak, żeby miał teraz zbyt wiele czasu dla polityków. — Odwróciła się do Mitchella. — Czy ten mały drań szantażuje ojca?

— Nie.

— Uwierzyłeś mu?

— Tak. — Mitchell przerwał. — Maggie, co ktoś mógłby mieć przeciwko twojemu ojcu?

— Nic. — Spojrzała na rzekę.

Jej ton wzbudził podejrzenia Mitchella.

— Posłuchaj, Maggie. Jeśli uważasz, że Gamet nie powiedział mi wszystkiego, to możemy wrócić i ...

— Nie! — rzekła ostro Maggie.

— To dlaczego...

— Mitch, jeśli coś ci powiem, to czy obiecasz, że zachowasz to dla siebie?

Mitchell patrzył na posiniaczoną twarz dziewczyny.

— Cóż, oczywiście...

Maggie milczała przez chwilę, porządkując myśli.

— Sądzę, że tata wplątał się w podejrzone interesy z Hughem Pattersonem. Może chodzić o defraudację, dotyczącą sprzętu rządowego.

Zdumiony Mitchell patrzył na nią.

— Twój ojciec? To niemożliwe.

— Mnie też trudno w to uwierzyć. Jednakże ostatnio tata widywał się często z Hughem Pattersonem. Pewnego razu, kiedy zanosilał im herbatę do ogrodu, usłyszałam, jak Hugh wspomina coś o wojskowym zaopatrzeniu. Jeśli to prawda, kapral z łatwością mógł się o wszystkim dowiedzieć.

Mitchell milczał przez kilka sekund.

— Czy naprawdę sądzisz, że twój ojciec zrobiłby coś takiego?

— Nie chcę nawet o tym myśleć — odparła z gniewem Maggie.

— Wiem tylko, że ojciec zachowywał się ostatnio inaczej niż zwykle.

Mitchell pokręcił głową.

— Gamet powiedziałby mi. Poza tym on szanuje twojego ojca.

— Zawahał się. — To ciebie nienawidzi. Stwierdził, że źle go traktowałeś.

Maggie zbladła z gniewu.

— Zabił kobietę. Gdyby nie ojciec, ten niewdzięczny mały drań wciąż siedziałby w więzieniu.

Mitchellowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

Zastanawiał się, co Maggie wie o służbie wojskowej — prawdziwej służbie wojskowej, a nie o polowaniach i przyjęciach w mesie oficerskiej. Poczul sympatię dla Gameta. Kapral zareagował na wystrzał w gaźniku tak, jak go nauczono. To wspomnienie będzie go dręczyło do końca życia.

— Czy zrobiłeś mu krzywdę? — spytała Maggie.

— Chciałabyś, żebym zrobił mu krzywdę?

— A jak sądzisz?

— Był pijany — rzekł Mitchell.

— I to usprawiedliwia wszystko, czy tak?

Właśnie zamierzał odpowiedzieć, kiedy rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu w sterówce. Dzwoniła sekretarka. Paul Weiner chciał jak najszybciej spotkać się z nim w Londynie.

— Dobrze — powiedział Mitchell. — Wracamy właśnie do Walton.

Przyjedź po mnie za dziesięć minut na przystań w Eastwood.

Wyjaśnił Maggie sytuację.

— Mogłabym zabrać twoją łódź do Weybridge — zaproponowała. Mitchell zastanawiał się, czy może zostawić cenną łódź w rękach dziewczyny. Właściwie zrozumiała jego niepewną minę.

— Daj spokój, Mitch. To przecież ja nią sterowałam. Wiesz, że potrafię sobie radzić.

Uśmiechnął się.

— Na pewno lepiej niż ja. — Wręczył jej kluczyki do mustanga.

— Będziesz potrzebowała samochodu, kiedy dotrzesz do Weybridge.

— O której wrócisz?

— Nie jestem pewny. Paul to stary kolega z czasów szkolnych.

— Zadzwoń, zanim wyjedziesz z Londynu, to przygotuję ci kolację — Maggie spojrzała w dół, aby uniknąć jego zdziwionego spojrzenia.

- Dziękuję. To miło z twojej strony.

Maggie uśmiechnęła się — po raz pierwszy tego dnia.

Wysadziła Mitchella na ścieżce flisackiej w Eastwood i zawróciła w górę rzeki. Cieszyła się słońcem, z radością sterowała łodzią po ukochanej rzece, na której razem z ojcem często karmiła łabędzie, kiedy była dzieckiem.

Potem pomyślała, że kapral Gamet również dobrze się bawi

— siedzi właśnie w łodzi ojca i łowi ryby jego wędką. Zastanawiała się, czy Mitchell zrobił mu coś złego. Nie, nie mogła sobie tego wyobrazić. Mitchell był zbyt łagodny.

To nie on musiał patrzeć na tę bliznę.

Pięć minut później dotarła do wysepki na środku Tamizy. Nie wpłynęła jednak do przesmyku Desborough, lecz ruszyła tak jak poprzednio ku jachtowi ojca.

11

Kiedy Pyne skoczył do rzeki, jego pierwszą troską było to, żeby nie nałykać się zanieczyszczonej wody. Potem martwił się, czy zdoła płynąć pod wodą wystarczająco długo, by wydostać się poza zasięg strzałów Kellera. Zanim udał, że trafiła go kula, oddychał głęboko przez kilka minut. Dzięki temu będzie miał w krwi dużo tlenu i dłużej wytrzyma pod wodą. Teraz, po nagłym zetknięciu z zimną wodą, plany,

o których rozmawiał wczoraj z Hughem Pattersonem i Louise Campion, wydawały mu się odległe i nierealne. Na szczęście po skoku nie wypuścił powietrza z płuc, choć bardzo się tego obawiał. Kiedy się zanurzył, wykonał kilka słabych ruchów, nie mając pewności, że zmierza we właściwym kierunku.

Po chwili mózg pływaka, obdarzony własnym instynktem samozachowawczym, pobrał z krwi cały tlen i zaczęło mu brakować powietrza. Po zaledwie trzydziestu sekundach spędzonych pod wodą musiał się wynurzyć.

Z przerażeniem zauważył, że wciąż znajduje się bardzo blisko falochronu. Wydawało mu się, że widzi, jak Patterson strzela w jego kierunku. Zaczepnął powietrza i pozwolił nieść się prądowi. Poruszał lekko nogami, mając nadzieję, że dzięki temu będzie płynął szybciej.

Jeszcze jeden głęboki wdech.

Obejrzał się za siebie. Falochron zniknął. Poruszał się szybciej, niż oczekiwał, unoszony przez ogromną masę wody, zmierzającej ku ujściu.

Raczej poczuł niż usłyszał kulę, uderzającą w powierzchnię rzeki. Nie umiał stwierdzić, gdzie trafiła.

Z następną kulą sprawa była prosta; woda prysnęła w odległości jednego jarda od głowy Pyne'a. Za chwilę wokół niego zaczęły padać pociski. Wypuścił powietrze z płuc i zanurkował.

Strzały ucichły.

Pyne wynurzył się, zaczął pływac i dryfował dalej. Dopiero po dziesięciu minutach odważył się spojrzeć na elektrownię. Udało mu się odpłynąć na odległość dwustu metrów. Wyglądało na to, że na betonowej płycie nie ma nikogo.

Pusta była również Tamiza, która w tym miejscu miała szerokość czterech kilometrów.

Czteryście metrów dalej, w pobliżu brzegu, widniała pomarańczowa boja. Prąd znosił Pyne'a na środek rzeki. Gdyby udało mu się dotrzeć do boi, trzymałby się jej, dopóki nie nadpłynie jakiś statek.

Płynął powoli żabką, chociaż nawet we własnym basenie nie radził sobie zbyt dobrze z tym stylem. Nie odważył się płynąć kraulem, gdyż obawiał się, że Keller obserwuje rzekę przez lornetkę. Pyne'owi sprzyjało wprawdzie światło, odbijające się od wody, ale

wolał nie ryzykować.

Przestał płynąć i zawisł w wodzie nieruchomo. Elektrownia malała w oczach, gdyż niósł go teraz szybki nurt rzeki.

Statek, holujący barki ze śmieciami, zmierzał prosto na Pyne'a.

Generał zauważył go dopiero z odległości trzydziestu metrów. Patrzył w oszołomieniu na grabą plecionkę z włókna kokosowego, owiniętą wokół dziobu. Panika ocaliła mu życie. Ruszył gwałtownie w kierunku południowego brzegu, kiedy odtrącił go dziób holownika. Zdołał odepchnąć się od kadłuba. Na szczęście lina pomiędzy statkiem a pierwszą barką była wystarczająco długa, by Pyne zdążył uskoczyć w bok. Zardzewiała, stalowa płyta zdarła mu skórę z rąk, kiedy odpychał się od niej, aby uniknąć zderzenia z drugą barką. Udało mu się odplłynąć na bezpieczną odległość od trzeciej, ale wir wciągnął go w kilwater. Coś zawadziło o ramię Pyne'a, a potem musnęło ciało.

Była to lina cumownicza, płynąca za ostatnią barką. Generał czuł, jak sznur owija się wokół jego kostki. Szarpnięcie zwichnęłoby mu nogę, gdyby nie złapał liny w pokaleczone ręce. Trzymał ją z determinacją, choć nie było to łatwe, gdyż o jego pierś uderzał silny strumień wody. Nie miał jednak wyboru: musiał trzymać się liny, dopóki nie wydobędzie się z rzeki.

W przeciwnym razie groziło mu utonięcie.

Nadludzkim wysiłkiem podciągnął się po linie cztery metry bliżej. Próbował odpocząć, owijając linę wokół ciała, przeszkadzał mu jednak silny prąd.

Ramiona bolały go z wysiłku. Przypomniawszy sobie sztuczkę, której nauczył się od instruktorów jako kadet: chwycił linę stopami i zaczął pracować mięśniami nóg.

Kilka minut później znalazł się pod ukośną rufą barki. Próbował wdrapać się na pokład. Nad powierzchnią wody lina była sucha; kiedy jej dotykał, pozostawiał czerwone plamy.

Barka zakołysała się, a Pyne kołysał się wraz z nią, co było dodatkowym obciążeniem dla jego zmęczonych dłoni. Oparł nogi o resztki rdzewiejącego sworznia, wystającego z rafy, złapał się za knagę i z ulgą puścił linę.

Odpoczywał przez kilka minut, a potem ostrożnie stanął na sworzniu. Kiedy się wyprostował, jego głowa wystawała nad burzę. Widział trzy inne barki, podążające posłusznie za holownikiem.

Mdlejąc prawie ze zmęczenia, wdrapał się na wąski boczny pokład. Smród gnijących odpadków wydał mu się najpiękniejszym zapachem, jaki czuł kiedykolwiek.

Próbował wstać, lecz nagle przewrócił się, kiedy fala zakołysała barką.

Upadł z wysokości zaledwie dwóch metrów, ale uderzył głową w butelkę. Leżał nieruchomo. Runęła na niego lawina papieru, plastikowych pudełek po jajkach i roślinnych odpadków.

Załoga holownika nie wiedziała, że jedna z barek wiezie pasażera. Za pięć godzin przypląną do Dover, gdzie holenderska pływająca przetwórnia zajmie się ich ładunkiem. Wielkie pompy próżniowe błyskawicznie oczyszczą barki. Potem zgniatacze hydrauliczne sprasują odpady i zamieniają je w regularne prostopadłości, które zostaną wykorzystane jako budulec w holenderskich tamach.

12

Paul Weiner przedstawił Mitchellowi Hendricksa jako „mojego szefa” w ambasadzie amerykańskiej. Hendricks siedział w fotelu Weinerja. Wskazał gościowi puste krzesło.

— Proszę usiąść, panie Mitchell. Przykro mi, że kazałem panu czekać.

— Przyglądał się Mitchellowi niczym sęp obserwujący ofiarę. Nie lubił tracić czasu na grzeczności, od razu przeszedł więc do rzeczy. —

Proszę mi opowiedzieć o generale Pyne'em.

Pytanie zdziwiło Mitchella.

— Co będzie z moim świdrem?

— O czym pan mówi? — spytał Hendricks.

Mitchell spojrział na Weinerja, a potem znów na Hendricksa.

— Czyż nie po to mnie tu zaprosiliście?

— Postaramy się wynagrodzić panu poniesioną stratę, panie Mitchell

— rzekł ostrożnie Hendricks. — Najpierw jednak proszę nam powiedzieć, co pan wie o Pyne'em.

Maggie ma słuszność, pomyślał Mitchell. Jej ojciec ma kłopoty.

Spróbował zmienić temat.

— Czy wie pan, ile jest wart taki świder?

— Nie — odrzekł Hendricks. — Spodziewam się jednak...

— Ponad milion dolarów.

Hendricks skinął głową.

— Proszę mi opowiedzieć o Pyne'em.

Mitchell spełnił jego prośbę, nie wspomniał jednak o obawach Maggie i napaści kaprała na córkę generała. Fakt, że Pyne powierzył swój majątek Garnetowi, przekonał Hendricksa, że jego teoria jest słuszna. Hendricks słuchał uważnie, robiąc notatki, a potem wyjął zdjęcie grupy ludzi, stojących przed helikopterem typu JetRanger. Mitchell spojrział na nie ze zdumieniem.

— Skąd to wzięliście?

Weiner otworzył usta, lecz Hendricks gestem nakazał mu milczenie.

— Czy rozpoznaje pan tych ludzi? — spytał.

Słyszac lodowaty ton Hendricksa, Mitchell postanowił, że nie będzie się domagał odpowiedzi na swoje pytanie.

— Nie, ale Mag... córka generała Pyne'a pokazywała mi przedwczoraj takie samo zdjęcie. Powiedziała, że ten helikopter należy do Hugh'a Pattersona.

— Kim jest ta kobieta? — spytał Hendricks, zauważając, że Mitchellowi wyrwało się imię „Maggie”, kiedy wspominał o córce generała.

— Louise Champion. Sąsiadka i przyjaciółka rodziny Pyne'ów.

Hendricks skinął głową i odwrócił do siebie zdjęcie.

— Ten mężczyzna nazywa się Keller?

— Zdaje się, że tak.

— To jego imię czy nazwisko?

— Nie wiem.

Hendricks pogłaskał się po nosie kościstym palcem.

— O co tu chodzi?

Hendricks patrzył na dłoń Mitchella, spoczywającą na poręczy krzesła.

— Panie Mitchell, chcemy, żeby pan nadal utrzymywał stosunki z córką generała Pyne'a i starał się uzyskać wszelkie możliwe informacje o jej ojcu. — Mimowolne drgnięcie palców Mitchella potwierdziło podejrzenia Hendricksa. — Zapłacimy panu za świder, nie może się więc pan skarżyć, że nie jesteśmy hojni. — Oparł się wygodnie i

uśmiechnął chłodno do mężczyzny, siedzącego naprzeciwko. Jeśli znał się na ludziach, to teraz powinna nastąpić reakcja. Tak się właśnie stało.

— Jakie stosunki? — uciął Mitchell.

Hendricks westchnął.

— Panie Mitchell, gdybyśmy chcieli, moglibyśmy z łatwością odesłać pana do Stanów Zjednoczonych. Wystarczy jedno słowo, wyszeptane do odpowiednich uszu, i Brytyjczycy cofnęliby panu pozwolenie na pracę. Myślę, że trudno byłoby panu prowadzić tutejsze interesy z drugiego brzegu Atlantyku. — Przerwał.

— Oczywiście wierzę, że nie będziemy musieli uciekać się do takich metod.

Mitchell spojrział w zimne, zapadnięte oczy rozmówcy i doszedł do wniosku, że Hendricks, kimkolwiek jest, nie blefuje.

Obietnica pokrycia kosztów utraconego świdra była zresztą bardzo nęcąca.

— Zgoda.

Hendricks wstał i wyciągnął rękę.

— Dziękuję, panie Mitchell. Oczywiście skontaktuje się pan z Weinerem, gdyby miał pan jakieś wiadomości.

Mitchell stał już w progu, kiedy Hendricks powiedział:

— Jeszcze jedno, panie Mitchell. Czy Pyne należał do ludzi o zdecydowanych poglądach? Czy był przekonany, że wie, jak zrobić porządek w tym kraju?

— Tak — odparł po chwili Mitchell. — Jego córka powiedziała, że często dyskutował o sprawach gospodarczych z Hughem Pattersonem. Hendricks skinął głową.

— Proszę nikomu nie wspominać o tym spotkaniu, panie Mitchell. Kiedy Mitchell otworzył drzwi samochodu, przypomniał sobie, że obiecał zadzwonić do Maggie przed opuszczeniem Londynu.

Właśnie wykreślał ostatnią cyfrę jej numeru, kiedy nagle zastanowił się, o co w tym wszystkim chodzi i w co się pakuje.

Przestał o tym myśleć, gdy usłyszał jej głos.

Hendricks podniósł zdjęcie.

— Nazywa się teraz Keller?

Weiner skinął głową.

— Takiego nazwiska używał w Oak Ridge.

Hendricks wcisnął guzik interkomu.

- Chcę rozmawiać z sekretarzem stanu, Proszę mu powiedzieć, że to bardzo pilne.
- Czy powinniśmy poinformować ambasadora? — spytał Weiner.
- Tak sędzę — odparł Hendricks.

13

Dziewięćdziesięciokilogramowe ciało sierżanta policji rzecznej Harry'ego Snowdona spoczywało na trawie na brzegu rzeki koło komisariatu. Wcześniej przez trzydzieści minut usiłował oczyścić zatkany przewód paliwowy łodzi patrolowej.

Na rzece panował spokój. Na drugim brzegu, od strony Weybridge, kilku wędkarzy łowiło nielegalnie ryby w publicznej przystani.

Harry'emu to nie przeszkadzało, gdyż ściganie takich wykroczeń nie leżało w jego gestii. W odległości kilku metrów od dużych stóp sierżanta zepsuta łódź patrolowa kołysała się łagodnie przy śliskim nadbrzeżu. Po lewej stronie wierzba płacząca leniwie zanurzała w wodzie długie gałęzie.

Było to cudowne popołudnie, zbyt upalne, by zajmować się łodzią. W oddali pojawił się jacht. Snowdon zauważył, że jest to Chris Craft, należący do Amerykanina, zamieszkałego w St Georges Hill. Sierżant patrzył zazdrośnie na łódź. W ciągu dwudziestu lat pracy w policji rzecznej nauczył się oceniać kraje w zależności od jakości budowanych przez nie luksusowych łodzi. Amerykanie stali na czele tej listy, a tuż za nimi byli Holendrzy.

Dziewczyna na mostku wydawała się znajoma. Nagle ją rozpoznał: to córka generała Pyne'a. Była sama.

Harry Snowdon wstał i wszedł do komisariatu.

— Jest tu córka generała Pyne'a w tej dużej, amerykańskiej łodzi z przystani w Weybridge — oświadczył.

— Zgadza się — powiedział dyżurny sierżant, nie podnosząc głowy znad gazety. — Widziałem, jak odpływała rano.

— Z Amerykaninem?

— Tak.

— Zdaje się, że nie ma go teraz na pokładzie.

Dyżurny sierżant wstał i wyjrzał przez okno ponad ramieniem Harry'ego Snowdona. Nagle jego twarz zbladła.

— Boże! — krzyknął, rzucając gazetę na podłogę. — Spójrz!
Obaj mężczyźni wybiegli na zewnątrz, kiedy Chris Craft musnął
burłę zacumowanej łodzi patrolowej.

— Moja łódź — jęknął Harry Snowdon.

Maggie wyłączyła oba silniki i wychyliła się z mostka. Harry
Snowdon wgramolił się do łodzi patrolowej i odepchnął Chris Craffa
bosakiem.

— Przepraszam — powiedziała Maggie. — Nie jestem przyzwyczajona
do tej łodzi.

Harry Snowdon z ulgi potarł brew, a dyżurny sierżant zabezpieczył
jacht.

— Czy możemy pani w czymś pomóc? — spytał Harry
Snowdon, patrząc na mostek i zauważając siniaki na twarzy
dziewczyny.

— Chciałam zgłosić napaść — powiedziała spokojnie Maggie.
Używając określenia Harry'ego Snowdona, podróż do miejsca, gdzie,
jak twierdziła dziewczyna, można było znaleźć kaprala Gameta, była
„parszywa”.

Przez pierwsze dziesięć minut dziewczyna niewiele się odzywała,
potem pokręciła się na krześle i powiedziała:

— Czy chciałby pan się czegoś napić?

Harry Snowdon patrzył na zbliżający się brzeg i zastanawiał się, czemu
nie istnieje egzamin dla użytkowników łodzi, przypominający egzamin
na prawo jazdy.

— Lepiej niech pani trzyma kurs — powiedział grzecznie, zauważając,
że ręce dziewczyny drżą. Była w szoku. Teraz, po odejściu Mitchella,
przestała nad sobą panować. Nie chciała, żeby policjant jej się
przyglądał.

— Jeśli ma pan ochotę na drinka, to proszę zejść na dół i rozejrzeć się
— powiedziała Harry'emu Snowdonowi.

— Lepiej zostanę tutaj, panienko — odrzekł sierżant.

— W łódźce jest kilka puszek — powiedziała Maggie, trzymając
mocno ster, aby opanować drzenie rąk. — Czy mógłby mi pan jedną
przynieść?

Harry Snowdon popatrzył na jej bladą, ściągniętą twarz. Zszedł pod
pokład.

— Dziękuję, panienko.

W odległości stu metrów pojawił się dach łodzi typu Freeman.

Nagle Maggie poczuła mdłości.

— Sierzancie! — zawołała. — Widać go z lewej strony.

Harry Snowdon zamknął drzwi lodówki.

— Dobrze, panienko! — krzyknął. — Proszę tam podpłynąć, a ja z nim porozmawiam. — Otworzył drzwi sterówki i patrzył na Freemana. Skorygował lekko kurs, posługując się drugim sterem. Nagle koło sterowe szarpnęło i łódź zachybotła. Niewiele brakowało, a Harry Snowdon straciłby równowagę.

— Przepraszam — zawołała Maggie. — Wszystko w porządku?

— Tak, panienko — padła zboląta odpowiedź.

Maggie widziała Gameta, drzemiącego w kokpicie. Włączyła syrenę.

Dźwięk obudził kaprała, który patrzył ze strachem na Chris Crafta.

— Proszę zostać na miejscu, dopóki nie wejdę na pokład — rozkazał Harry Snowdon.

Pas wody pomiędzy łodziami stawał się coraz węższy.

Prerażone oczy Gameta patrzyły to na umundurowanego policjanta, to na Maggie, która właśnie zatrzymywała łódź.

Rzuciła Gametowi linę. Był zbyt zdziwiony, by zareagować — lina wpadła do wody.

— Ja to zrobię — zaproponował Harry Snowdon, wychodząc spod pokładu.

— Dam sobie radę — powiedziała Maggie, która zwinęła już linę i znów ją rzuciła. Lina nie dotarła jednak do celu, gdyż łódź zdryfowała w bok. Gamet skoczył, starając się złapać koniec sznura, lecz poślizgnął się na rufie ze szklanego włókna. Krzyknął głośno, wpadając do wody. Przez resztę życia Maggie często się zastanawiała, co się wydarzyło w ciągu kilku następnych minut.

— Cofnij łódź! — krzyknął sierżant, biegnąc po pokładzie w poszukiwaniu liny, którą mógłby rzucić tonącemu człowiekowi. Nagle przypomniał sobie, że widział liny na mostku. Tymczasem zaczęły pracować potężne silniki jachtu. Sierżant wrócił szybko do sterówki, spojrzał na dwa drążki i zorientował się, że dziewczyna w jednym silniku włączyła bieg do przodu, a w drugim wsteczny.

Rufa dużej łodzi kierowała się ku Gametowi, który wrzeszczał, że nie umie pływać.

— Co mam zrobić? — krzyknęła dziewczyna.

Harry Snowdon chwycił oba drążki i próbował zmienić ich położenie. Kiedy rafa Chris Crafta zbliżyła się do Gameta, kapral chwycił za mahoniowe listwy na poszyciu łodzi, osłaniające kadłub. Jego stopa natrafiła na jeden ze wsporników, podtrzymujących ster. Oparł się z ulgą i wyciągnął rękę w kierunku drabinki, przymocowanej do pawęży. Wokół niego kipiała woda, wzburzona przez śruby napędowe. Ledwo słyszał, że Maggie krzyczy coś na cały głos.

— Puść przyrządy! — wrzasnął Harry Snowdon, ale histeryczne łkanie dziewczyny, walczącej z drążkami, zagłuszyło jego głos.

— Nie mogę sobie poradzić! — usłyszał.

Przez chwilę Harry Snowdon zastanawiał się, czy powinien iść na mostek i odciągnąć dziewczynę od steru, czy zostać w sterowni.

Postanowił zostać — był przecież silniejszy od dziewczyny. Pociągnął z całej siły za drążek i ustawił go na jałowym biegu.

Warkot jednego z silników przycichł. Dziób Chris Crafta otaczały trzciny i łódź nie mogła płynąć do przodu. Harry Snowdon puścił drążek. Nagle dźwignia przesunęła się na pozycję „cała wstecz”.

Chris Craft przechylił się gwałtownie, wypływając z trzciny.

Nieoczekiwany przechył sprawił, że policjant stracił równowagę.

Wyciągnął rękę, żeby się czegoś przytrzymać, i złapał drążek sterowniczy.

Chris Craft skoczył gwałtownie do tyłu. Niewiele brakowało, a Gamet puściłby drabinkę. Jego stopy ześlizgnęły się ze wspornika i znalazły się pod kadłubem łodzi.

Brązowa śruba o trzech ostrzach przecięła mięśnie, kości i szpik, odcinając prawą nogę tuż ponad kolanem. Ciało ześlizgnęło się z drabinki i zostało wciągnięte pod kadłub. Teraz śruba zabrała się do torsu kaprala.

Zaczynając od pachwiny roztrzaskała miednicę, uszkodziła kręgosłup w kilku miejscach i pocięła na drobne kawałeczki wątrobę, serce i płuca.

Szczałki ciała Garneta obijały się o dno statku, a później przyciągnęła je do siebie druga śruba. Kontynuowała dzieło zniszczenia, tnąc na miazgę ramiona i głowę. W końcu wnętrzności Gameta owinęły się wokół wału napędowego.

Szczupak, któremu najwyraźniej nie przeszkadzała bliskość śruby, zaczął zjadać dryfujące nitki rdzenia kręgowego. Sierżanta Harry'ego Snowdona i Maggie zabrano do lokalnego szpitala. Harry Snowdon

dostał silny środek uspokajający, a mimo to bez przerwy powtarzał, że to jego wina.

Trzy godziny później Maggie oświadczyła, że nie potrzebuje już pomocy. Złożyła krótkie zeznanie na posterunku policji, a potem pozwolono jej wrócić do domu.

Siedziała przy telefonie, czekając, aż zadzwoni Mitch. Pomimo upału, od czasu do czasu drżała.

14

Kiedy Pyne odzyskał przytomność, od razu zorientował się, gdzie się znajduje. Natychmiast poczuł silny zapach gnijących śmieci.

Usiadł z wysiłkiem. Spadły z niego puszki i butelki. Jęknął i złapał się za głowę. Słyszał dziwny warkot, który stawał się coraz głośniejszy.

Spojrzał na intrygujący kształt, majaczący na ciemnym niebie.

Dziwny przedmiot obracał się i pulsował. Wysoko w górze widział unoszące się ramię dźwigu. Pod nim poruszały się śmieci. Nagle zaczął się w nie zapadać. Wtedy zdał sobie sprawę, co to za dźwięk — przedmiot w górze to gigantyczna pompa próżniowa, a hałas wydawały śmieci, wpadające z łoskotem w czeluść o średnicy jednego metra.

Jeden z członków załogi usadowił się na krawędzi ładowni z dubeltówką w ręku. Zamierzał strzelać do szczurów i właśnie wydało mu się, że w jednej z barek dostrzega jakiś ruch.

Spojrzał uważniej i podniósł broń.

Pyne z wysiłkiem objął pompę koło jej wlotu. Krzyknął, kiedy strumień rozbitych butelek i puszek wleciał w czeluść, zbijając go z nóg.

Marynarz usłyszał krzyk i ruszył biegiem po bocznym pokładzie barki.

Zobaczył człowieka, trzymającego się pompy. Jedna noga znajdowała się już w otworze wlotowym. Mężczyzna trzymał się ostatkiem sił.

Marynarz gorączkowo pomachał trzy razy do operatora dźwigu

— był to sygnał, żeby wyłączyć zasilanie. Ucichł pomruk turbiny gazowej, napędzającej pompę próżniową.

Marynarz wskoczył pomiędzy śmiecie i ruszył na pomoc Pyne'owi.

15

Telefon Simpsona zadzwonił o 20:35.

Słuchał podsekretarza z twarzą bez wyrazu. Później zrobił zdziwioną minę. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż był w pokoju sam.

— Coś chyba jednak powiedział? — spytał, kiedy urzędnik skończył mówić. Zacisnął usta, słuchając odpowiedzi. — Bardzo dobrze — powiedział. — Sprawdzę, czy jest zajęty.

Simpson zapukał do gabinetu premiera i wszedł nie czekając na zaproszenie.

— Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale amerykański ambasador chce się z panem zobaczyć dziś wieczorem w jakiejś pilnej sprawie. Już po raz trzeci z rzędu wieczorny chłód ściągnął na ulice Londynu tłumy demonstrantów. Tym razem ich liczba była większa niż zwykle dzięki tysiącom przybyszów z Walii — Azjatów, którzy domagali się własnych szkół, osiedli i uznania przez prawo muzułmańskich sądów. W pobliżu Heathrow policja starała się powstrzymać ludzką falę, posuwającą się z prędkością trzech mil na godzinę po szosie A 4, jednakże zdeterminowane kobiety w czarczafach z dziećmi w wózkach zmusiły ministra spraw wewnętrznych do wydania rozkazu przepuszczenia protestujących.

Nigdy przedtem w marszu protestacyjnym nie uczestniczyło tak wiele dzieci. Dziennikarz, zdający przez telefon relację swojemu wydawcy, powiedział, że wygląda to tak, jak gdyby wszyscy mieszkańcy Walii w wieku poniżej szesnastu lat wyszli na ulice.

— Maszerujemy, aby zapewnić przyszłość naszym dzieciom

— mówili demonstranci. — Dlatego one powinny tu być.

Na koniec dziennikarz porównał czterech przywódców demonstracji do pstrokatego kobziarza z Hamelinu².

Czoło kolumny znajdowało się dwadzieścia kilometrów od Hyde Park Corner, kiedy przywódcy ujawnili pilnie strzeżony sekret: demonstranci zamierzali wejść do ogrodu pałacu Buckingham i siedzieć tam w milczącym proteście. Do ostatniej minuty zachowali te plany dla siebie, aby nie dowiedział się o nich wywiad wojskowy i policja. Nie liczyli się z tym, że dojdzie do problemów komunikacyjnych podczas przekazywania tej wiadomości wzdłuż dwudziestomilowej kolumny. Nie wzięli również pod uwagę faktu, że zmęczenie ludzi może się przyczynić do zniekształcenia informacji.

Przed 19:00 połowa zmęczonych demonstrantów na przedmieściach

Londynu była przekonana, że mają zamiar wdrzeć się do pałacu Buckingham.

O 19:15 zniekształcona informacja dotarła do wywiadu wojskowego. Generał sir Richard Markham, dowódca wojsk lądowych Wielkiej Brytanii, postanowił działać. Pod jego rozkazami było dwadzieścia tysięcy ludzi. Generał miał prawo podjąć działanie bez pytania przełożonych o zgodę, gdyby życie monarchy było zagrożone. Wydał rozkazy dowódcy garnizonu w Aldershot.

Oczyszczono drogę z Londynu do Guildford, aby zapewnić przejazd czołgom i samochodom opancerzonym, które opuściły Aldershot i kierowały się na północ, do Londynu.

Następna fala czołgów typu Chieftain i Scimitar wyjechała z poligonu koło Stonehenge na równinie Salisbury i z maksymalną prędkością zmierzała na wschód.

Dowódca szybko i skutecznie zaplanował i zrealizował kampanię przeciwko demonstrantom. Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli będzie można tego uniknąć, jednakże najważniejszym zadaniem jest ochrona monarchy.

Celem następnej fazy operacji było zamknięcie demonstrantów na obszarze jednego kilometra kwadratowego West Endu, tak aby odseparować ich od agitatorów z Frontu Narodowego, którzy zamierzali zaatakować Azjatów. Dowódca nie dbał o to, że w samym środku tego terenu znajdowała się ambasada amerykańska. Zależało mu tylko na tym, żeby ludzie i sprzęt zdążyli zająć stanowiska, zanim czoło manifestacji dotrze do Hyde Park Corner.

Zrealizował ten plan z dziesięciominutowym wyprzedzeniem.

Dzięki szybkości działania i doskonałej koordynacji, wojsku udało się skierować demonstrantów na Park Lane, z dala od pałacu Buckingham. Potem ciężkie wozy bojowe, pozostawiające za sobą chmury błękitnego dymu, rozbiły gniewne kolumny na mniejsze grupki, z którymi mogły sobie poradzić oddziały żołnierzy.

W zamieszaniu doszło do walki. Dzieci oddzielano od rodziców, demonstrantom wrywano transparenty. Azjaci, ich żony, rodziny i sympatycy przekonali się, że z żołnierzami trudniej jest sobie poradzić niż z policją. Wojsko, wyszkolone do tłumienia ulicznych zamieszek, bez wahania zastosowało zupełnie inną taktykę niż policja. Zażarta walka na Upper Grosvenor Street zakończyła się, kiedy żołnierze

ustawili się w „żółwia” — ciasną formację otoczoną tarczami. Wdarli się w szeregi demonstrantów, pochwycili przywódców i wycofali się, zabierając ich ze sobą.

Na Berkeley Square kapral John Stevens nastawił celownik, wymierzył w ulicę, za którą stał rozspiewany tłum sympatyków Frontu Narodowego i został pierwszym żołnierzem, który plastikową kulą zabił w Anglii demonstranta w czasie zamieszek. Niestabilny pocisk, wielkości butelki coca-coli, odbił się od nawierzchni i uderzył w pierś dziewczynki.

Ludzi ogarnęła furia. Zaatakowali żołnierzy, którzy wycofali się za linię wojskowych ciężarówek. Przewrócono karetkę pogotowia, jadącą na pomoc dziewczynce.

O 21:00 z fabryki w Newdigate przywieziono nowe pojemniki z gazem CR i rozdano je żołnierzom. Można było rozpuścić ten eksperymentalny gaz w zbiornikach armatek wodnych i stworzyć „bariery” na drodze demonstrantów. Niewiele jednak wiedziano o długofalowych skutkach oddziaływania gazu.

Ambasador nie posłuchał próśb, aby odwołać wizytę u premiera, zgodził się jednak założyć kamizelkę kuloodporną i wpuścić do samochodu dodatkowych ochroniarzy.

Na tylnym siedzeniu usiadło pięciu mężczyzn — po obu stronach ambasadora znajdowało się po dwóch ludzi z ochrony. Hendricks usiadł z przodu między Paulem Weinerem a kierowcą z piechoty morskiej. Jego kościste ciało wpijało się boleśnie w obu sąsiadów. Samochód opuścił właśnie Grosvenor Square, kiedy kierowca musiał gwałtownie zahamować, gdyż zajechał mu drogę bojowy wóz piechoty. W bok samochodu uderzył pocisk. Ambasador wychylił się, żeby zobaczyć, kto ich atakuje.

- Proszę się cofnąć, sir — powiedział grzecznie ochroniarz.

Żołnierze w stalowych hełmach z opuszczonymi przyłbicami, trzymający w dłoniach pałki, nie wpuścili samochodu na Oxford Street. Na ich mundurach nie było żadnych znaków, które pozwoliłyby odróżnić oficerów od szeregowych. Jeden z żołnierzy podszedł do samochodu, trzymając karabin na ramieniu. Spojrzał z ciekawością na numer rejestracyjny „USA 1” i ośmiu mężczyzn, stłoczonych w samochodzie.

- Bardzo mi przykro, panowie, ale musicie skrócić w lewo — powiedział z nienagannym akcentem.

- Chcemy się dostać do Whitehall — powiedział Hendricks. - W takim razie powinniście pojechać na północ i próbować dotrzeć do celu od tamtej strony. Staramy się nie wypuścić demonstrantów poza Green Park i Hyde Park, ale na północy jest bezpiecznie.

Samochód ambasady zmierzał na północ, kiedy demonstranci przedarli się przed kordon wojska i policji i biegli po Oxford Street.

Rozległy się strzały.

Kierowca nie zawahał się. Skręcił w prawo i ruszył szybko po bocznej uliczce. Grupa wrzeszczących demonstrantów, wybiegających zza rogu, zmusiła go jednak, żeby się zatrzymał. Kierowca miał właśnie zamiar zawrócić, kiedy minął go konwój wojskowych ciężarówek.

— Jedźmy za nimi! — powiedział Weiner.

Ciężarówki, wiozące żołnierzy, skręciły w lewo, a potem nagle stanęły. Przed nimi na ulicy gromadzili się demonstranci.

Kierowca z piechoty morskiej zatrzymał się, widząc podniesioną rękę żołnierza. W tym momencie po drugiej stronie ulicy pojawiły się następne ciężarówki, odcinając Azjatów, walczących z sympatykami Frontu Narodowego. Żołnierze wysiedli z ciężarówek, stojących koło samochodu ambasadora, i zaczęli przygotowywać sprzęt. Tłum zaatakował, lecz został zmuszony do odwrotu przez gaz CR. Chmury dymu unosiły się do góry wraz z rozgrzanym powietrzem.

— Lepiej zawróć — powiedział Hendricks do kierowcy.

— Poczekaj — interweniował ambasador. — Chcę zobaczyć, co zrobią Brytyjczycy.

— Poradzą sobie — rzekł sucho Hendricks.

— Jesteśmy spóźnieni — zauważył Weiner.

— W takim razie kilka minut nie zrobi różnicy — odrzekł ambasador.

Żołnierze wyjmowali ekwipunek i odslonili grubą, brzydką lufę, która nie przypominała żadnej broni znanej ambasadorowi.

— Co to jest? — zapytał.

— Miotacz drutu — odpowiedział Hendricks.

— Do czego służy?

— Załatwia demonstrantów — odrzekł z sarkazmem Hendricks.

Przyjechali nowi żołnierze, którzy ustawili się w szereg, tarcza przy tarczy, aby odeprzeć demonstrantów. Nagle wrócili na pierwotne pozycje. Tłum ruszył do przodu. Ukryci żołnierze wyskoczyli z kryjówek, złapali przywódców i błyskawicznie zawlekli ich za linie własnych ludzi.

— Sprytne — zauważył ambasador.

Utrata przywódców nie uspokoiła tłumu. Nagle rozległ się głos, ostrzegający gapiów, którzy z okien obserwowali walkę, aby się cofnęli. Niewielu z nich posłuchało tego wezwania.

Ludzie obsługujący miotacz włożyli do lufy duży ładunek.

— Zaraz będzie po wszystkim — zauważył spokojnie Hendricks.

Rozległ się głuchy huk. Dym kłębił się na ulicy. Żołnierze ruszyli do przodu i zniknęli w dymie, który wkrótce się rozwiął, odsłaniając zupełnie zmienioną scenę. Demonstranci w pobliżu miotacza wili się na ziemi, krzycząc z bólu. Inni, znajdujący się w większej odległości, przerwali walkę i z niedowierzaniem patrzyli na leżących towarzyszy. Żołnierze szybko zatrzasnęli kajdanki, przymocowane do długich taśm, na przegubach i kostkach porażonych demonstrantów.

— Co się stało? — spytał ambasador, nie odrywając oczu od żołnierzy.

— Działko wystrzeliło ładunek, składający się z dwóch lub trzech tysięcy metalowych haczyków, przymocowanych do cienkiego drutu—powiedział Hendricks. — Naelektryzowane haczyki wbijają się w skórę i ubranie.

Włączył się elektryczny kołowrót. Taśmy naprężyły się i ciągnęły schwytych demonstrantów ku ciężarówkom.

Pozostali demonstranci zaczęli rzucać czym popadnie. Żołnierze cofnęli się. Samochód ambasadora minęła duża ciężarówka załadowana przedmiotami, które wyglądały jak reflektory i głośniki. Zatrzymała się w pobliżu wojskowych wozów.

Hendricks w zamyśleniu obejrzał sprzęt i odwrócił się.

— Panie ambasadorze, sądzę, że powinniśmy odjechać.

— Co to jest, Hendricks?

Odpowiedź Hendricksa zagłuszył głos, nakazujący przez megafon zamknąć okna. Żołnierze wrócili do ciężarówek i zakładali coś, co przypominało słuchawki.

— Ochraniać na uszy — powiedział zdumiony Weiner.

Ciężarówka ruszyła, a reflektory i głośniki były wymierzone w tłum. Rozległ się przenikliwy, niepokojący dźwięk, który zdawał się dochodzić jednocześnie ze wszystkich kierunków.

— Zamknąć okna! — krzyknął Hendricks.

Weiner zrozumiał, że okropny hałas musi pochodzić z głośnika zainstalowanego na ciężarówce. Czerwone światło pulsowało i padało na demonstrantów. Weiner miał wrażenie, że każdy błysk drażni głęboko jego umysł. Ten przenikliwy, przerażający dźwięk i błyszczące światła zostały tak zaprojektowane, by wywoływać napady padaczki. Dźwięk zamienił się w wycie. Weinerowi zrobiło się niedobrze. Demonstranci padali na ziemię i wymiotowali. Niektórzy zaczęli krzyczeć, inni rzucali się w konwulsjach, wypróżniali się, drżały im nogi. Każdy odczuwał jakieś skutki.

— Wynośmy się stąd! — warknął Hendricks.

Kierowca zawrócił limuzynę i wrzucił bieg.

— Mówiłem, że Brytyjczycy sobie poradzą—zauważył Hendricks kilka minut później, kiedy samochód opuścił obszar zamieszek.

— Do diabła, co to było? — chciał wiedzieć ambasador.

— Aparat świetlno-akustyczny — odrzekł Weiner, dochodząc do siebie po fali mdłości, która ogarnęła go, kiedy przebywał w zasięgu ostatecznej broni przeciwko demonstrantom.

— Przerazające urządzenie — rzekł ambasador.

Przez resztę drogi zachowywał milczenie.

16

Po trzecim łyku whisky, nalanej przez Simpsona, ambasador poczuł się lepiej.

Wstrząsnął nim widok dumnego miasta na krawędzi wojny domowej.

— Przykro mi, że miał pan złą podróż — powiedział premier, ukrywając zdenerwowanie spowodowane nieoczekiwaną wizytą ambasadora. — Sytuacja została już opanowana, jestem więc przekonany, że wróci pan bez przygód.

Ambasador odstawił kieliszek i rozejrzał się. Naprzeciwko siedział premier w głębokim skórzanym fotelu. Obok drzwi stał Simpson.

Po wstępnych grzecznościach ambasador zapytał, czy może porozmawiać z premierem na osobności.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby towarzyszył nam mój sekretarz? — spytał premier.

Hendricksa i Weinerja zaprowadzono do sąsiedniego biura. Ambasador podniósł kieliszek i znów go odstawił. Czas przejść do rzeczy.

— Panie premierze — zaczął. — Nasze rządy są zaniepokojone problemem terroryzmu. Oczywiście oba nasze kraje podpisały umowę, której celem jest wykorzenienie tego zjawiska.

Obaj mężczyźni w milczeniu obserwowali Amerykanina.

Niepotrzebnie kręcę, pomyślał ambasador, żałując, że nie zajął się biznesem, zamiast dać się skusić perspektywom kariery politycznej.

— Panie premierze — powiedział — otrzymaliśmy informację, że jedna z waszych elektrowni atomowych została zajęta przez terrorystów.

W sali zapadła cisza.

Premier uśmiechnął się serdecznie, ale żyłka na jego szyi zaczęła pulsować.

— Ach, tak. Rzeczywiście. Słyszałem o tym, ale policja kontroluje już sytuację. Prawda, Simpson?

— Tak, sir — odrzekł szybko Simpson, chociaż zrobiło mu się słabo, kiedy usłyszał słowa Amerykanina.

— Ci faceci żądali pół miliona funtów — powiedział premier ze swobodą nabytą w trakcie trzydziestu lat pracy w polityce. — Jutro o tej porze będą już w więzieniu w Brixton.

Albo jesteś cholernie dobrym aktorem, albo Hendricks niepotrzebnie się denerwuje, pomyślał ambasador.

Przywołał samego siebie do porządku. Jego opinia się nie liczyła.

Miał robotę do wykonania, a Hendricks nie wszczynałby alarmu bez powodu.

— Celem mojej wizyty jest przekazanie panu ustnej wiadomości od prezydenta.

Zapadła pełna napięcia cisza. Ambasador mówił dalej:

— Prezydent kazał powiedzieć, że bardzo go niepokoją możliwe skutki jeszcze jednej katastrofy w elektrowni atomowej, przypominającej awarię w Czarnobyli. Prezydent stwierdził, że gdyby kiedykolwiek

fanatyczne ugrupowania zajęły elektrownię atomową i wywierały nacisk na rząd Jej Królewskiej Mości, to Stany Zjednoczone służą brytyjskiemu rządowi wszelką pomocą, aby nie dopuścić do tragedii. Prezydent prosił jednak, abym podkreślił, że takie bezwarunkowe poparcie jest możliwe tylko wówczas, gdy w stosunkach pomiędzy nami zapanuje całkowita szczerłość. Tylko szczerłość pozwoli prezydentowi odrzucić sugestie doradców, którzy proponują podjęcie działań, mających zapewnić bezpieczeństwo obywatelom Stanów Zjednoczonych.

O 23:10 Amerykanie opuścili Downing Street.

Premier i Simpson analizowali nagraną rozmowę. Trzy razy wysłuchali ostatnich słów ambasadora.

Premier siedział w milczeniu przez kilka minut. Potem spojrzał na Simpsona i powiedział cicho:

— Wszehmocny Boże. W co, do diabła, myśmy się wpakowali?!

Nigdy przedtem Simpson nie słyszał, żeby premier przeklinał. Premier poszedł do łóżka o północy. Po raz pierwszy w czasie swej długiej kariery nie mógł zasnąć.

17

Kolacja, przygotowana przez Maggie, kojarzyła się Mitchellowi ze schronami przeciwlotniczymi i opuszczonymi suterenami, jadł jednak bez zmrżenia oka.

Zagubiona, szczupła twarzą obserwowała go z przeciwnej strony kuchennego stołu.

Maggie wyglądała na zmęczoną.

Mitchell odsunął pusty talerz i uśmiechnął się.

— To było znakomite, kochanie, ale nie powinnaś robić sobie kłopotu.

— Dzięki temu nie musiałam myśleć o innych sprawach.

— Czy byłaś dziś u lekarza?

— Tak — odrzekła Maggie.

Próbowała zdobyć się na odwagę i opowiedzieć Mitchellowi o Gamecie.

— Mitch?

— Słucham.

— Mitch, czy zostaniesz na noc? Możesz spać w pokoju ojca — dodała pospiesznie.

— Czy nie wolałabyś, żebym odwiózł cię do domu?

Maggie pokręciła głową.

— Na wszelki wypadek chcę zostać tutaj. Może ojciec wróci do domu.

— Co powie, gdy mnie tu zastanie?

Maggie wybuchła.

— Boże! Chcę tylko, żeby ktoś ze mną został! Czy nie możesz tego zrozumieć?

ŚRODA

1

Duża, nieregularna dziura w oknie sali kontrolnej, wybita przez Kellera w czasie ucieczki Pyne'a, podsunęła Hughowi Pattersonowi pomysł, w jaki sposób może go zabić.

O 01:30 Louise pomogła mu wejść przez okno do klimatyzowanego pokoju, znajdującego się na tym samym poziomie co sala kontrolna. Podała Pattersonowi sterlinga, pocałowała go lekko w policzek i przez chwilę mocno trzymała za rękę. Przemysłowiec nie patrzył na jej pobladałą twarz.

— Powodzenia — wyszeptała i cicho zamknęła okno. Patterson szedł po wąskim dachu galerii dla gości, która ciągnęła się wzdłuż ściany elektrowni, obok kopuły maszyny paliwowej na szczycie głównego budynku.

Patterson ostrożnie zbliżył się do rogu budynku, gdzie kończył się dach galerii. Księżyc świecił na bezchmurnym niebie, a jego blask odbijał się od czarnej jak smoła rzeki.

Uklęknął na krawędzi dachu. Dwadzieścia metrów niżej światło księżyca lśniło na fałszywych cysternach i dwóch helikopterach, stojących na betonowej płycie. Patterson miał lęk wysokości.

Opuściła go pewność siebie. Dwudziestometrowa przepaść wyglądała w ciemności jeszcze groźniej niż zwykle. Zaświecił latarką na kamerę, umieszczoną trzy metry nad jego głową. Obiektów był skierowany na ciemną Tamizę. Patterson oświetlił poziomy występ, przecinający frontową ścianę budynku, który przypominał długą, aluminiową puszkę.

Wyżej, przy każdym oknie, znajdował się mocny hak, z którego korzystali sprzątacze myjący szyby. Patterson wyciągnął rękę, złapał pierwszy zaczep i stanął jedną nogą na aluminiowym podeście. Przesuwał stopę, dopóki nie zrobił miejsca dla drugiej nogi. Wyciągnął rękę, sięgając jak najdalej, aż jego palce zamknęły się na następnym haku. Posuwał się powoli po występie, dopóki nie znalazł się na środku segmentu okiennego. Pomiędzy nim a wybitą szybą było trzynaście takich segmentów. Policzył je tego popołudnia, kiedy dyskutował z Louise o swoim planie. Louise Campion była temu przeciwna.

— A jeśli przeniósł łóżko? — spytała.

— Po co miałby je przenosić?

— To zwariowany pomysł, Hugh. Poza tym Conrad powiedział, że kiedy strzela się ze sterlinga, nie ma gwarancji, że ofiara natychmiast umrze.

Louise przerwała. Dobroduszny Hugh Patterson proponował, że zabije z zimną krwią śpiącego człowieka.

— Mógłbyś to zrobić?

Patterson przypomniał sobie unoszące się na wodzie ciało Pyne'a.

— Tak — odrzekł.

— Czy trafisz go w zupełnej ciemności, przytrzymując się okna jedną ręką? Będziesz bardzo zmęczony.

— Louise, musimy zaryzykować. To nasza jedyna szansa.

Milczeli przez chwilę.

— A jeśli ci się uda?

— Poddamy się.

Patterson spodziewał się, że Louise zaprotestuje. Ona jednak skinęła głową i powiedziała:

— Dobrze. Jak mogę ci pomóc?

Zanim Patterson dotarł do trzeciego segmentu okiennego, z czoła spływał mu pot. Przytrzymał się jedną ręką i wytarł twarz rękawem. Odpoczął trzydzieści minut później, kiedy od celu dzieliły go tylko trzy segmenty. Ręce omdlewały mu z bólu. Trudno było trzymać się haków spoconymi dłońmi. Wytarł ręce o spodnie.

Karabin zsunął się z ramienia Pattersona, udało mu się jednak go złapać. Broń zagrzechotała o szkło. Czekał, licząc powoli i przyciskając policzek do chłodnej szyby.

Kamera, znajdująca się w odległości dziesięciu metrów, poruszyła

się. Patterson nie słyszał cichego szumu, kiedy obiektyw odwracał się w kierunku fasady budynku.

Znów ruszył do przodu, aż w końcu w jego palce wbiły się ostre krawędzie pękniętego szkła. Niewiele brakowało, a z bólu straciłby równowagę.

Wreszcie znalazł się przed rozbitą szybą. Zamknął oczy na kilka sekund, aby przyzwycząić wzrok do ciemności, panującej w pokoju. Otworzył oczy. Promienie księżyca padały na komputery IBM, stojące przy ścianie. Na środku znajdował się główny pulpit w kształcie podkowy, przypominający surrealistyczne elektroniczne organy. Meble w pokoju miały regularne kształty i ostre kąty.

Jedynym wyjątkiem było opływowe połowe łóżko Kellera.

Patterson ostrożnie oparł łokieć na krawędzi pękniętej szyby.

Wolną ręką zdjął z ramienia sterlinga. Zwolnił bezpiecznik i wycelował karabin w kierunku łóżka.

Wystrzelił jedną długą serię. Odrzut sprawił, że ciało Pattersona zdrząło. Szyba, wciśnięta pomiędzy jego łokieć a brzuch, zaczęła pękać i odpadać od framugi. Czuł, że leci do tyłu. Musiał upuścić sterlinga i w panice chwycić za hak. Karabin spadł na beton dwadzieścia metrów w dół. Dym szczypał Pattersona w oczy i wypełnił salę kontrolną, przesłaniając ciemne kształty.

W odległości dwóch metrów rozległ się uprzejmy głos:

— Na pana miejscu wszedłbym do środka, panie Patterson,

W przeciwnym razie spadnie pan i dojdzie do przykrego wypadku.

2

Telefon przy łóżku Simpsona zadzwonił o 03:00, kiedy sekretarz patrzył w sufit, próbując zasnąć.

Podniósł słuchawkę. Nie przedstawił się, gdyż tylko kilku ludzi znało ten numer. Wydawało mu się, że rozpoznaje zmęczony głos, który powiedział:

— Simpson, właśnie jestem na przystani w Dover. Lepiej przyjeźdź i zabierz mnie stąd.

— Kto mówi? — spytał Simpson, starając się przypomnieć sobie osoby znające jego numer.

— Pyne, idioto! — usłyszał.

Simpsonowi kręciło się w głowie.

— Pyne? — Potem rozpoznał głos.

— Posłuchaj i spróbuj zrozumieć, co do ciebie mówię — powiedział generał. — Sytuacja się zmieniła. Kontrolę przejął Keller. Rozumiesz? Simpson usiadł.

— Czy dzwoniłeś przez dziewięć—trzy—zero?

— Tak.

— Nie używasz telefonu komórkowego?

— Nie!

Simpson odprężył się. Najprawdopodobniej nikt ich nie podsłuchiwał, zasypał więc Pyne'a pytaniami. Wieloma pytaniami.

Simpson udał się do mieszkania premiera. Mógł wprawdzie skorzystać z telefonu, ale spacer dał mu czas na zastanowienie.

Wszedł do salonu i stanął pod drzwiami sypialni, zastanawiając się, w jaki sposób przekazać premierowi wiadomość.

— Nie musi się pan tak skradać, Simpson — powiedział premier.

— Nie śpię.

Simpson wszedł do środka. Światło było zapalone. Widząc minę sekretarza, premier od razu zorientował się, że stało się coś złego.

Simpson zrelacjonował rozmowę z Pyne'em. Kiedy wypowiedział trzecie zdanie, premier zaklął, odrzucił kołdrę i zaczął się ubierać.

Simpson pomagał mu, cały czas opowiadając. Zanim opisał zmiany w ultimatum, premier zdążył założyć buty.

Polityk przestał się ubierać i spojrzał na sekretarza.

— Za wszelką cenę trzeba ich usunąć z elektrowni.

Simpson przełknął ślinę.

— Zgodziliśmy się, sir, że to niemożliwe... — zaczął.

Premier pospiesznie wiązał krawat.

— Niech pan zwoła zebranie na dziewiątą rano. Proszę sprowadzić najtęższe mózgi w kraju. Niech pan im powie, że grozi nam niebezpieczeństwo. To wystarczy. W razie potrzeby może pan wezwać policję, żeby sprowadziła ich siłą.

Simpson patrzył na premiera.

— Czemu ma służyć to spotkanie, sir?

Krępa postać odwróciła się wściekle do Simpsona.

— Musimy znaleźć sposób, żeby dobrać się do tych drani, idioto!

Proszę przygotować dwadzieścia kopii planów elektrowni.

Simpson stał jak przyrośnięty do ziemi.

— Kogo mam zaprosić?

— Chryste, nie wiem. Niech pan ruszy głową — premier przestał się ubierać i spojrzął na sekretarza. — Jednej rzeczy będziemy potrzebowali, Simpson. Wyobraźni. Ludzi obdarzonych dużą wyobraźnią. Żadnych potakiwaczy. Szef Biura Analiz Wojskowych, ktoś z Instytutu Oceanografii, emerytowany oficer, który napisał tę książkę o terroryzmie. Niech pan sprowadzi ich wszystkich. Całą cholerną paczkę.

Simpson był już w połowie drogi do drzwi, kiedy premier zawołał:

— Niech pan się skontaktuje z Amerykanami i wszystko im opowie. Wygląda na to, że i tak znają całą sprawę. Ci przekłęci ludzie z CIA udają gromadkę kretynów, a w rzeczywistości biją nas na głowę?.

Simpson miał przerażoną minę.

— Mam im opowiedzieć wszystko, sir?

Premier machnął ręką z desperacją.

— Wie pan, o co mi chodzi. Boże, niech pan nie udaje kamerdynera i zabierze się wreszcie do roboty!

— Czy mam zaprosić Amerykanów na spotkanie?

Premier zastanowił się.

— Tak. Niewykluczone, że będziemy potrzebowali ich pomocy. Ten Hendricks wyglądał na bystrego drania. Może nam się przydać.

— Co zrobimy z Pyne'em, sir?

Premier usiadł na łóżku.

— Boże, tak, Pyne. — Pomyślał przez chwilę. — Musimy go gdzieś schować. Może w tym domu w Howerloch. Gdzie on jest?

— W Dover.

Obu mężczyznom jednocześnie przyszedł do głowy ten sam pomysł — dom letniskowy premiera w Broadstairs.

— Znakomicie — powiedział. — Służący dostał trzy tygodnie wolnego. W pobliżu kręci się policja, ale dom jest pusty. Najpierw proszę zorganizować spotkanie, a potem niech pan zabierze Pyne'a do bungalowu. Ma pozostać w ukryciu, dopóki nie postanowię, co z nim zrobić. Niech pan się postara szybko wrócić. To już chyba wszystko. Po wyjściu Simpsona premier skończył się ubierać. Była jeszcze jedna sprawa, która miała coś wspólnego z CIA. Zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie, o co chodzi. Na ogół pamięć go nie zawodziła.

Pomyślał o Pyne'em i przyszło mu do głowy złośliwe porównanie o planach myszy...

O co, do diabła, chodzi z tą CIA? Wzruszył ramionami, przeglądając się w lustrze. Może sprawa nie jest ważna?

Mimo to niepokoił się.

3

Wieśniaczka miała najbardziej bujne piersi, jakie Cox-Spender kiedykolwiek widział. Kołysały się pod cienką, bawełnianą bluzką, kiedy pełzała po podłodze bistrowo w kierunku jego stolika. Długie, ciemne włosy zamiatały z podłogi kurz, zmieszany z krwią.

Doszedł do wniosku, że jest to najpiękniejsza z kobiet, które posiadał dzisiejszej nocy. Brutalni mężczyźni w beretach i pasiastych swetrach patrzyli z niechęcią i zazdrością, jak dziewczyna musnęła długimi, zmysłowymi palcami nogę Cox-Spendera.

Uśmiechnął się i kopnął ją. Upadła z jękiem, a jej ciemne oczy rzucały gniewne spojrzenia. Wokół stolika stała cygańska orkiestra, grając na skrzypcach demoniczny, dziki, słowiański taniec.

Dziewczyna splunęła w kierunku Cox-Spendera i sięgnęła ku szyi, aby rozwiązać koronki, przytrzymujące bluzkę.

Właśnie zamierzała zdjąć skąpy strój, kiedy obudził go dzwonek telefonu.

Był to Simpson. Cox-Spender doszedł do wniosku, że nie znosi Simpsona.

— Na Downing Street odbędzie się ważne spotkanie — rzekł ten okropny Simpson. — Za pięć godzin. O dziewiątej. Proszę skorzystać z wejścia do starego budynku admiralicji.

— Co z samochodem? — spytał Cox-Spender.

— Pański lokalny komisariat przyśle samochód około ósmej — odrzekł Simpson i rozłączył się.

Cox-Spender pogmerał koło telefonu i ustawił budzik na 07:00.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się. Wkrótce zapadł w sen.

Spóźnił się jednak; gburowaci, nie ogoleni muzycy spakowali instrumenty i odeszli, zabierając ze sobą piękną wieśniaczkę i gwarne bistro.

Hałas w sypialni obudził Mitchella.

W drzwiach stała Maggie.

__ Nie mogłam zasnąć, Mitch.

Mitch próbował włączyć światło, ale Maggie podeszła bliżej i położyć mu rękę na dłoni.

__ O co chodzi? — spytał.

Opowiedziała o wypadku na łodzi. Mówiła przez pięć minut, starając się panować nad emocjami.

__ Mój Boże — westchnął, kiedy skończyła. — Biedny dzieciaku.

__ Obiał ją - W pierwszej chwili wzdrygnęła się, ale potem się uspokoiła

__ Policjanci będą chcieli się jutro z tobą zobaczyć. Powiedziałam, że cię teraz ma.

__ Czego chcą ode mnie?

__ Nie wiem. Chodzi pewnie o to, że to była twoja łódź.

Prawdopodobnie zapytają, czy umiem się z nią obchodzić.

Mitch przypomniał sobie, jak dziewczyna sterowała łodzią, nie starając się kurczowo trzymać kursu.

__ Maggie — zawahał się, ale musiał zadać to pytanie.

— Maggie, to był wypadek?

Nie usłyszał odpowiedzi. Żałował, że światło jest zgaszone i nie może widzieć jej twarzy.

__ Maggie?

__ Nie wiem, Mitch. Sama zadaję sobie to pytanie. Przysięgam, że na prawdę nie wiem.

Mitch popchnął lekko dziewczynę, aż położyła głowę na podusze.

Odgarnął jej włosy z czoła.

__ Boję się, Mitch — jej głos drżał.

— Powiem policji prawdę — że nigdy przedtem nie sterowałaś łodzią i że nie chciałem zostawiać cię samej.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Mitchell lekko poruszył ręką i stwierdził, że zasnęła.

— Cox-Spender? — spytał premier, zatrzymując się przed oszklonymi, podwójnymi drzwiami, prowadzącymi do gabinetu rady ministrów, i stukając dłonią w listę. — Dlaczego on? Jest niekompetentny.

— Z całym szacunkiem, sir — odparł spokojnie Simpson.

— Nie zgadzam się. Ma bystry umysł, pomimo słabego charakteru. Poza tym tylko Cox-Spender był w elektrowni. Jeśli go pan pominie, ktoś na pewno zapyta, dlaczego. Potrzebuje pan zresztą kogoś, kto odpowie zamiast pana na wszystkie kłopotliwe pytania.

Premier chrząknął i znów zaczął studiować listę dwudziestu osób, które czekały teraz po drugiej stronie drzwi. Byli tam ludzie z ministerstwa obrony narodowej, wysocy urzędnicy z Zarządu Energetyki, profesor z Urzędu Energii Atomowej, James Reynolds z Instytutu Oceanografii, brygadier Michael Rawlins, który napisał książkę Zwalczając terroryzm, kilku znanych inżynierów oraz dwóch Amerykanów — Weiner i Hendricks.

Simpson zauważył podkrążone oczy premiera. Politykowi dawał się we znaki brak snu.

— Co z głównym doradcą do spraw naukowych? — spytał ostrożnie premier.

Pytanie zdziwiło Simpsona.

— Miał przecież wypadek — odparł uprzejmie.

Premier złożył listę.

Naprawdę przestajesz kontrolować sytuację, pomyślał Simpson, otwierając drzwi.

Dwadzieścia osób, siedzących wokół długiego stołu, patrzyło na obu mężczyzn wchodzących do sali. Tylko Cox-Spender, Hendricks, Weiner i ministrowie wiedzieli, czemu zwołano to spotkanie.

Premier powitał zgromadzonych i przeprosił, że wezwał ich tak nagle na Downing Street. Po wstępnych grzecznościach szybko opisał wydarzenia, które miały miejsce od ostatniej niedzieli, pomijając jedynie ucieczkę Pyne'a i zmiany w ultimatum. Hendricks i Weiner nie zareagowali, kiedy premier odczytał nazwiska czworga terrorystów, którzy opanowali elektrownię.

Pierwszy odezwał się brygadier. Miał ochotę odesłać zgromadzonych do swojej książki i powiedzieć: „A nie mówiłem?” — doszedł jednak do wniosku, że taki komentarz byłby nie na miejscu.

Zamiast tego rzekł:

— Dlaczego nie zaproszono nikogo ze Specjalnych Sił Powietrznych? Ci chłopcy mogliby nam podsunąć jakieś pomysły. Ta sprawa jest przecież...

— Niestety — przerwał premier. — Specjalne Siły Powietrzne zostały zintegrowane z jednostką obrony platform wiertniczych pod dowództwem Pyne'a. Generał był wielkim zwolennikiem tej reformy i miał wystarczającą siłę przebiccia, by zrealizować swoje plany.

— Nie udałoby mu się to, gdyby nie podpisywał się pan tak chętnie pod jego propozycjami — odrzekł brygadier. — Ten przeklęty facet popierał idiotyczny projekt utworzenia europejskich sił zbrojnych. Premier spojrział na niego chłodno.

— Miałem nadzieję, brygadierze, że pańskie sugestie będą bardziej konstruktywne.

Potem rozpoczęła się poważna dyskusja. Simpson rozdał wszystkim plany elektrowni. Hendricks i Weiner nie włączyli się do rozmowy. Siedzieli i słuchali, jak omawiano i krytykowano różne propozycje.

— Gaz paraliżujący działa szybko — powiedział Cox-Spender, odpowiadając na jedną z sugestii. — Nie daje jednak stuprocentowej pewności, że terroryści nie zdążą uruchomić detonatorów. — Opisał system, który pokazał mu Pyne podczas niedzielnej wizyty w elektrowni. — Nasze uderzenie musiałyby trwać nie dłużej niż cztery sekundy — zakończył Cox-Spender.

Nawet krócej, pomyślał premier. Tylko on i Simpson wiedzieli, że teraz w elektrowni dowodzi Keller. Postanowili, że jeśli ktoś zaproponuje jakiś plan, oni będą się upierać, aby ze względów bezpieczeństwa czas jego realizacji nie przekraczał jednej sekundy.

Padaly kolejne argumenty i kontrargumenty.

— Zastanówmy się nad tym problemem przy założeniu, że terroryści blefują — rzekł Peter Harvey, minister do spraw wojsk lądowych.

Boże, kręcimy się w kółko, pomyślał premier.

Harvey dostrzegł minę premiera i dodał szybko:

— Musimy wziąć pod uwagę wszystkie możliwości, panie premierze. Nawet te nieprawdopodobne...

— Nie orientuję się zbyt dobrze w tych sprawach — odezwał się minister do spraw RAF-u. — Moi eksperci lepiej by to umieli ocenić, ale czy nie moglibyśmy użyć amerykańskiej „myślącej” bomby,

naprowadzanej promieniem lasera, i wycelować jej dokładnie w kwatery terrorystów?

Hendricks spojrział na niego z lodowatą pogardą.

— Oczywiście. Moglibyśmy rzucić taką bombę z wysokości siedemdziesięciu tysięcy stóp z pięćdziesięciometrowym marginesem błędu. Niczego lepszego nie da się osiągnąć. Jeśli jednak rzucimy bombę o pięćdziesiąt metrów za daleko, to równie dobrze możemy rozwalić silosy.

Bezowocna dyskusja toczyła się dalej. Po godzinie Simpson zanotował dziesięć propozycji. Wszystkie zostały odrzucone.

— Czy Amerykanie nie opracowali żadnego rezerwowego planu na wypadek, gdyby w ich kraju doszło do czegoś takiego? — spytał Peter Harvey.

— Pewnie — powiedział Hendricks. — Staramy się przede wszystkim zapewnić odpowiednie środki bezpieczeństwa. Jestem zdumiony, że w czasie ataku terrorystów policja nie pilnowała elektrowni. Nie do mnie należy krytyka, ale gdyby rząd brytyjski posłuchał ostrzeżeń naszej Komisji Energii Atomowej, to nie doszłoby do tego incydentu.

— Ma pan słuszość — rzekł premier. — Nie do pana należy krytyka. Chuda twarz Hendricksa była bez wyrazu.

Cox-Spender przerwał milczenie.

— Jakiś bezzałogowy atak przez piwnice elektrowni — rzekł do siebie. Wszyscy spojrzeli na niego.

Nagła cisza sprawiła, że Cox-Spender podniósł głowę znad planów. Na pewno ktoś się odezwał i umknęło to jego uwagi.

Rozejrzał się i stwierdził z przerażeniem, że przygląda mu się dwadzieścia jeden par oczu.

— Co pan ma na myśli? — spytał ktoś.

— Cóż — rzekł Cox-Spender, patrząc z przerażeniem na plany. — Myślałem o bezzałogowej penetracji korytarzy wokół silosów z odpadami radioaktywnymi... — głos odmówił mu posłuszeństwa.

— Dlaczego bezzałogowej? — spytał James Reynolds z Instytutu Oceanografii.

— To głupi pomysł. Po prostu głośno myślałem. Przyszło mi do głowy, że bezzałogowa maszyna mogłaby przeciąć druty nie uruchamiając czujników IRIS, ale oczywiście gdyby taka maszyna

istniała, to prawdopodobnie wydzielałaby jeszcze więcej ciepła niż ludzie.

— Musiałyby to być fantastyczna maszyna — zauważył złośliwie brygadier. — Rodem z science fiction.

— SUSEŁ — powiedział nagle Cox-Spender.

Znów wszyscy na niego spojrzeli.

— Co to jest susel? — spytał ktoś.

— Północnoamerykańskie zwierzę ryjące — rzekł Weiner.

— To akronim — zaproponował z naciskiem Cox-Spender.

— Co takiego?

— Nie wiem, co oznaczają te litery — powiedział Cox-Spender.

— Pamiętam jednak, że kilka lat temu czytałem artykuł na ten temat.

— Co robi to urządzenie i jak nam może pomóc? — spytał premier.

— Jeśli dobrze pamiętam, sir — odrzekł Cox-Spender, starając się opanować podekscytowanie — jest to maszyna, obsługiwana przez jednego człowieka, która potrafi przebić się przez skałę. — Cox-Spender wychylił się przez stół i wskazał plany premiera.

— Gdyby udało nam się zdobyć to urządzenie, moglibyśmy podkopać się pod korytem rzeki, a następnie przebić się przez fundamenty elektrowni. Oczywiście musielibyśmy również wymyślić jakiś system nawigacji dla pilota, tak aby mieć pewność, że dostaniemy się do tunelu inspekcyjnego. Wówczas pilot zostawiłby maszynę i przeciął druty. Zapadła cisza.

— Zapomniał pan o czymś — rzekł premier. — Zainstalowane przez terrorystów czujniki IRIS na pewno podniosłyby alarm, kiedy tylko wykryłyby ciepło ludzkiego ciała.

Cox-Spender skinął posępnie głową. Potem rozpromienił się.

— Nie, jeśli ubralibyśmy pilota w kombinezon z doskonałego materiału izolacyjnego, tak aby ciepło nie wydostawało się na zewnątrz.

— Czy istnieje taki kombinezon? — spytał premier, patrząc po kolei na każdego mężczyznę.

— Nie jestem ekspertem — powiedział powoli Hendricks — słyszałem jednak, że skafandry kosmiczne, produkowane przez NASA, są doskonałymi izolatorami.

— Żadna maszyna nie przebije się na taką odległość — stwierdził James Reynolds. — Koło Canvey Island rzeka ma cztery kilometry

szerokości, i jeszcze jedno. Jeśli taka maszyna istnieje, w co zresztą wątpię, to będzie ona w stanie przebić się zaledwie na głębokość paru metrów. — Spojrzał na Cox-Spendera. — Najprawdopodobniej to urządzenie kruszy ziemię lub skałę i usuwa gruz do tyłu, kiedy porusza się naprzód?

Cox-Spender skinął głową.

— W takim razie po paru metrach nie będzie miejsca na składowanie gruzu — zakończył James Reynolds. — Czy się mylę? Hendricks robił notatki, kiedy Cox-Spender ze smutkiem skinął głową.

— Może ktoś ma inne sugestie? — spytał premier.

Pozostałe pomysły były jednak wariantami wcześniej zaproponowanych planów. Wszystkie zostały odrzucone po godzinnej dyskusji.

— Co więc zrobimy? — spytał premier.

Hendricks podniósł głowę znad notatek. Odrzekł poważnie:

— Proponuję, żebyśmy poszukali susłów.

6

Mitchell obudził się o 09:00.

Maggie zniknęła. Sypialnia była zalana słońcem, a w powietrzu unosił się zapach przypalonego śniadania.

Zszedł na dół.

— Dzień dobry, Mitch — powiedziała wesoło Maggie. W kuchni kłębił się dym. — Chciałam ci zrobić niespodziankę i przygotowałam śniadanie.

Mitchell był tak zadowolony, widząc, że dziewczyna lepiej wygląda, że nie narzekał na bekon, przypominający kawałki pergaminów znad Morza Martwego, i przypalone tosty. Siniak na jej twarzy zniknął. Dużo mówiła w czasie śniadania, jak gdyby starając się zapomnieć o wczorajszych wydarzeniach.

Mitchell właśnie zbierał się na odwagę, żeby spróbować kawy, kiedy powiedziała:

— Chciałabym pojechać do Londynu i dowiedzieć się, co się stało z tatą.

— Myślę, że powinnaś odpocząć, Maggie.

— Wolałabym się czymś zająć — odparła z uporem.
— Sama powiedziałaś, że dziś przyjdą policjanci — rzekł Mitchell i dodał szybko: — Zawrzyjmy układ. Dziś odpoczniesz, a ja zadzwonię do sekretarki i powiem, że do końca tygodnia nie będzie mnie w pracy. Jutro pojedę z tobą do Londynu. Co o tym myślisz?
Maggie uśmiechnęła się i skinęła głową.
— Możesz mnie zaprosić do drogiej restauracji.

7

Klimatyzator, stojący na biurku premiera, schłodził kawę w dwie minuty, tak że nie nadawała się do picia. Premier spróbował, zaklął i sięgnął po słuchawkę, aby zamówić następną.

Ktoś zastukał do drzwi. Wszedł Simpson.

— Rozmawiałem przez radiotelefon z Kellerem — powiedział. — Zgodził się dać nam dodatkowe siedemdziesiąt dwie godziny. Premier jęknął.

— Co z tego?

— Robiłem, co mogłem — rzekł Simpson. — Wyjaśniałem, że wiele paragrafów trzeba przeformułować, tak aby nie budziły żadnych zastrzeżeń z prawnego punktu widzenia. Zachowywał się bardzo uprzejmie i przyznał, że jest to najbardziej skomplikowana ustawa w historii naszego kraju, upierał się jednak, że przed północą w sobotę powinna zostać zaakceptowana przez monarchę i nabrać mocy prawnej. Premier patrzył na biurko i bawił się nerwowo bursztynowym przyciskiem do papieru. Pociły mu się ręce, mimo chłodnego powietrza, płynącego z klimatyzatora. Przycisk do papieru spadł na podłogę. Nie próbował go podnieść.

— Hendricks potrzebuje tygodnia — powiedział bezbarwnym tonem.

— Żąda również, żebyśmy zmusili Kellera, aby dał nam jeszcze jeden tydzień.

Simpson uśmiechnął się lekko i zauważył, że klimatyzator stoi bardzo blisko premiera. Stary drań zaczął się w końcu denerwować.

— Niewykluczone, że wystarczą nam siedemdziesiąt dwie godziny.

CIA znalazła artykuł, o którym wspominał Cox-Spender.

Premier zmarszczył brwi. Wzmianka Simpsona o CIA — z czym mu się to kojarzyło? Nagle sobie przypomniał.

— Mitchell! — warknął premier. — Howard Mitchell. Dlaczego CIA nic nie powiedziała? Co się z nim stało?

Pytanie zaskoczyło Simpsona.

— Nic, sir.

Simpson zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Właśnie zamierzał pospiesznie uzupełnić odpowiedź, ale premier był zbyt szybki. Wtrącił się natychmiast, ze zrećznością nabytą w czasie parlamentarnych dyskusji.

— Nic? Co pan chce przez to powiedzieć? Jak mogłoby coś mu się stać, skoro pan go tylko obserwował?

— Chodziło mi o to, że...

— Co pan mu zrobił?

— Nic, sir.

— Śledził go pan? Co? — Premier westchnął. — Proszę posłuchać, Simpson. Wydobyć z pana prawdy zajęłoby mi przynajmniej godzinę, a czas jest cenny.

Simpson doszedł do wniosku, że powinien opowiedzieć premierowi o Patricku Reaganiu.

Polityk słuchał uważnie.

— Dlaczego? — spytał, kiedy Simpson zamilkł.

— Potrzebowaliśmy czasu. Podobnie jak teraz. Gdyby Mitchell pracował dla CIA, co zresztą okazało się prawdą, to należałoby jakoś go uciszyć, zanim dowiedział się zbyt wiele.

— Jezu Chryste! Czy nie przyszło panu do głowy, że usunięcie tego człowieka wzmogłoby tylko podejrzenia CIA i mielibyśmy Amerykanów na karku?

— Michell był wtyczką — zdaje się, że oni nazywają kogoś takiego „rezydentem”. Potrzebowaliby wielu miesięcy na znalezienie nowego człowieka i opracowanie odpowiedniej legendy.

Doszedłem do wniosku, że usunięcie Mitchella da nam czas. To zresztą nie ma teraz znaczenia. Reagan zginął w wypadku drogowym.

— Reagan był specjalistą od materiałów wybuchowych?

— Tak.

— Dał mu pan adres Mitchella?

— Tak.

— Skąd więc pan wie, że nie podłożył bomby w domu Mitchella?

Przesłuchanie zirykowało Simpsona.

— Zatelefonuję anonimowo do policji w Weybridge i powiem, że w domu Mitchella może znajdować się bomba.

Premier stracił panowanie nad sobą.

— Niczego takiego nie zrobisz, cholerny idioto! Nikomu nie piśniemy ani słowa. Sam musisz pojechać do Weybridge i sprawdzić dom i samochód Mitchella. Zrozumiałeś?

Simpson zbladł. Zaciśnął palce i starał się mówić spokojnie.

— Nie wiem, jak znaleźć bombę, a poza tym, co będzie, jeśli Mitchell jest w domu lub używa samochodu?

— To pański problem. Panu go zawdzięczam. Powiem tylko jedno — jeśli coś się stanie Mitchellowi i Amerykanie zrobią nam awanturę, postaram się, aby cała odpowiedzialność spadła na pana. Potem upewnię się, że jest pan skończony. Teraz proszę się wynosić.

Simpson ani drgnął.

— Z całym szacunkiem, sir, nie sądzę, aby mógł pan sobie na to pozwolić.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z biura.

8

Cox-Spender nie znosił latania.

Wiedział, że to irracjonalna obawa, ale nic nie mógł na to poradzić. Za najbardziej cywilizowany środek transportu uważał ekspres, który cztery razy w roku wiozł go z Paryża do Marsylii, do ulubionych bistro i dziewcząt opalających się na plaży.

Co gorsza, leciał teraz do Nowego Jorku. Cox-Spender nigdy nie był w Stanach Zjednoczonych, ale wiedział wszystko o Nowym Jorku z seriali kryminalnych, które oglądał z zapałem i uznawał za przekonujące źródło informacji. Na pewno zostanie obrabowany zaraz po wyjściu z samolotu.

Drżał ze zdenerwowania, kiedy siedział w concordzie obok Hendricksa, czekając na start.

Ukryte głośniki powitały Cox-Spendera na pokładzie i poinformowały, że za trzy i pół godziny wyląduje w Nowym Jorku.

— Wspaniały samolot — powiedział Hendricks.

— Tak — odrzekł słabo asystent doradcy premiera.

Kilka minut później przygotował się na spotkanie ze Stwórcą, gdy ryczący potwór ruszył po rozgrzanym pasie startowym i zadarł dziób ku niebu.

9

Zanim Simpson kupił nowe buty i skarpetki, jego gniew minął. Zapłacił sprzedawcy z tysiąca funtów, odłożonych dla Patricka Reagana, i włożył zakupy do torby, w której znajdował się już nowy garnitur, koszula, rękawiczki i bielizna.

Pojechał autobusem na Waterloo Station i przebrał się w toalecie. Ubranie schował do torby. Podszedł do okienka pocztowego i kazał przesłać torbę do swojego mieszkania. Gdyby został schwytany w domu Mitchella, nie miał przy sobie nic, co pozwalałoby rozpoznać w nim sekretarza premiera: ani kluczy, ani kart kredytowych, ani listów — nic. Nawet portfel, do którego schował 620 funtów, był zupełnie nowy.

W pociągu panował tłok. Na każdej stacji pasażerowie musieli wysiadać, aby przepuścić innych do wyjścia.

Sto metrów od Surbiton Station Simpson znalazł punkt sprzedaży używanych samochodów. Jednym z nich była stara sierra. Obejrzał ją z rozmyślnym brakiem entuzjazmu. Spierał się ze sprzedawcą i wytargował cenę na 200 funtów.

Powiedział sprzedawcy, że musi podjąć pieniądze z banku i wróci za godzinę.

Sprzedawca obiecał, że przygotowuje samochód, ale nalegał, żeby Simpson zostawił dziesięcioprocentowy depozyt.

Simpson wszedł do taniej kawiarni i zamówił kawę. Postanowił, że zniszczy premiera, kiedy tylko trzech terrorystów, jeśli można ich tak nazwać, opuszczą elektrownię.

Znał premiera od dwudziestu lat. Mógł opowiedzieć dziennikarzom historii — zwłaszcza tę ostatnią — które sprawią, że cały przegniły domek z kart zwali się premierowi na głowę.

Czemu nie? Odplaci temu staremu draniowi, który nie przyznał mu nawet orderu imperium brytyjskiego.

Będzie jednak potrzebował pomocy generała Pyne'a.

Kiedy załatwi sprawę w Weybridge, pojedzie do Broadstairs.

Skończył kawę. Znalazł budkę telefoniczną i zadzwonił do domu Mitchella, a ponieważ nikt nie odpowiadał, zatelefonował do jego biura w Walton.

Sekretarka nie wiedziała, gdzie jest szef. Powiedziała tylko, że nie spodziewa się go w biurze do końca tygodnia.

Simpson podał sprzedawcy fałszywe nazwisko i adres i zapłacił za samochód. Auto pamiętało lepsze czasy, było jednak w niezłym stanie. Jechał ostrożnie do Weybridge, nie przekraczając dozwolonej prędkości.

Zanim dotarł na przedmieścia opracował szczegółowy plan działania przeciwko premierowi. Nie wątpił, że Pyne go zaakceptuje.

Simpson był zadowolony z siebie.

Doszedł do wniosku, że plan jest bardzo chytry.

W domu Mitchella nie było nikogo.

Simpson bez problemu dostał się do środka. Ktoś zabił kilkoma deskami kuchenne drzwi, prawdopodobnie w miejscu, w którym włamał się Reagan. Sekretarz założył nowe rękawiczki i oderwał deski ogrodową grzą. Wyjął z ramy resztki szkła i wszedł do kuchni. Zaczął szukać bomby. Było to przerażające; musiał otwierać drzwi przywiązując sznurek do klamki, a zanim odważył się wejść do jakiegoś pokoju, wrzucał do środka książki, gdyż obawiał się, że pod dywanem może być ukryty detonator. Wykręcił nawet korki i chodził po domu, włączając wszystkie elektryczne urządzenia. Od czasu do czasu nasłuchiwał, czy nie nadjeżdża samochód. Później wkręcił korki. W domu rozległ się dźwięk radia, telewizora, miksera, magnetofonu i kilku wentylatorów.

Nic się nie stało.

Po dwóch godzinach drobiazgowych poszukiwań doszedł do wniosku, że bomby w domu nie ma. Reagan podłożył ją prawdopodobnie w samochodzie Mitchella — jeśli w ogóle wykonał zadanie.

Simpson wyszedł kuchennymi drzwiami. Właśnie zamierzał opuścić podjazd, kiedy zauważył dwóch mężczyzn wyładowujących telewizor z ciężarówki, zaparkowanej przed domem po przeciwnej stronie ulicy.

Szybko wrócił do domu i obserwował ich z salonu, stojąc w bezpiecznej odległości od okna. Mężczyźni weszli do środka. Simpson postanowił poczekać, aż odjadą. Był rozgoryczony, że znalazł się w tak

absurdalnej sytuacji. Gniew mijał, kiedy myślał o planie zemsty na premierze. Dręczyło go jednak pytanie, czy Pyne się zgodzi.

Na małym stoliku stał telefon. Simpson usiadł w fotelu i podniósł słuchawkę.

A jeśli Mitchell otrzymuje szczegółowe rachunki telefoniczne? W takim wypadku na rachunku będzie podany numer, pod który zamierzał właśnie zadzwonić, oraz godzina. Może się to okazać bardzo kłopotliwe.

Simpson odłożył słuchawkę.

Do diabła, jest przecież szansa, że Mitchell dopiero za kilka tygodni otrzyma rachunek. Podniósł słuchawkę i przycisnął ją do ucha, a jego dłoń w rękawiczce przerzucała niezdarnie strony książki telefonicznej w poszukiwaniu numeru kierunkowego.

Trzydzieści sekund później odkrył bombę Reagana.

Przekonał się również, że śmierć potrafi uderzyć do głowy.

W odległości jednego kilometra Mitchell podniósł głowę z aluminiowo-plastikowego łóżka, stojącego w pobliżu basenu generała Pyne'a.

Wyciągnął stopę i szturchnął Maggie.

— Słyszałaś?

Nie poruszyła się.

— Słyszałaś? — nalegał Mitchell.

— Co?

— Huk — odrzekł Mitchell.

— Później — odpowiedziała Maggie i zasnęła.

CZWARTEK

1

Lato zaatakowało Nowy Jork jak głodna bestia, pozerając najslabszy powiew, który poruszał daszkiem przeciwsłonecznym nad głową Cox-Spendera.

Siedział przy stoliku koło fontanny Prometeusza w Centrum Rockefellera. Była dopiero dziesiąta, lecz miał wrażenie, że potworny żar bucha prosto z ziemi. Flagi ONZ zwisały bezwładnie, jak gdyby były wyczerpane upałem i nie miały siły się poruszyć.

Cox-Spender spozjrzał na zegarek. Hendricksa nie było od piętnastu

minut. Popatrzył w górę na błyszczący złoty posąg Prometeusza pod wieżowcem Radiowej Korporacji Amerykańskiej i pomyślał, że gdyby tytan znalazł nowojorskie lato, to dwa razy by się zastanowił, zanim by skradł ogień z nieba.

Kelnerka podała poranną kawę.

Cox-Spender patrzył na ludzi, chodzących wokół Plaża. Nikt nie został obrabowany, pomijając tych, którzy kupowali obwarzanki i zimne cole od ulicznych sprzedawców.

Zaczynał lubić Nowy Jork; miał wygodny pokój w „Hiltonie”, a w telewizji było bardzo dużo programów nadających jego ulubione seriale kryminalne. Nie zdążył jeszcze poznać miasta, ale doszedł do wniosku, że znajdzie w nim wszystko, co trzeba, może nawet bistro. W porównaniu z Londynem Manhattan był zadziwiająco czysty. Cox-Spender wszędzie dostrzegał fontanny, autobusy i taksówki. Na chodnikach nie wały się psie odchody. Zupełnie inaczej niż w Londynie.

Hendricks wrócił i usiadł.

— Firmą „Delmar Hydraulics” kieruje teraz jeden z synów Jacka Delmara, Henry. Nic nie wie o SUŚLE, dlatego polecimy helikopterem w góry, do domku starego Jacka Delmara.

Cox-Spender trzymał się desperacko fotela, mając wrażenie, że helikopter za chwilę rozsypie się na kawałki.

Przycisnął język do podniebienia, bojąc się, że za chwilę pod wpływem wibracji wypadnie mu sztuczna szczęka. Obok pilota siedział Hendricks. Odwrócił swoją pociągłą twarz do towarzysza podróży.

— Dobrze się pan czuje?

Cox-Spender skinął głową i — pomimo kłopotów ze sztuczną szczęką — zdołał coś wymamrotać.

— Lot potrwa kilka godzin. Będziemy na miejscu przed drugą.

Asystent spojrział w dół i natychmiast tego pożałował. Helikopter leciał na północ, wznosząc się coraz wyżej, w miarę jak zbliżał się do rzeki Hudson. Obejrzał się tęsknie na Manhattan, zauważając w oddali dwie wyniosłe wieże Światowego Centrum Handlu. Przed nimi wznosiły się góry Adirondack.

Jack Delmar był jednym z najbogatszych ludzi w tej krainie bogaczy. Miał sześciu synów, a każdy z nich prowadził jedną korporację. Posiadał również kilka domów w Europie, apartament na Park Avenue, fotograficzną pamięć i silny popęd seksualny. Trzymał się znakomicie, choć skończył już siedemdziesiąt lat. Potrafił również być miły i skorzystał z tej umiejętności, przyjmując obydwu gości na werandzie nad jeziorem.

Na ogół nie zapraszał obcych, tym razem jednak zatelefonowano do niego z Waszyngtonu i poproszono, by spotkał się z tymi ludźmi. W dzisiejszych czasach Biały Dom rzadko prosił o przysługi. Może politycy zbyt się bali albo nie ufali tak wielu ludziom jak dawniej. Godzinę przed przyjazdem gości Delmar zadzwonił do kilku przyjaciół z Pentagonu, podał im nazwiska, które usłyszał przez telefon i zapytał, kim są ci ludzie; miała to być przysługa, wyświadczona staremu kumpłowi. Bardzo się zdziwił, kiedy odmówiono mu informacji. Wzbudziło to jego ciekawość.

— Oczywiście, że pamiętam SUSŁA — powiedział do Cox-Spendera.

— To było jakieś dwadzieścia lat temu, a może więcej. Miałem wówczas pięćdziesiąt lat. Kiedy jesteśmy młodzi, popełniamy szaleństwa. — Uśmiechnął się czarująco.

Hendricks pokazał mu artykuł w gazecie. Jack Delmar roześmiał się, patrząc na zdjęcie.

— Czyż to nie najdziwniejsza maszyna świata? W redakcji obiecano mi, że otrzymam kilka kopii. Nigdy ich nie dostałem. Szepnąłem przyjaciołom parę słów i nagle okazało się, że nikt nie chce zamieszczać u nich reklam. — Delmar przerwał. — Czemu interesuje się pan moim SUSŁEM, panie Spender?

Cox-Spender miał przygotowaną historijkę.

— Sonar wykrył pewien przedmiot pod obserwatorium w Greenwich. Niewykluczone, że jest to niewybuch z czasów wojny. Mamy nadzieję, że dzięki pańskiemu urządzeniu dostaniemy się do bomby bez usuwania instrumentów z obserwatorium.

Jack Delmar odchylił głowę w tył i roześmiał się głośno.

— SUSEŁ na nic się wam nie przyda. Ta maszyna nie przebiłaby się nawet przez ciepłe masło.

Cox-Spender spojrział ze zdumieniem na przemysłowca.

— Przecież te zdjęcia pokazują...

— Pokazują, jak SUSEŁ znika pod ziemią i pojawia się kilka metrów dalej — powiedział Jack Delmar, uśmiechając się szeroko.

— Wynajęliśmy teren budowy i zorganizowaliśmy ten pokaz. Wysypaliśmy tam kilka ton gruzu, aby SUSEŁ nie miał zbyt dużych kłopotów.

— Co się stało z maszyną? — spytał z rozpaczą Cox-Spender.

— Pękła.

— Czy ma pan nadal jej plany?

— Plany? — Jack Delmar spojrzał na niego z rozbawieniem.

— W tamtych czasach najpierw budowaliśmy prototyp. Dopiero kiedy okazywało się, że urządzenie działa, opracowywaliśmy szczegółowe projekty, aby zbudować następną maszynę.

Hendricks spojrzał na zegarek.

— Sądzę, że powinniśmy wracać do Nowego Jorku.

— Czy wciąż posiadacie podstawowe części? — spytał Cox-Spender, desperacko chwytając się każdej szansy.

— Wykorzystaliśmy niektóre z nich do budowy SUSŁA H.

Cox-Spender patrzył na starego mężczyznę.

— SUSŁA H?

Jack Delmar uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Działał jak złoto. Mógłby się przebić przez dwadzieścia metrów skały pod Manhattanem. Kawa z mlekiem.

Hendricks zaczął już wstawać, teraz jednak usiadł i czekał, aż Cox-Spender zada wszystkie pytania.

— Czy nadal ma pan tę maszynę?

— Pewnie. Cały czas śpię na patentach. Pomyślałem, że pewnego dnia mogą się przydać.

Cox-Spender siedział jak na szpilkach.

— Panie Delmar, czy SUSEŁ H mógłby się przebić pod rzeką o szerokości czterech kilometrów, a potem przez... dwumetrową skałę?

— niewiele brakowało, a Cox-Spender użyłby słowa „beton”.

Jack Delmar pokręcił głową.

— Cztery kilometry? To duże wymaganie pod adresem jakiegokolwiek maszyny.

— Autor artykułu napisał jednak, że późniejsza wersja urządzenia będzie w stanie wywiercić tunel pod taką rzeką jak Hudson lub East River, aby uratować pasażerów kolejki podziemnej.

Nie patrząc na gazetę, Jack Delmar powiedział:

— Jeśli dobrze pamiętam, jest tam użyty zwrot „przedostać się przez koryto rzeki”.

— W takim razie w jaki sposób...?

— Kiedy okazało się, że SUSEŁ H pracuje bez zakłóceń, przedstawiliśmy władzom portowym plan działania i zorganizowaliśmy pokaz. Wyprodukowaliśmy kilkanaście trzydziestometrowych segmentów plastikowej rury o średnicy dwóch metrów — kiedy mieliśmy już matrycę, mogliśmy wytwarzać dowolną ilość segmentów. Te kawałki dawały się łatwo łączyć ze sobą i w ten sposób powstawał wodoszczelny tunel. Zespół nurków zbudował taki rurociąg na dnie rzeki Hudson. Zaczęli od West Side i doprowadzili przewód na drugi brzeg. Następnie do zanurzonego końca przymocowali kopułę z prefabrykatów, tak aby jej otwarty koniec przylegał do dna rzeki. Trochę się przy tym napracowali. Kiedy wszystko było gotowe, miejski oddział straży pożarnej wypompował wodę z rury i kopuły.

— Mogliście więc później przeprowadzić SUSŁA przez kanał i rozpocząć wiercenia w kopule? — spytał z podnieceniem Cox-Spender.

Jack Delmar uśmiechnął się.

— Właśnie. Operator SUSŁA wywiercił pionowy otwór, a potem przebił się w poziomie w odległości pięciu metrów od miejsca, wyznaczonego przez kolejowych inżynierów.

— Kiedy to było?

— Piętnaście lat temu.

— Nigdy o tym nie słyszałem — rzekł Hendricks.

— Waszyngton prosił, żebym nikomu nic nie mówił. Obawiali się, że ktoś mógłby posłużyć się tą metodą, aby włamać się do piwnic bankowych lub nawet silosów rakietowych. Ubiegałem się wówczas o wielki rządowy kontrakt, dlatego się zgodziłem.

Jack Delmar uśmiechnął się do gości.

— Czy nadal posiada pan SUSŁA U i segmenty rury, panie Delmar?

— spytał Cox-Spender, starając się opanować podekscytowanie.

— Pewnie. A także kopułę z prefabrykatów. Znajdują się w magazynie West Fiftieth, chyba że Harry gdzieś je przeniósł. Nie trzymam już palca na pulsie.

Asystent doradcy premiera wyobraził sobie, że krzyżuje palce,

aby odpędzić zły urok, zanim zadał następne pytanie:

— Czy pamięta pan, ile macie segmentów rury, panie Delmar?

Jack Delmar spojrział z zaciekawieniem na brytyjskiego urzędnika. Nie rozumiał, dlaczego wszyscy tak się podniecają jakąś niemiecką bombą. Zdaje się, że znaleźli nie byle jaki niewybuch. Zauważył, że Anglik nerwowo zaciska ręce. Hendricks patrzył na jezioro znudzonym wzrokiem.

— Sto sześćdziesiąt — powiedział Jack Delmar. — Można z nich ułożyć pięciokilometrowy kanał. Segmenty podzielono na połowy, aby nie zajmowały zbyt dużo miejsca w magazynie. Kiedy znajdą się w wodzie, można je będzie spiąć od wewnątrz specjalnymi klamrami. Cox-Spender tak bardzo wychylił się w kierunku Amerykanina, że niewiele brakowało, a spadłby z krzesła.

— Panie Delmar, rząd brytyjski chciałby kupić pańskiego SUSŁA wraz z oprzyrządowaniem, w tym segmenty rury oraz kopułę. Jestem upoważniony do prowadzenia negocjacji.

Jack Delmar pokręcił głową.

— Nie sprzedam.

Cox-Spender wytrzeszczył oczy.

— Ależ musi pan! — wymamrotał.

Na pomarszczonej twarzy przemysłowca pojawiła się irytacja.

— Proszę posłuchać... — zaczął.

Hendricks wtrącił się do rozmowy.

— Myślę, że rząd brytyjski jest gotów dobrze zapłacić za ten sprzęt.

Jack Delmar wskazał szerokim gestem klimatyzowany dom, jezioro i łódź motorową.

— W moim wieku człowiek dochodzi do wniosku, że bardziej niż pieniędzy potrzebuje przyjaciół, a od czasu do czasu niewielkiej rozrywki. Zamierzałem właśnie powiedzieć, że oddam wam ten sprzęt w zamian za dwie drobne przysługi. — Przyjrzał się

Cox-Spenderowi. — Czy upoważniono pana, do tego, aby rozmawiać o przysługach, panie Spender?

Cox-Spender skinął głową.

Jack Delmar oparł się wygodnie i patrzył na drzewa.

— Jeden z moich chłopców, Carl, kieruje firmą „Delmar Instruments” w Wielkiej Brytanii. Miał ostatnio kłopoty. To nie jego wina: jest dobrym dzieciakiem i ciężko pracuje, ale nie udało mu się zebrać

pieniędzy na inwestycje, a nie chce przychodzić z tym do mnie. Przyjąłby jednak pożyczkę w wysokości dwóch milionów dolarów od brytyjskiego rządu — bez żadnych warunków i bez wymieniania mojego nazwiska. Okay?

— Okay — odrzekł Cox-Spender, używając tego słowa po raz pierwszy od czasów dzieciństwa. — Jaki jest drugi warunek?

— Pojadę do Wielkiej Brytanii razem ze sprzętem. Zabiorę ze sobą dwóch inżynierów i pomożemy wam przeprowadzić tę operację. Cox-Spender zgodził się skwapliwie. Sam zamierzał to zaproponować. Miał wrażenie, że zdobył punkt w potyczce z bystrym przemysłowcem.

— Jeszcze jedna sprawa, panie Delmar. Ile czasu zajęło wam przedostanie się do tunelu Lincolna?

— Po dwudziestu sześciu godzinach od chwili rozpoczęcia robót inżynierowie kolejowi ujrzeli nos SUSŁA — Delmar uśmiechnął się i wstał, gotów do działania. — Kiedy przewieziemy sprzęt?

— W ciągu dwudziestu czterech godzin — odrzekł Hendricks, prostując się. — Nawet wcześniej, jeśli uda mi się załatwić transport. Na horyzoncie pojawił się betonowy budynek Światowego Centrum Handlu, kiedy Jack Delmar odezwał się do Cox-Spendera, przekrzykując warkot silnika.

— Ta historyjka o niemieckiej bombie to pic na wodę?

— Tak — zgodził się z powagą Cox-Spender. — Pic na wodę. Jack Delmar uśmiechnął się z zadowoleniem do brytyjskiego urzędnika.

3

Policjanci potraktowali Maggie łagodnie, a nawet pozwolili Mitchellowi być obecnym podczas przesłuchania w sprawie wypadku. Detektyw zamknął notes i wstał.

— Dziękuję, panno Pyne. Przepiszemy protokół na maszynie, a potem poprosimy o pani podpis.

— Co się później stanie? — spytała Maggie.

— Na początku przyszłego tygodnia rozpocznie się śledztwo. Koroner powie na pewno parę słów o przepisach bezpieczeństwa obowiązujących na rzece, a potem stwierdzi, że śmierć nastąpiła przypadkiem. Zajmie to najwyżej piętnaście minut.

— Co się stało z policjantem rzeczonym?

Detektyw spojrział spokojnie na Maggie.

— Z sierżantem Snowdonem? Nie doszedł jeszcze do siebie po szoku.

Po wyjściu policjanta Maggie powiedziała do Mitchella:

— Chciałabym pojechać teraz do Londynu, Mitch.

— Czemu nie zadzwonisz do biura i nie spytasz, gdzie jest ojciec?

— Obiecałeś, Mitch.

Mitchell spojrział na zegarek. Była 15:00.

— Posłuchaj, kochanie. Nie wiedzieliśmy, że policjanci przyjdą tak późno. Podróż do Londynu zajmie przynajmniej godzinę — najprawdopodobniej na drogach ustawiono blokady po wczorajszych zamieszkach.

Maggie była jednak zdecydowana.

— Jeśli tak, to lepiej już jedźmy.

Wyszła z pokoju.

Mitchell westchnął i poszedł za nią do samochodu. Miał ochotę wrócić do domu, aby się przebrać, postanowił jednak, że nie będzie jej denerwował.

Po dwóch godzinach nerwowej jazdy wśród policjantów i oddziałów wojska Maggie i Mitchell dotarli do gmachu ministerstwa obrony narodowej nad Tamizą. Zamieszki się skończyły, ale najwyraźniej nie odwołano jeszcze alarmu.

— Przykro mi, ale wszyscy poszli już do domu — powiedział wartownik.

— Może pan przynajmniej zadzwonić do jego biura! — powiedziała z gniewem Maggie. — Pokój 1702.

— Jest już wpół do, proszę pani. Wszyscy wyszli.

— Proszę posłuchać — rzekła spokojnie Maggie. — Ojciec często pracuje do późna. Proszę zadzwonić pod jego wewnętrzny numer.

Wartownik spojrział na rozgniewaną dziewczynę i doszedł do wniosku, że lepiej nie zadzierać z córką generała. Zadzwonił. Nikt nie podniósł słuchawki.

— Czy wie pan, gdzie jest ten nowy obóz, nad którym ojciec objął komendę? — spytała Maggie.

— Nie otrzymuję takich informacji. Najlepiej będzie, jeśli przyjdzie pani tu jutro rano.

Mitchell i dziewczyna wyszli na popołudniowe słońce. Minęli Victoria Embankment i patrzyli na Tamizę, opierając się o parapet.

Po rzece pływały wysepki śmieci.

— Boże. Spójrz tylko na to — powiedziała z goryczą Maggie.

— Na co?

— Na wszystko. Kiedy ojciec wrócił z Singapuru, opowiedział, jaki panuje tam porządek. To dlatego, że wprowadzili surowe kary za śmiecenie. Stwierdził również, że jedną z przyczyn obecnych kłopotów jest to, że nie mamy odwagi podjąć zdecydowanych kroków, aby rozwiązać nasze problemy.

Mitchell objął dziewczynę i poprowadził do samochodu.

— Chodźmy, kochanie. Znajdziemy hotel, a jutro rano napędzimy strachu tym biurokratom.

4

Nowojorczycy są bardziej przyzwyczajeni do helikopterów niż mieszkańcy innych wielkich miast. Przez większą część dnia nad miastem unosi się dwadzieścia lub trzydzieści maszyn, przewożących pocztę i pasażerów na lotnisko Kennedy'ego i La Guardia, wynajętych przez turystów albo po prostu latających sobie i robiących dużo hałasu. Jednakże na widok piętnastu helikopterów Sikorsky S 61 o wojskowym, zielonobrunatnym kolorze, mknących z hukiem nad Manhattanem w kierunku Queens, wielu przechodniów zadzierało głowy. Ogromne maszyny zignorowały miejskie przepisy dotyczące ruchu powietrznego. Przeleciały nad Central Parkiem, skręciły ostro nad przystanią nad rzeką Hudson i ruszyły w równym rzędku w kierunku lotniska pasażerskiego Dwighta Eisenhowera. Prom firmy Circle Line, zmierzający do portu po ostatnim rejsie, przechylił się niebezpiecznie, kiedy podekscytowani pasażerowie zgromadzili się na lewej burcie.

Były sierżant Dean Forester z Colorado Springs pokazał helikoptery synowi.

— Wiesz, co to jest, Ben?

— Dużo dymu i hałasu — odrzekł z niesmakiem Ben.

— Nazywaliśmy je zielonymi olbrzymami. Kiedy twój tata został ciężko ranny, zabrał go jeden z tych ptaszków. Gdyby nie one, nie byłoby cię tutaj. I co na to powiesz?

Była to jedna z uwag, które lubią wygłaszać rodzice i na które ich potomkowie nie mają zwykle gotowej odpowiedzi. Pierwszy Sikorsky podleciał ku nadbrzeżu West Side i opuścił linę nośną w kierunku mężczyzn, wdrapujących się na stopy trzydziestometrowych segmentów rury. Wisiał w powietrzu przez trzydzieści sekund. Potem śmigło zawirowało szybciej. Ciężka maszyna wzniosła się i zaczęła oddalać od wybrzeża, unosząc ze sobą ładunek. Helikopter ruszył wzdłuż rzeki, a inny śmigłowiec zajął jego miejsce. Don Marchant z Oklahomy spędzał drugi miesiąc miodowy z drogą żoną i trzema aparatami fotograficznymi. Nawet na tarasie widokowym na osiemdziesiątym szóstym piętrze Empire State Building powietrze było nieruchome. Drugi miesiąc miodowy przyniósł Marchantowi rozczarowanie, pocieszyły go jednak wspaniałe, polaroidowe zdjęcia piętnastu ogromnych helikopterów, lecących w szeregu w kierunku lotniska Kennedy'ego. Promienie słońca padały na unoszony przez nie ładunek. Rozpoczęła się operacja „SUSEŁ”.

5

Pięć minut przed północą zaprowadzono Paula Weinerja do Sali operacyjnej. Serce w nim zamarło, kiedy zobaczył, ilu ludzi tam się znajduje. Wysocy oficerowie zgromadzili się wokół dużego stołu, na którym leżała ogromna mapa ujścia Tamizy. Inżynierowie przykładali lutownice do kolorowych drucików, wystających z końca grubego kabla, dochodzącego do sali przez wybitą w ścianie dziurę. Obok oficerów czekały dziewczęta gotowe do stenografowania. Premier stał wśród ludzi zgromadzonych wokół monitora, pokazującego zadziwiająco wyraźny obraz elektrowni Yulcan Hall. Jakiś inżynier rozkręcił drugi monitor i pochylił się nad nim, trzymając w ręku tester. Dwóch oficerów policji grało w StarGlidera na mikrokomputerze. Nikt nie zwracał uwagi na Weinerja. Kiedy tu szedł, trzy razy go kontrolowano. Rozejrzał się wokół siebie. Pozamykano okna i pozaciągano żaluzje. Nie było klimatyzacji. Weiner podszedł do premiera.
— Czy mogę zamienić z panem słowo, sir?

Premier odwrócił się od monitora. Weiner był zdumiony, widząc, jaka zmiana zaszła w tym człowieku od ich ostatniego spotkania. Na twarzy premiera malowało się uniesienie — wyglądał jak żołnierz gotowy do bitwy.

— Ach, Weiner. Co pan sądzi o obrazie Vulcan Hall? Założyliśmy ukryte kamery wyposażone w urządzenie, dzięki któremu możemy obserwować elektrownię nawet w ciemności. Nazywa się to wzmacniaczem obrazu czy jakoś tak. — Polityk wyszedł z tłumu i zaciągnął Weinerja w róg sali. — Jak idą sprawy?

— Sprzęt opuścił Nowy Jork. Jest już w drodze.

Premier wyglądał na zdziwionego.

— Tak szybko? Przedstawię pana marszałkowi Królewskich Sił Powietrznych, abyście mogli przygotować wszystko w Biggin Hill...

— Sprawa jest już załatwiona — powiedział Weiner. — Nie skorzystamy z Biggin Hill. Nasze strategiczne transportowce dalekiego zasięgu nie mogą tam lądować.

— Sądziliśmy, że to będzie najlepsze miejsce.

— Piloci się nie zgodzili. Zaproponowali Dunsfold.

Premier nigdy nie słyszał tej nazwy.

— Należy do Brytyjskich Zakładów Lotniczych i ma najdłuższe pasy startowe w południowej Anglii — wyjaśnił Weiner. — Trzeba więc skierować wszystkie helikoptery do Dunsfold.

Postawa, przyjmowana przez Amerykanów w czasie częstych rozmów telefonicznych, zirytowała premiera. Amerykanie próbowali przejąć całą operację.

— Postanowiliśmy nie używać helikopterów — powiedział stanowczo premier.

To oświadczenie zdumiało Weinerja.

— Zdecydowaliśmy przecież...

— To wy zdecydowaliście.

— Ależ panie premierze, najlogiczniej będzie przewieźć rury helikopterami do stoczni w Chatham.

Premier złapał delikatnie Weinerja za łokieć i wyprowadził na korytarz.

— Proszę posłuchać, panie Weiner. Jeśli ludzie zobaczą kilkanaście helikopterów, lecących przez Anglię z trzydziestometrowymi segmentami rury, zaczną plotkować i nie będziemy w stanie ich uciszyć. Jeżeli rozejdą się pogłoski o elektrowni, może dojść do paniki.

Oczywiście jesteśmy bardzo wdzięczni pańskiemu krajowi za okazaną pomoc, jednak to my ponosimy odpowiedzialność za to, co się u nas dzieje. Nie pański prezydent, a z pewnością nie CIA.

— Premier nie dał Weinerowi czasu na odpowiedź. — Proszę poinformować sir Dudleya McBryana, kiedy i gdzie przybędzie transport, a on postara się, by czekały tam ciężarówki. Jaka jest odległość pomiędzy Dunsfold a Chatham?

— Około stu mil.

— O której godzinie przybędzie transport?

— O dziesiątej.

— W takim razie nie ma problemu. Marynarka twierdzi, że statek będzie gotowy dopiero o szesnastej, mamy więc dużo czasu na przewiezienie sprzętu z Dunsfold. Nie należy wpadać w panikę, Weiner. My, Brytyjczycy, umiemy zachowywać spokój w trudnych sytuacjach.

Potrąficie również być bezczelni, miał ochotę powiedzieć Weiner, zachował jednak milczenie.

— Co z SUSLEM i skafandrem kosmicznym? Kiedy je otrzymamy?

— Razem z transportem przybywającym rano do Dunsfold — odrzekł Weiner. — Przyjedzie również grupa techników — dwóch ludzi, opiekujących się SUSLEM, eksperci z NASA i oczywiście operator SUSŁA. To nasz jedyny astronauta, który jest również strzelcem wyborowym.

— W tej sprawie również zmieniłem zdanie. Operator, który wedrze się do elektrowni, musi być Brytyjczykiem.

Weiner był przerażony.

— Nie możemy tak późno zmieniać planów, sir. Poza tym on jest już w drodze.

— To wy nie możecie zmieniać planów, Weiner, ale my możemy — odrzekł gładko premier. Ucieszyła go mina Weinerja. Agent CIA był wyraźnie wstrząśnięty.

— Nie możemy zmienić operatora! — Weiner prawie krzyczał. — Jezu, to przecież wyszkolony astronauta. Potrafi pracować w skafandrze. Wy tłumaczono mu, jak należy obsługiwać maszynę...

— Cox-Spender powiedział, że obsługa tego urządzenia jest dosyć prosta — odrzekł premier.

— Nie rozumie pan. Musimy użyć skafandra starego typu, bo tylko one w stu procentach zatrzymują ciepło. Ten skafander był szyty na miarę. Nie może go założyć pierwsza lepsza osoba!

— Przykro mi, Weiner. Ja i moi koledzy podjęliśmy już decyzję. Człowiek, który wedrze się do elektrowni, musi być Brytyjczykiem. Nie zmienimy zdania.

Amerikanin pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Boże! Czy narodowość ma jakieś znaczenie?

— Dla nas ma. — Polityk przerwał i protekcyjnie poklepał Weinerja po ramieniu. — Prawdę mówiąc, wybrałem już odpowiedniego oficera. To zdolny człowiek i, jak mi powiedziano, znakomity strzelec.

Weiner doszedł do wniosku, że nie warto się spierać. Stwierdził tylko: Zgodnie z umową, mieliśmy dostarczyć ekwipunek i wykwalifikowany personel. W obliczu tych zmian musimy zweryfikować naszą ocenę szans powodzenia operacji SUSEL.

Premier uśmiechnął się.

— Wzięliście więc na siebie wymyślenie kryptonimu operacji?

— Było to konieczne ze względów komunikacyjnych.

— Czy czytał pan pamiętniki Churchilla z czasów drugiej wojny światowej?

Weiner ruszył w kierunku sali operacyjnej.

— Nie.

— Sądzę, że to było w drugim tomie — rzekł premier, który świetnie się bawił. — Churchill przedstawił dyrektywy, którymi musieli kierować się jego podwładni, przydzielając kryptonimy operacjom wojskowym. Podkreślił, że użyta nazwa nie powinna być banalna — krewni ludzi, zabitych w akcji, nie chcieliby przecież wspominać operacji o nedorzecznej nazwie. Powiedział również, że kryptonim nie powinien w żaden sposób zdradzać natury operacji.

— Dziwię się, że przejmuję się pan takimi drobiazgami, sir.

— Churchill stwierdził także, że wielkość organizacji przejawia się w dbałości o szczegóły.

Weiner miał ochotę powiedzieć premierowi, co sądzi o kraju, który pozwolił, aby garstka terrorystów zajęła elektrownię atomową.

Opanował się jednak i rzekł zimno:

— Jeśli rzeczywiście obchodzą pana szczegóły, to lepiej niech mi pan poda wymiary waszego operatora, abyśmy mogli sprowadzić z Houston inny skafander.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się i odszedł.

Premier spędził jeszcze jedną godzinę w sali operacyjnej. Wyszedł o 02:30, a o 03:00 poszedł spać. Rozbierając się pomyślał, że mają czterdzieści pięć godzin, zanim Keller zrealizuje swoją groźbę.

Leżał przez kilka minut zastanawiając się, co się stało z Simpsonem, a potem zapadł w głęboki sen.

PIĄTEK

1

Skrzydła samolotu Lockheed Galaxy opadły, kiedy maszyna wytracała szybkość, a jej dwadzieścia osiem kół zbliżało się do pasa startowego w Dunsfold. Zanim się zatrzymała, końce skrzydeł niemal dotykały ziemi. Potem ogromny samolot wciągnął podwozie i opadł na pas startowy. Szef załadunku nie tracił czasu.

Dziób samolotu podniósł się jak przyłbica zbroi i dwa samochody Queen Mary wjechały tyłem w widniejący otwór.

Po twarzach żołnierzy, ładujących dziwne, plastikowe rury na długie ciężarówki, spływał pot. Szybko załadowano samochody na bezpieczną wysokość i zaraz potem podjechały dwa następne pojazdy. W ciągu trzydziestu minut załadowano osiem ciężarówek.

Dwa ostatnie wozy odjechały na bezpieczną odległość, kiedy zamykała się wielka przyłbica. Masywne cielsko towarowego samolotu podniosło się i odjechało na odległy koniec pasa startowego.

Kilka minut później ogromny cień padł na pobliską farmę. Silniki maszyny pracowały na wysokich obrotach, aby utrzymać w powietrzu tak wielką masę.

Nowy przybysz w Dunsfold przypominał latającą pokrakę; był to brzydki, pękaty samolot Super Guppy, należący do firmy „Aero Spacelines” z Santa Barbara w Kalifornii.

Kiedyś Super Guppy był wdzięcznym Boeingiem, potem jednak przyszły dla niego ciężkie czasy. Skrzydła i spód samolotu pochodziły z Boeinga, ale górna część przypominała groteskowy, pękaty balon, zaczynający się od dziobu i sięgający na wysokość statecznika.

Boki tego balonu sterzały obrzydliwie nad skrzydłami i dopiero koło ogona maszyna wyglądała normalnie.

Zaprojektowano ten dziwaczny samolot, aby przetransportować górny segment księżycowej rakiety Saturn/Apollo. Teraz korzystano z niego, kiedy trzeba było pilnie przewieźć jakiś duży ładunek.

Koszmarna, ciężarna maszyna przycupnęła na pasie startowym, a załoga wykonywała cesarskie cięcie jej kadłuba. Z otworu wydobyto nowe rury, dużą skrzynię, kilka ogromnych rolek z elastycznym węzłem, trochę mniejszych skrzynek i dziesięciu pasażerów. Cały ładunek umieszczono w czekających ciężarówkach. Super Guppy ruszył chwiejnie na kraniec pasa startowego, a kontroler ruchu nerwowo wydał pozwolenie na start.

2

Hendricks przyjechał do Londynu o 08:00 i udał się prosto do biura Weinerja. Paul spał na składanym łóżku. Hendricks potrząsnął nim brutalnie.

— Co to za głupie gadanie, że Brytyjczycy zamierzają wprowadzić do elektrowni swojego człowieka?

Weiner podniósł się, ziewnął i przetarł oczy. Hendricks powtórzył pytanie.

— Chodzi o narodową dumę — odrzekł zapytany. Spojrzał na zegarek.

— Jezu, potrzebuję więcej snu.

Dłgie, kościste palce zrzuciły kołdrę na podłogę.

— Zdążył się pan trochę przespać. Ja nie mogę tego powiedzieć o sobie. Chodźmy. Musimy ich przekonać, żeby zmienili zdanie.

Weiner pokręcił głową.

— To strata czasu. Próbowalem. Premier nie ustąpi.

Hendricks usiadł na krześle Weinerja.

— Powiedział mu pan, że mamy odpowiedniego człowieka?

— Oczywiście.

— Astronautę, a zarazem strzelca wyborowego?

— Tak — odparł Weiner zmęczonym głosem. — Stwierdził, że oni również znaleźli idealnego kandydata.

— Brytyjczycy nie mają astronautów.

— Niech pan sam mu to powie.

Hendricks bębnił palcami po stole.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — spytał Weiner. — Maszyna jest łatwa w obsłudze. Trzeba tylko, żeby ludzie z NASA ruszyli tyłki i przysłali skafander o odpowiednich parametrach.

— Na tym właśnie polega problem — warknął Hendricks.

— Czyżby nie mieli takiego skafandra?

Hendricks spojrział ze smutkiem.

— Oczywiście, że mają. Jednakże przyślą go nam tylko na osobiste polecenie prezydenta. Godzinę przed lądowaniem dostałem od nich wiadomość. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie wrócić i nie zostawić panu spraw po tej stronie Atlantyku.

— Dlaczego jakiś cholerny skafander jest tak ważny? — spytał Weiner, poruszony komentarzem.

Hendricks podniósł słuchawkę i wyciągnął z kieszeni kartkę, którą podsunął Weinerowi.

— Dlatego.

Ten przeczytał i spojrział ze zgrozą. Przyszła mu do głowy tylko jedna odpowiedź:

— O cholera.

— Tak samo zareagowałem — powiedział Hendricks i wystukał kod, dzięki któremu można było otrzymać bezpośrednie połączenie z Białym Domem.

3

Przed południem rudowiec „Barrow” znajdujący się w stoczni w Chatham, znów zaczął przypominać statek. Znalazł się tu ubiegłego wieczoru i od tej pory krzątało się wokół niego dwustu wykwalifikowanych pracowników stoczni. Zdążyli już uporać się z robotą i właśnie sprząтали bałagan. Na początku pracowali w świetle reflektorów, a potem w gorących promieniach słońca. Wycięli w burcie statku otwór trzymetrowej średnicy, prowadzący do ładowni w śródkrećciu. Starannie wybrano miejsce, tak aby otwór znalazł się pod linią wody, gdy przednia i tylna ładownia zostaną załadowane żywirem i sprzętem.

Kiedy wszystko było już gotowe, dano sygnał operatorowi dźwigu, przytrzymującego statek pod kątem trzydziestu stopni.

Rudowiec wyprostował się powoli. Woda wdarła się przez szczelinę. Zerwała się stalowa cuma. Statek kołysał się przez chwilę, a potem stanął bez ruchu. Zapadał się coraz niżej, gdyż woda wlewała się do środkowej ładowni. Inżynierowie przyglądali mu się z niepokojem. Nie byli pewni, czy wzmocnione przegrody pomiędzy ładowniami wytrzymają ciśnienie wody, skierowane w normalnej sytuacji na kadłub.

„Barrow” przestał się zapadać. Przez pół godziny nikt się do niego nie zbliżał — istniała możliwość, że przegroda pęknie bez żadnego ostrzeżenia.

Dwóch inżynierów weszło ostrożnie na pokład. Spojrzeli na zatopioną ładownię.

— Cholera, wygląda to jak basen.

— Mam nadzieję, że wystarczy miejsca na żwir.

— Nigdy nic nie wiadomo. Wystarczy lekka fala, a statek będzie cholernie niestabilny.

— Słyszałem, że popłyną w górę rzeki, a nie na morze.

— Jeśli tak, to po co im dodatkowe kotwice? To był sympatyczny statek, dopóki nie zaczęliśmy przy nim majstrować.

— Ciekawe, po co to wszystko. Nie słyszałem, żeby istniało zapotrzebowanie na statki z trzymetrowymi dziurami w burcie.

— Może to nowa metoda łowienia ryb. Czekają, aż ryba wpłynie przez dziurę, a potem rzucają w nią młotkiem.

Jeden z inżynierów splunął do ładowni.

— Nie zamierzam się martwić, dopóki płacą nam potrójnie, tak jak obiecali. Chodźmy. Załadujmy żwir, zanim zaczną huścić.

— Czy wiesz, po co to robimy?

— Nie. Kogo to obchodzi?

Inżynier wskazał ruchem głowy jedną z wielu kamer, zainstalowanych ostatnio na mostku.

— Mnie nie. Kogoś jednak obchodzi.

4

— Bardzo mi przykro, panno Pyne — powiedział oficer z ministerstwa obrony narodowej. — Obawiam się, że nie mogę powiedzieć, gdzie przebywa pani ojciec. — Uśmiechnął się z sympatią do Maggie. Trudno

mu było uwierzyć, że ta urocza dziewczyna tak się awanturowała, i w końcu musiał się z nią spotkać.

Towarzyszący jej Amerykanin wyglądał na zakłopotanego.

— Generał Pyne dowodzi nową jednostką obrony platform wiertniczych? — spytał Mitchell.

Oficer skinął głową.

— Tak. To żaden sekret. Nie wolno mi jednak wyjawiać, gdzie znajduje się obóz, dopóki minister nie wygłosi oświadczenia dla prasy. — Skinął] głową w kierunku Maggie. — Panno Pyne, jako córka oficera wysokiej rangi powinna być pani przyzwyczajona do tego, że ojciec wyjeżdża w sprawach zawodowych.

Maggie wstała.

— Zawsze mi mówił, kiedy go nie będzie i kiedy zamierza wrócić.

Jeśli nie chce mi pan pomóc, sama go znajdę.

Odwróciła się i wyszła z biura.

Zakłopotany Mitchell spojrzał na oficera.

— Bardzo mi przykro.

Oficer uśmiechnął się dobrodusznie.

— Proszę się nie przejmować, panie Mitchell. Lepiej niech pan za nią idzie. Kilka takich osób jak ona mogłoby nas zmusić do wezwania wojska.

— Zabierz mnie do domu, Mitch — powiedziała Maggie, kiedy wyszli z budynku.

— Hej, myślałem, że nie poddajesz się łatwo.

— Mam dosyć Londynu. Nigdy nie przypuszczałam, że do tego dojdzie, ale tak właśnie jest.

— Niewykluczone, że Paul Weiner wie, gdzie przebywa twój ojciec — powiedział powoli Mitchell.

— Twój przyjaciel z ambasady amerykańskiej? Skąd miałby wiedzieć? Mitchell zastanowił się, czy opowiedzieć Maggie o rozmowie z Hendricksem i Weinerem oraz o tym, że Amerykanie interesowali się generałem Pyne'em. Przypomniał sobie groźbę Hendricksa i rozmyślił się. Mimo wszystko nie zaszkodzi zabrać Maggie do Weinerja.

— Może nie wie — rzekł, odpowiadając na pytanie Maggie.

— Warto jednak sprawdzić.

Zaprowadził Maggie z powrotem do mustanga.

Wybrany przez premiera oficer, który miał się wdrzeć do elektrowni Vulcan Hall, należał do nielicznych ludzi w kraju, poinformowanych o zamachu terrorystycznym.

Oglądał właśnie telewizję, kiedy wezwali go dwaj ubrani po cywilnemu, mężczyźni. Byli grzeczni, ale zdecydowani. Pozwolili mu tylko przebrać się, a potem wepchnęli do dwudrzwiowego, sportowego samochodu.

— Dokąd mnie zabieracie i dlaczego?

— Wystarczy, że my to wiemy, sir.

Nic więcej nie powiedzieli w czasie podróży.

Zawieźli go do nie rzucającej się w oczy, niegościnniej rezydencji przy trzypasmowej ulicy w pobliżu Bayswater Road. Z wygodnego mieszkania na najwyższym piętrze mógł podziwiać ogrody pałacu Kensington.

Siedział przy oknie zastanawiając się, co się teraz stanie.

Był szczupłym, muskularnym mężczyzną o szarych oczach i ciemnych, sztywnych włosach, które zaczynały siwieć na skroniach.

Po pięciu minutach podszedł do drzwi. Były otwarte, a po obu stronach stali żołnierze.

— W czym możemy pomóc, sir? — spytał jeden z nich.

Oficer wrócił do okna. Wciąż tam siedział, kiedy do pokoju wszedł premier, usadowił się w fotelu i zaczął rozwijać cygaro.

Oficer patrzył na niego ze zdumieniem.

— Wie pan oczywiście, że terroryści opanowali elektrownię — powiedział premier, jak gdyby nie zauważył, jakie wrażenie zrobił na oficerze. — Nie wie pan jednak, że z niewielką pomocą Amerykanów opracowaliśmy plan ataku. — Premier przerwał, zapalił cygaro, a potem opowiedział o statku „Barrow”, tunelu na dnie rzeki i urządzeniu o nazwie SUSEŁ. W końcu stwierdził, że oficer będzie musiał udać się do Królewskich Zakładów Lotniczych w Farnborough, gdzie nauczy się posługiwać skafandrem i sprawdzi, czy rzeczywiście chroni on przed czujnikami IRIS. Właśnie zamierzał wdać się w szczegóły, kiedy oficer mu przerwał.

— Ma pan na myśli mnie, sir? — oficer był zdziwiony.

Premier spojrział na żarzący się koniec cygara.

— Tak jest. Jako jeden z najlojalniejszych oficerów w naszym kraju, to właśnie pan wdrze się do elektrowni.

Oficer zeszywniał.

— Kto wpadł na ten pomysł?

— Ja — odrzekł premier z uśmiechem. — Sprytnie, nie sądzi pan?

Oficer odprężył się. Powoli skinął głową i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

— Jeszcze jedno — rzekł premier. — Gdyby nie udało się panu przeciąć przewodów, będzie pan musiał znaleźć tego Kellera i zabić jednym strzałem, zanim pana zobaczy. Może pan to zrobić?

— Tak. Jestem dobrym strzelcem.

Oficer źle zrozumiał pytanie, ale premier przeszedł nad tym do porządku dziennego. Przez chwilę panowała cisza, potem polityk rzekł:

— Powiedziałem kolegom z Rady Ministrów, że tożsamość oficera, realizującego to zadanie, musi pozostać tajemnicą, znaną jedynie mnie.

Jeśli uda się panu — w porządku. Jeśli jednak nie... to byłoby niesprawiedliwe, gdyby potomni zapamiętali pana jako człowieka ponoszącego odpowiedzialność za śmierć wielu milionów ludzi. O ile będą jacyś potomni, rzecz jasna.

Oficer skinął głową. Wyjaśnienie miało sens.

— Czy wszyscy zgodzili się na to?

— Tak — odrzekł premier. — W związku z tym postanowiłem przydzielić panu pseudonim Feniks. — Przerwał. — Nikt nigdy nie pozna pańskiej tożsamości. Jest pan gotów to zaakceptować?

— Tak.

Premier skinął głową. Lojalność należało przede wszystkim wykorzystywać, a w drugiej kolejności szanować.

Obaj mężczyźni przez godzinę uzgadniali szczegóły. W końcu premier podszedł do barku i nalał drinki. W milczeniu wzniesli toast za powodzenie planu.

— Powinienem już iść — rzekł premier. — Pan zaś musi pojechać do Farnborough, żeby zająć się skafandrem. — Zatrzymał się przy drzwiach.

— Jeszcze jedno. Na miłość boską, proszę ostrożnie obchodzić się ze skafandrem. Amerykanie są do niego bardzo przywiązani. Ten skafander nosił Neil Armstrong, kiedy wykonywał ogromny krok dla ludzkości.

Cox-Spender zdjął walizkę z transportera taśmowego i ruszył ku odprawie celnej.

Nie czuł się najlepiej. Przekonał Hendricksa, żeby pozwolił mu wrócić wolniejszym samolotem niż Concorde. Lot z Nowego Jorku trwał więc dziewięć godzin zamiast siedmiu. Nad Atlantykiem szalały sztormy.

Miał wrażenie, że wszystkie dziury powietrzne znad oceanu stanowiły pułapkę na ich Boeinga. Każda była gorsza od poprzedniej.

W dodatku jakiś dzieciak zwymiotował na jego garnitur.

Podeszli do niego dwaj mężczyźni. Jeden z nich miał na sobie garnitur z płótna żaglowego. Cox-Spender pomyślał, że na pewno kupował go w ciemnym butik, kiedy wyłączyli prąd.

— Pan Cox-Spender? — zapytał z uśmiechem mężczyzna.

— Tak.

— Proszę z nami.

Był to rozkaz, a nie prośba.

Mężczyźni byli bardzo uprzejmi. Powiedzieli, że kazano mu przekazać wyrazy uznania za wspaniałą robotę, a w nagrodę zostanie wysłany na urlop do Inverloch w Szkocji.

— Inverloch? — spytał Cox-Spender. — Macie na myśli bezpieczny dom?

— Tak sądzę, sir.

— Przecież po wojnie został zamknięty!

— Celowo rozsiewano takie plotki. Przekona się pan, że w Szkocji jest chłodniej niż w Londynie.

— Co będę tam robił?

— Cóż, może pan grać w golfa.

— Nie umiem grać w golfa.

— Nauczymy pana.

— Komandor Crabbe nauczy pana łowić ryby na muszki — odezwał się drugi mężczyzna. — Jest w tym ekspertem.

— To prawdziwy mistrz jeśli chodzi o łowienie pstrągów — rzekł mężczyzna w garniturze, biorąc walizkę.

Dziesięć minut później Cox-Spender siedział pomiędzy dwoma mężczyznami w samolocie do Edynburga.

Od czasów wojny stocznia w Chatham nie pamiętała tak gorączkowej krzątaniny.

O 14:00 konwój ciężarówek z ładunkiem przykrytym brezentem jechał w kierunku stoczni przez zalane słońcem ulice portowego miasta.

Dźwigi położyły ładunek na tysiącach ton żwiru, rozmieszczonego równomiernie w przedniej i tylnej ładowni statku.

Warstwa żwiru kończyła się trzy metry pod pokładem, wystarczyło więc miejsca na segmenty rur, pompy, kopułę z prefabrykatów i SUSŁA.

Ze szkoły na HMS „Yernon” przybyła grupa płetwonurków. Za nimi jechały ciężarówki z butlami tlenowymi i dodatkowym sprzętem, sprowadzonym z Westlands.

Premier obserwował z zadowoleniem ostatnie przygotowania na monitorach w sali operacyjnej.

Obok niego stał Hendricks.

Polityk wskazał dłonią ekrany, pokazujące obraz przekazywany przez kamery zainstalowane na „Barrow”.

— Gdyby nam się nie udało, czy zrealizowalibyście waszą zawołowaną groźbę?

— Nie mogę odpowiedzieć w imieniu mojego rządu — odrzekł Hendricks.

— We wtorek wieczorem wasz ambasador nie miał takich zastrzeżeń. Hendricks patrzył, jak dźwig opuszcza na statek plastikowe segmenty rur.

— To było we wtorek — odrzekł.

- Czy mogłaby pani poczekać na zewnątrz, panno Pyne? — powiedział Weiner.

Maggie ani drgnęła.

— Nie pomoże mi pan?

Weiner spojrzał na Mitchella.

— Nie wiemy, gdzie on jest. Chciałbym pomówić na osobności z panem Mitchellem. To potrwa tylko chwilę.

Maggie spojrzała chłodno na Weinerja. Bez słowa wyszła z pokoju.

— Słuchaj, Mitch — powiedział Weiner, kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi. — Chcesz, żebyśmy zwrócili ci pieniądze za świder, czy nie?

— Pewnie.

— To po co ją tu przywiozłeś? Słyszałeś, co powiedział Hendricks.

— Nic jej nie powiedziałem. Byliśmy w mieście i pomyślałem, że możecie pomóc. Czemu interesujecie się Pyne'em?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Czy wpłatał się w jakąś defraudację, mającą związek z amerykańskim sprzętem?

Weiner wyszedł zza biurka.

— Posłuchaj, Mitch. Zabierz dziewczynę do domu. Zrób coś, weź ją na przykład na wakacje, byle tylko przestała martwić się o ojca. Wkrótce dowie się wszystkiego, ale na razie nie mogę ci nic powiedzieć.

— Mam jej to przekazać?

Weiner wzruszył ramionami.

— Czemu nie? Zabierz ją w jakieś miejsce, gdzie nie znajdzie jej prasa ani żadni maniacy.

— Generał jest więc zamieszany w poważne przestępstwo?

Weiner skinął głową.

— W pewnym sensie tak. Tylko, na miłość boską, nie mów jej o tym.

SOBOTA OSTATNIE GODZINY

1

Feniks przyleciał do Królewskich Zakładów Lotniczych o 00:15.

W laboratorium panowało zamieszanie. Technicy gromadzili się wokół kombinezonu zawieszono na ramie. Na długiej ławie przy ścianie leżały części wyposażenia skafandra. Mężczyzna z teksaskim akcentem krzyczał głośno, żeby podano mu śrubokręt. Człowiek w białym fartuchu rozbijał dużą kostkę lodu na mniejsze kawałki.

Nazwisko Earla Kramera było wyszyte na fartuchu. Feniks przedstawił się. Kramer spojrzał na Feniksa, a potem krzyknął:

— On tu jest!

Wszyscy przerwali pracę i zgromadzili się wokół nich.

— Jak idzie? — spytał Feniks.

— Jak krew z nosa — odparł Kramer. — Niech pan przyjdzie za tydzień.

— Na czym polega problem?

— Mamy kłopot z absorpcją ciepła — Kramer spojrział z ciekawością na swego rozmówcę. — Pan ma wykonać to zadanie. Czy upora się pan z nim w godzinę?

Feniks był zaskoczony tą bezpośrednią, rzeczową postawą.

— Nie wiem. Dlaczego?

— Nie mamy pojęcia, jak poradzić sobie z ciepłem wydzielanym przez organizm. Proszę tu podejść, to wyjaśnię, o co mi chodzi.

Kramer zbliżył się do ławy i podniósł coś, co przypominało długą koszulę, zakrywającą ramiona, tors i nogi.

— Proszę dotknąć — powiedział, jak gdyby był krawcem, zachwalającym przed klientem jakoś materiału.

Feniks poczuł pod palcami miniaturowe rurki. Cały strój się z nich składał.

— Tymi rurkami płynie woda — wyjaśnił Kramer. — Zakłada się to na gołe ciało i izolacyjne spodenki. Te rurki odprowadzają ciepło do OSPŻ, który astronauta ma na plecach. Stamtąd ciepło wydalone jest na zewnątrz. Jeśli dobrze rozumiem, to właśnie musimy zmienić.

— Słusznie — odrzekł Feniks. — Ciepło nie może się wydostać.

— Co więc, do diabła, mamy na to poradzić? — spytał Kramer.

Feniks wzruszył ramionami.

— Przykro mi. Nie jestem inżynierem. Co zrobicie?

— Zamiast pozbywać się ciepła, kierujemy je ku zbiornikowi z lodem. Zmodyfikowaliśmy OSPŻ...

— OSPŻ?

— Osobisty System Podtrzymywania Życia — wyjaśnił cierpliwie Kramer. — Plecaczek astronauty. Umieściliśmy w nim hermetyczny pojemnik, zawierający trzydzieści funtów lodu. Lód absorbuje dużo ciepła, ale kiedy się stopi, temperatura szybko wzrasta. Właśnie dlatego będzie pan miał tylko godzinę, a może dwie. Nie jesteśmy tego pewni, wyposażymy więc pana we wskaźnik podający wagę lodu. Dzięki temu dowie się pan, kiedy zbliżają się kłopoty.

Feniks zmarszczył brwi. Nie słyszał o tym w czasie długich rozmów telefonicznych z rozmaitymi ekspertami.

— Czy nie możecie dać mi więcej niż trzydzieści funtów lodu? — spytał.

Kramer pokręcił głową.

— Próbowaliśmy, ale przeszkodziło nam prawo malejących przychodów. Im większy niesie pan ciężar, tym więcej ciepła wydziela pańskie ciało, a zatem lód topnieje szybciej. Poza tym trzydzieści funtów to połowa wagi skafandra. Będzie pan musiał nosić ze sobą ciężar dziewięćdziesięciu funtów. To wystarczy.

— Jedna godzina?

— Dwie, jeśli nie będzie pan poruszał się zbyt szybko. No dobrze, teraz ubierzemy pana w skafander. Faceci z sąsiedniego laboratorium chcą przeprowadzić parę testów.

Feniks przekonał się, że skafander, albo w żargonie techników NASA „ruchoma jednostka pozapakładowa” jest zadziwiająco wygodny i daje dużą swobodę ruchów — niepokoił się o to, kiedy dowiedział się, że będzie musiał go nosić. Niewygodna była tylko rurka, przymocowana do jego członka i prowadząca do torebki na lewej nodze nad kolaniem.

— Izolacyjne spodenki poradzą sobie z całą resztą — rzekł Kramer.

Feniks powiedział parę słów o nieporęcznym urządzeniu.

— Jeśli wymyśli pan lepszy sposób, chętnie posłuchamy — powiedział z uśmiechem Kramer.

Feniks założył najpierw jednoczęściowy kostium chłodzący.

Później ubrano go w skafander, składający się z osiemnastu warstw, którego zewnętrzna część była zrobiona z żaroodpornego materiału.

Teflonowa powłoka zapobiegała rozdarciu materiału na nierównym, księżycowym terenie.

Przyciemniane przyłbice chroniły astronautę przed promieniowaniem ultrafioletowym i podczerwonym, a także przed małymi okruchami skalnymi. Po ich opuszczeniu twarz kosmonauty była niewidoczna.

Kramer przymocował plecak i podłączył przewody chłodzące, tlenowe i komunikacyjne. Wziął „astronautę” za ręce i skierował je ku skrzynce kontrolnej na jego piersi.

— Teraz pana podłączę — powiedział przez radio.

Feniks nagle poczuł, jak przez rurki przy skórze zaczyna płynąć woda. Miał wrażenie, że wszedł do chłodnej kąpieli. Była to miła ulga, gdyż w skafandrze zaczęło już gromadzić się ciepło.

— Jak się pan czuje?

— Świetnie.

Kramer uśmiechnął się.

— W tym małym, samowystarczalnym statku kosmicznym stał się pan po raz pierwszy w życiu zupełnie niezależny od matki Ziemi. Gdyby ta planeta nagle rozpadła się na kawałki, przeżyłby pan wszystkich. Ale tylko o kilka godzin.

Sprawdził przyrządy kontrolne w skafandrze.

— W porządku. Niech pan spróbuje zrobić parę kroków, ale proszę pochylać się do przodu — musi pan pamiętać, że środek ciężkości leży dość wysoko.

Plecak był bardzo ciężki. Paski wpijały się w ramiona. Zrobił kilka niepewnych kroków. Pomimo systemu chłodzenia, po jego twarzy spływał pot.

— I co?

— Boże, ależ to ciężkie!

Kramer skinął głową z sympatią.

— Tak. Nie zaprojektowano go z myślą o manewrach przy ziemskim ciężeniu. Poza tym niesie pan dodatkowe trzydzieści funtów lodu.

— Dlaczego mówi pan o funtach, a nie o kilogramach?

— Ten zestaw zaprojektowano, zanim NASA przeszła na system metryczny. Co podaje wskaźnik?

Feniks spojrzał na prawy przegub.

— Dwadzieścia dziewięć funtów.

— Widzi pan? Ledwo zaczął się pan poruszać, a już stopił się jeden funt lodu.

Swobodny sposób bycia Kramera zirytował Feniksa.

— Do diabła, czemu nie wymyśliliście czegoś lepszego niż ten śmieszny system? Boże, nawet szóstoklasista pomyślałby od razu o chłodziarkach.

— Spokojnie — rozległ się głos Kramera wewnątrz hełmu.

— W procesie zamrażania nie pozbywamy się ciepła, a tylko przenosimy je z jednego miejsca w drugie. Czy położył pan kiedyś rękę z tyłu lodówki?

— Przepraszam.

Kramer nie zwrócił uwagi na przeprosiny.

— Niech pan się tym nie przejmuj. Proszę teraz iść do sąsiedniego pokoju.

— W tym stroju?

— Pewnie. Skafander zaprojektowano po to, żeby w nim chodzić. Pierwsze drzwi na prawo.

Kiedy Feniks ruszył chwiejnym krokiem ku drzwiom, usłyszał trzask w hełmie. To Kramer przerwał połączenie. Nie usłyszał, jak inżynier mówi głośno do telefonu:

— Koledzy, idzie do was astronauta.

W korytarzu obejrzał się i zauważył roześmiane twarze techników.

Postać w skafandrze kosmicznym zbliżała się do czujnika IRIS.

Zewnętrzny mikrofon był włączony, Feniks mógł więc słyszeć dźwięki w laboratorium. Czterej mężczyźni i kobieta obserwowali jego ruchy zza szklanej szyby w ścianie. Przez głośnik dochodziły ich uwagi.

Stojący na podwyższeniu czujnik ignorował rozproszone promieniowanie ciepłe, a wykrywał każde silne, ruchome źródło ciepła.

— Proszę na chwilę stanąć — rozległ się czyjś głos.

Stanął.

— Dobrze. Niech pan idzie dalej. Wydawało nam się, że odczyt jest pozytywny.

Feniks podszedł do czujnika na odległość wyciągnięcia ręki.

— Co mam teraz zrobić?

— Proszę poruszyć ręką.

Pomachał dłonią kilka centymetrów przed czujnikiem.

— Dobrze — odezwał się głośnik. — Teraz niech pan się powoli odwróci i zbliży do niego twarz.

Zrobił to, choć czuł się trochę głupio.

— Proszę podnieść jedną z przyłbic.

Usłuchał polecenia.

— Teraz drugą.

Zdażył podnieść przyłbicę do połowy, kiedy rozległ się ciągły, ostry dźwięk.

— Sądziłem, że chciałby pan to usłyszeć — odezwał się głośnik.

— Ile lodu zostało?

— Dziewiętnaście funtów.

— Dobrze. Zrobimy jeszcze jeden test, a potem pozwolimy panu się przespać.

Czterej mężczyźni i kobieta weszli do laboratorium. Zaprowadzili Feniksa do roweru i pomogli wdrapać się na siodełko. Musiał mocno trzymać się kierownicy, aby plecak nie pociągnął go w tył. Nie widział swoich butów, przymocowali je więc pasami do pedałów.

— Proszę powoli pedałowac — powiedział doktor. — Tak jak gdyby pan jechał po płaskiej, wiejskiej uliczce i podziwiał krajobraz.

Pracownicy laboratorium ustawili czujniki wokół Feniksa, a potem wyszli.

— Ile zostało lodu? — zapytano przez głośnik dziesięć minut później.

— Trzyście funtów.

— Niech pan trochę zwolni.

Igła wskaźnika na nadgarstku spadała coraz niżej. Po dwudziestu minutach wskazywała liczbę pięć.

— Jeszcze wolniej — usłyszał, kiedy przekazał tę informację.

Zwolnił. Kiedy poruszał nogami, przewód, przymocowany do członka, wpijał mu się boleśnie w ciało.

Piętnaście minut później igła wskazywała zero.

— To potrwa chwilę, zanim woda się podgrzeje i uruchomi czujniki — odezwał się głośnik.

Feniks pedałowal. Temperatura w skafandrze zaczęła wzrastać.

— Proszę trochę przyspieszyć.

Pedałowal szybciej, walcząc z chęcią oddania moczu.

Minęło pięć minut. W laboratorium nie slychać było żadnego dźwięku poza szumem roweru i szelestem teflonowego materiału.

Nagle rozległ się ostry, przenikliwy sygnał. Ogłuszający hałas sprawił, że Feniks rozluźnił mięśnie. Gorący mocz popłynął przez rurkę do torebki na udzie. Dźwięk stał się jeszcze głośniejszy.

— Boże — westchnął jeden z mężczyzn w kabinie kontrolnej.

— Uruchomił je wszystkie. Co do jednego.

O 02:00 Jack Delmar z trudem panował nad podnieceniem. Stał w świetle księżyca, opierał się o balustradę mostu i oddychał głęboko. Za chwilę rozpocznie się operacja. Boże, jakże nienawidził emerytury. Był przyptyw, włączono światła nawigacyjne na „Barrow” i zwinięto liny cumownicze. Holownik sunął po spokojnej wodzie obok wycofanych z użytku okrętów wojennych.

Płetwonurkowie siedzieli w równych rzędach na płachcie, rozłożonej na żwirze w ładowni na rufie. Mieli na sobie gumowe kombinezony i nosili aparaty tlenowe. Na piersiach zwiślały im maski. Niektórzy przymocowywali ciężarki do swoich pasów, kilku paliło. Nikt się nie odzywał. Podoficer sprawdzał zapasowe kanistry z wodorotlenkiem litu, wykorzystywanym przez nurków do oczyszczania tlenu w butlach. Nie lubił,

gdy jego ludzie korzystali z czystego tlenu. Wolał akwalungi, pracujące na sprężonym powietrzu i o wiele bezpieczniejsze.

Tlen pod ciśnieniem może zabić człowieka w ciągu kilku minut, zwłaszcza jeśli trzeba go wyciągać z czterokilometrowej podwodnej rury.

— Sprężone powietrze nie wchodzi w grę — powiedział podoficerowi Jack Delmar. — Nie chcemy, żeby w kanale zbierały się bańki powietrza. Wypchnęłyby rurociąg na powierzchnię, zanim zdążylibyśmy umieścić w nim żwir.

Podoficer podszedł do swoich ludzi.

— Dobrze się czujesz, Jones?

Płetwonurek nerwowo skinął głową.

— W porządku, dziękuję, szefie.

Podoficer chrząknął i szedł dalej. Jones miał niedawno pęknięty bębenek, gdyż nurkował z bólem głowy, o którym wcześniej nie zameldował. W normalnej sytuacji nie pozwolono by mu zbliżyć się do płetw przez najbliższy miesiąc, jednakże ludzie kierujący operacją, obserwujący każdy nich za pośrednictwem kamer telewizyjnych, zażądali, aby wszyscy płetwonurkowie byli do ich dyspozycji.

Holownik porzucił „Barrow”, gdy oba statki znalazły się w najszerszym punkcie rzeki Medway. Z mostka wydano komendę „oba wolno naprzód”. Czarna woda falowała w zalanej ładowni, kiedy statek płynął w dół rzeki.

Za godzinę dotrze do ujścia Tamizy. Później, po godzinnej podróży w górę rzeki w kierunku Londynu, znajdzie się przy Canvey Island. Trzymając się południowego brzegu, z dala od elektrowni, statek wytraci prędkość, rzuci kotwicę i pozwoli jej zaryć się głęboko w dno rzeki. Później wszyscy na pokładzie zabrają się do pracy, a wysokie ściany ładowni osłonią ich przed spojrzzeniami z elektrowni. Nawet prawdziwa załoga „Barrow” otrzyma zadanie do wykonania: marynarze będą leżeć na pokładzie w pełnym słońcu, nie okazując żadnego zainteresowania elektrownią. Kiedy „Barrow” przebijał dziobem fale, Feniks spał w Królewskich Zakładach Lotniczych po zażyciu środka nasennego. Wkrótce łódź zabierze go na pokład statku. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nastąpi to o 14:00. Dziesięć godzin przed upływem terminu ultimatum.

3

Feniks podniósł automatyczny karabin Mli wypalił trzy razy. Pierwsza kula odstrzeliła czubek głowy celu, druga trafiła w tył szyi, a trzecia roztrzaskała resztki głowy.

— Nieźle — rzekł z zazdrością major. — Robi pan postępy. Wystarczyłby pierwszy strzał.

— Lubię się upewnić — rzekł Feniks, zdejmując hełm i rękawice. Nie miał na sobie innych części skafandra. Przyjrzał się karabinowi. — Odpiłowanie osłony spustu było dobrym pomysłem.

Major spojrział z ciekawością na dziwne rękawice.

— Strzelanie w tych rękawicach musi być cholernie trudne. Czy to naprawdę konieczne?

— Tak.

Major ruszył w kierunku celu i pozbierał fragmenty wosku. Złożył głowę w dłoniach i pokazał ją Feniksowi. Na szyi, w miejscu, gdzie uderzyła draga kula, widniał niewielki otwór, ale po przeciwnej stronie znajdowała się dziura wielkości pięści.

Major odłożył głowę i przyjrzał się z dezaprobatą kuli, z której zdjęto zewnętrzny płaszcz.

— Paskudne zabawki — powiedział. — Nie wiem, po co ministerstwo obrony je kupuje. W ciało uderza kula, a po drugiej stronie wypada pociąg pośpieszny.

Zgrabne sformułowanie, pomyślał Feniks.

— Zgaduję, że będzie pan strzelał do prawdziwego celu z tyłu? Zadzwoił telefon.

— To do pana — powiedział major, podając aparat. Feniks wziął telefon i czekał, aż major się oddali.

— Jak idzie? — spytał premier.

— Bardzo dobrze, sir.

— Za wszelką cenę musi pan poradzić sobie z Kellerem.

Amerykanie coś o nim wiedzą. To przez niego mamy te wszystkie kłopoty.

Feniks był zaintrygowany.

— Czy oni mają jakieś informacje, które do nas nie dotarły?

— Wiedzą o wiele więcej niż my. Wygląda na to, że Keller wplątał się w podejrzaną sprawki, związane z paliwem nuklearnym, kiedy pracował w Stanach Zjednoczonych. Nie powinniśmy o tym wiedzieć. W każdym razie musi się pan z nim uporać, tak abyśmy mogli podarować Amerykanom jego ciało. Wówczas przestaną się wtrącać i wrócą do domu. Rozumie pan?

— Tak, sir.

— Życzę panu powodzenia — powiedział premier. — Do zobaczenia w telewizji.

Połączenie zostało przerwane.

Major zdjął z głowy hełm kosmiczny.

— Czy będzie pan nosił resztę tego stroju? Cały skafander?

— Tak.

— Gdzie dokładnie znajduje się cel? Na księżycu?

— W miejscu równie trudno dostępnym — odrzekł Feniks i zmienił temat.

4

Kiedy sześć kotwic zaryło się głęboko w dno rzeki, kapitan statku doszedł do wniosku, że nic nie jest w stanie ruszyć go z miejsca.

Spojrzał na chronometr na mostku. Była 04:45. Piętnaście minut wcześniej niż przewidywał plan.

Wydał rozkaz rozpoczęcia robót.

Na sygnał Jacka Delmara podoficer skierował pierwszy zespół dwudziestu płetwonurków do zatopionej ładowni.

Czarne postacie bez trudu umieściły dolną połowę pierwszego segmentu rury w otworze w burcie statku. Trzech ludzi wypłynęło na Tamizę i podtrzymywało z zewnątrz koniec rury, a inni nakładali na nią następny segment. Jeden z płetwonurków wpłynął do środka rury i zapalił klamry, które szczelnie połączyły ze sobą obydwie części.

Na koniec przewodu, tuż przy otworze w burcie statku, założono pneumatyczne koło. Napompowano je powoli, tworząc wodoszczelną izolację.

Trzydziestometrowa, plastikowa rura wystawała teraz z burty, trzy metry pod powierzchnią Tamizy.

— Prąd ją trochę znosi—powiedział Jack Delmar. — Przygotujcie natychmiast następne pięć segmentów i umieśćcie rurę na dnie rzeki.

Pierwsza grupa płetwonurków dobrze się spisała. O 05:20 ułożono już dziesięć segmentów i kanał miał trzysta metrów długości.

— Powinni odpocząć — stwierdził podoficer.

— Dobrze. Niech następny zespół zabierze się do roboty — rzekł Jack Delmar.

— Przykro mi, sir. Włączyłem do pierwszego zespołu najbardziej doświadczonych ludzi, aby oswoili się z robotą i zorientowali się, jakie problemy mogą się pojawić. Każdy z nich będzie teraz kierował innymi zespołami, trzeba więc poczekać, aż odpoczną.

Jack Delmar skinął głową.

— Ile czasu potrzebują?

— Pół godziny, sir.

— Niech będzie pół godziny, ale nie dłużej.

Drugi, mniej doświadczony zespół, zmęczył się po czterdziestu pięciu minutach i zdołał przedłużyć rurę zaledwie o pięć segmentów.

Praca była wyczerpująca; po dodaniu każdego nowego segmentu odległość pomiędzy ładownią statku a końcem przewodu, którą płetwonurek musiał przepłynąć w tę i z powrotem, zwiększała się o sześćdziesiąt metrów.

Trzeci zespół zmęczył się po trzydziestu minutach i zainstalował tylko cztery segmenty.

— Rzecz w tym, że musimy przeciągać te segmenty przez kanał — powiedział ze smutkiem podoficer. — Praca staje się coraz trudniejsza. Płetwonurek musi przepłynąć sześćset metrów, a w dodatku ciągnąć za sobą element tunelu.

— Rurociąg będzie miał długość czterech tysięcy metrów — przypomniał Jack Delmar.

Podoficer posepnie skinał głową.

— Musimy wymyślić inną metodę transportu. Przy tym tempie pracy ludzie padną ze zmęczenia, zanim połowa segmentów znajdzie się na swoim miejscu.

Amerykanin zastanowił się.

— Dobrze, szefie — powiedział. — Proszę kontynuować, a ja spróbuję coś wymyślić.

5

W miarę jak elementy konstrukcji znikwały w ładowni, dziewczyna w sali operacyjnej układała z kawałków plastiku linię, rozciągającą się od modelu statku do miniaturowej podobizny elektrowni. Premier, Hendricks i oficerowie obserwowali z niepokojem ten powolny proces. Weiner wyszedł, żeby odebrać w biurze jakiś pilny telefon.

— Dziesięć po dziewiątej, panie premierze — rzekł Hendricks.

— Powinni już ułożyć pięćdziesiąt segmentów.

Premier podniósł słuchawkę i wcisnął guzik, uruchamiający brzęczyk w krótkofalówce Jacka Delmara. Rozmawiali przez pięć minut.

— Potrzebują jeszcze dwustu płetwonurków — oświadczył premier odkładając słuchawkę.

6

Niewiele zostało z twarzy Simpsona, Paul Weiner rozpoznał go jednak, kiedy odwrócił ciało leżące w salonie.

— Czy wiesz, kto to jest? — spytał Mitchell.

Oszołomiony Weiner wstał i patrzył na trupa. Mitchell powtórzył pytanie.

— Nie — skłamał.

— Sądziłem, że będziesz wiedział. Właśnie dlatego zadzwoniłem do ciebie.

— Skąd miałbym wiedzieć? — spytał Weiner.

— Daj spokój, Paul. Nie urodziłem się wczoraj. Wzywasz mnie do Londynu. Mówisz, że mam szpiegować generała Pyne'a, a w zamian zwrócicie mi koszty świdra, który kosztował masę pieniędzy. — Nagle Mitchell zbliżył się do Weinerja i zaczął krzyczeć. — Teraz znajduję to na dywanie, a mój telefon wygląda tak, jakby roztrzaskała go bomba! Weiner nie wiedział, co powiedzieć. W sypialni rozległ się dzwonek telefonu. Poszedł za gospodarzem na górę i stanął w drzwiach. Dzięki telefonowi miał czas, żeby się zastanowić.

Mitchell podniósł słuchawkę.

— Tak?

Maggie była bardzo podekscytowana.

— Mitch! Znalazłam tatę! Co za idiotka ze mnie, że od razu tego nie zauważyłam. Oglądałam zdjęcia, które zrobiłeś w niedzielę. Właśnie wywołałam jeszcze jeden komplet odbitek. Pamiętasz wszystkie te domki i sprzęt na tyłach elektrowni? Wtedy sądziłam, że to obóz wczasowy. Otóż, jest to obóz wojskowy! Nowy obóz taty! Na pewno! Weiner słyszał podniecony głos dziewczyny, ale nie rozróżnił słów. Zastanawiał się, skąd wzięło się tu ciało Simpsona. Nagle zdał sobie sprawę, że Mitchell mówi do niego, zakrywając dłonią słuchawkę.

— Znasz Londyn, Paul. Ta elektrownia koło Thames Haven

— czy ona nazywa się Vulcan Hall?

Weiner był zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć. Mógł tylko w milczeniu skinąć głową.

— Tak — odrzekł Mitchell do słuchawki. — Nie mogłaś? Na pewno wykreśliłaś właściwy numer?

Weiner gorączkowo usiłował przyciągnąć uwagę Mitchella.

Przyjaciel odwrócił się do niego plecami.

— Oczywiście. Zabiorę cię tam, kochanie.

Weiner pomyślał, że za chwilę dostanie ataku serca.

— Nie możesz! — krzyknął.

Mitchell skończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Spojrzał na Weinerja. Jego twarz była szara jak popiół.

— Nie możesz jechać do Vulcan Hall, Mitch.

— Akurat. Kto mnie powstrzyma?

Weiner złapał go za rękę.

— Mitch! Nie możesz! Trzymajcie się z daleka! Oboje!

Weiner był przestraszony. Mitchell znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że łatwo nie wpada w panikę.

— Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi, Paul. Od samego początku.

Weiner zawahał się, a potem skinął głową.

— Dobrze — rzekł niechętnie i usiadł.

Pół godziny później Weiner wracał szybko do Londynu, zastanawiając się, czy postąpił słusznie. Zegar w samochodzie wskazywał godzinę dwunastą.

Weiner wzruszył ramionami. Za dwanaście godzin to, że Mitch wie o wszystkim, nie będzie miało żadnego znaczenia. Sprawa zostanie zamknięta.

W ten czy inny sposób.

7

Charlie Davidson był sekretarzem londyńskiego oddziału Brytyjskiego Klubu Podwodnego. Policjanci przyjechali po niego do biura i zawieźli do domu samochodem na sygnale.

Przejrzał dokumenty i wręczył policjantom listę nazwisk i adresów wszystkich płetwonurków będących członkami jego oddziału.

— Czy ktoś z nich używał kiedyś aparatów tlenowych? — spytał policjant, któremu kazano zadać to pytanie.

Charlie spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Do diabła, nie. Używamy tylko sprężonego powietrza. Aparaty tlenowe są cholernie niebezpieczne.

Charlie poszedł za policjantem do samochodu.

— Proszę posłuchać — powiedział, kiedy policjant dzwonił na komisariat. — Ci ludzie do niczego się wam nie przydadzą. Nic nie wiedzą o aparatach tlenowych.

— Wygląda na to, że będą mieli okazję się nauczyć — powiedział policjant i zaczął odczytywać listę nazwisk i adresów.

8

W przestronnym, nowoczesnym barze na dolnym pokładzie łodzi wycieczkowej „Chay Blyth” siedziało ponad stu oszołomionych członków Brytyjskiego Klubu Podwodnego, których bezlitośnie zmuszono do opuszczenia domów i miejsc pracy i zawieziono do przystani Westminsterskiej.

Kapitan jachtu wyłączył silniki i pozwolił łodzi dryfować pomiędzy zakotwiczonym „Barrow” a południowym brzegiem rzeki. Kiedy burta statku zasłoniła elektrownię, ubrany po cywilnemu policjant dał sygnał. Płetwonurkowie szybko wybiegli z baru i wskoczyli do wody. Wszyscy byli dobrymi pływakami i bez problemu pokonali odległość trzydziestu metrów, dzielącą ich od statku-bazy. Niektórzy mieli jednak kłopoty z wejściem po siatce i potrzebowali pomocy, aby dostać się na pokład. Podoficer podzielił ich na grupy i do każdej z nich przydzielił doświadczonego nurka, który nauczył nowo przybyłych posługiwania się aparatami tlenowymi.

„Chay Blyth” płynął przez pewien czas w dół rzeki, a potem zawrócił i ruszył do Londynu po następną grupę nieszczęsnych, uprowadzonych nurków.

9

W przystani Greenwich Feniks, Kramer i dwaj technicy z NASA załadowali na łódź skrzynię zawierającą skafander kosmiczny. Przyglądali się im znudzeni turyści, czekający na statek do Londynu. Łódź odbiła od brzegu o 14:10. Kramer pomógł Feniksowi założyć skafander i podłączył go do przenośnego urządzenia klimatyzacyjnego. Popołudnie było upalne i parne. Na dolnym pokładzie unosiły się gorące opary z silnika.

— Jest pan w lepszej sytuacji niż my — powiedział Kramer do Feniksa.

— Panu przynajmniej jest chłodno.

Feniks nic nie odpowiedział. Wiatraczek klimatyzatora warczał cicho, usuwając ciepło ze skafandra.

10

O 13:30 rura miała już ponad trzy tysiące metrów długości, a jej koniec znajdował się w odległości jednego kilometra od elektrowni.

— Okay — powiedział Jack Delmar. — Wpompujemy tam więcej balastu.

Przez giętkie przewody, ułożone w rurociągu, popłynął żwir. „Barrow” pozbywał się ładunku w tempie trzydziestu ton na minutę. Znaki, namalowane na burcie, powoli wyłaniały się z wody. Jeden z członków prawdziwej załogi statku skończył papierosa i wyrzucił za burtę. Obserwował spadający niedopałek. Coś zwróciło jego uwagę. Wychylił się.

— Chryste — wyszeptał do siebie.

Jack Delmar i kapitan statku wychylali się za nadburcie i starali się nie zwracać niczyjej uwagi.

— Co teraz zrobimy? — spytał z goryczą kapitan. Jack Delmar spojrzał na elektrownię, która przycupnęła pod czterema niesamowitymi wieżami chłodniczymi, a potem w dół, na pierwsze dwa segmenty, wystające z burty. Rury wypłynęły na powierzchnię jak oszołomiony wieloryb.

— Kiedy pozbedziemy się żwiru, zatopimy przednią i tylną ładownię. Wówczas zanurzymy się głębiej.

— Czy nie możemy zrobić tego teraz? — spytał kapitan. — Co z tego, że żwir się zamoczy?

— Nie uda nam się pompować mokrego żwiru — powiedział Jack Delmar. — Musimy zaryzykować i liczyć na to, że terroryści niczego nie zauważą.

— To poważna sprawa — rzekł posepnie kapitan i wydał rozkaz podjęcia pracy. Spojrzał w górę na jedną z kamer. — Lepiej przekażę im dobrą nowinę.

Weiner wślizgnął się po cichu do sali operacyjnej i spojrzał z troską na makietę ustawioną na stole. Przed godziną 18:00 należało ułożyć i osuszyć rurociąg. Właśnie zamierzał szeptem opowiedzieć Hendricksowi o podróży do Weybridge, kiedy odezwał się premier:

— Wysyłanie płetwonurków tunelem z segmentami rury wydaje się powolne i kłopotliwe.

— Dzięki temu nie zgubi się żaden płetwonurek — odrzekł oficer marynarki. — Nie zniesie ich również prąd, sir. Fala właśnie się odwróciła, będzie więc coraz trudniej.

Premier ściągnął usta.

— Nie zgubią się przecież, jeśli popłyną wzdłuż rurociągu.

Jeden zespół mógłby transportować segmenty przez kanał, a w tym samym czasie dwa zespoły pracowałyby na zewnątrz. Praca posuwałaby się trzy razy szybciej.

— Widoczność ogranicza się do jednego metra, sir — rzekł oficer, starając się mówić uprzejmie. — Jestem pewny, że gdyby można było zastosować tę metodę, nasi ludzie sami by to zaproponowali. Poza tym jeśli prąd porwie płetwonurków, nie będziemy w stanie ich uratować.

— Oni nie są najważniejsi — powiedział premier. — Najważniejszy jest czas.

Sięgnął po słuchawkę.

Pomiędzy 14:30 a 15:20 „Barrow” stracił dwóch ludzi marynarki wojennej i pięciu członków Brytyjskiego Klubu Podwodnego.

Woda była tak wzburzona, że nikt nie zauważył ich zniknięcia.

Płetwonurkowie, ciągnący w otwartej wodzie długie, plastikowe rury, szybko się nauczyli, że nagły wzrost ciężaru ładunku znaczy, że prąd porwał jednego z ich towarzyszy. Próbowali posłużyć się linami ratunkowymi, ale mogli je przymocować tylko do trzydziestometrowej, plastikowej rury, którą silny prąd obdarzył własnym, złośliwym życiem. Utracono trzy segmenty, do których przywiązani byli ludzie holujący je. Porwała je czarna fala.

O 15:50 kapitan „Barrow” policzył pozostałe kawałki rur i doszedł do wniosku, że należy ułożyć jeszcze trzy segmenty. Piętnaście minut później szef zespołu wynurzył się z ładowni, wypluł ustnik i krzyknął, że nie można zainstalować ostatniego segmentu, gdyż nie pozwala na to żelbetowa ściana palowa elektrowni. Zmęczeni płetwonurkowie, ukryci w ładowni, wydali słaby okrzyk radości.

Wysłano jednego z nich na elektrycznym skuterze, aby policzył przypory pomiędzy końcem rurociągu a zachodnim krańcem ściany palowej. Naliczył ich pięćdziesiąt jeden. Koniec rurociągu znajdował się tam, gdzie trzeba.

Teraz należało przetransportować dwanaście zakrzywionych, metalowych elementów, z których powstanie kopuła. To ostatnie zadanie miał wykonać zespół, który od pięciu godzin nie wchodził do wody. Przez większość czasu płetwonurkowie ćwiczyli składanie kopuły w ładowni na rufie.

Ciężkie, stalowe płatki przerzucono przez burtę statku i przeciągnięto pod kadłubem. Plastikowe pływaki neutralizowały 95 procent wagi każdego płatka. W jednym z nich wycięty był otwór o wielkości odpowiadającej wylotowi rurociągu. Właśnie ten płatek należało zainstalować na początku. Później ułoży się inne płatki i powstanie kopuła o podstawie przytwierdzonej do dna rzeki. Kiedy wypompuje się wodę, ciśnienie Tamizy będzie większe niż pławność kopuły. Ze statku wyruszył podwodny konwój. Każdy płatek eskortowały cztery skutery. Operacja SUSEŁ była spóźniona o trzydzieści minut. Jack Delmar pomagał otwierać skrzynie z elektrycznymi wózkami golfowymi, które zostaną wykorzystane w rurociągu po wypompowaniu wody. W tym momencie w pobliżu statku zauważono łódź.

11

O 17:25 Jack Delmar powitał na pokładzie Feniksa i techników z NASA. Spojrzał z ciekawością na ciemne przyłbice i przez chwilę zastanawiał się, dlaczego są opuszczone.

— Może pan zdjąć hełm — powiedział, wskazując spalinowe pompy.
— Usuwanie wody z rurociągu potrwa pół godziny, a może dłużej.
— Wolę go nie zdejmować — odrzekł Feniks. — Mam tu klimatyzację. Skąd ta zwłoka?

— Niech pan nawet o tym nie wspomina — odparł Amerykanin.

— Kiedy załadowaliśmy do rurociągu trochę żwiru, statek zaczął się wynurzać. Właśnie dlatego pompujemy wodę do ładowni. Chce pan spotkać się z kapitanem?

— Wolałbym raczej zobaczyć wasze urządzenie wiertnicze.

— Szkoda, że nie przybył pan wcześniej, żeby się z nim zapoznać.

— Powiedziano mi, że jest proste w obsłudze — odrzekł Feniks.

SUSEŁ spoczywał na rampie, podtrzymywany przez dźwig. Maszyna wyglądała dziwnie. Miała cztery metry długości i zaledwie metr średnicy. W jednej trzeciej składała się ze spiralnego ostrza.

Feniks zajrzał do otwartej ładowni. Jack Delmar przyłączył się do niego i pokazał przyrządy kontrolne.

— Ta dźwignia z boku kontroluje prędkość obracania się głowicy, a drążek na środku pozwala kierować maszynę w górę, w dół lub na boki. — Mówił przez pięć minut, a Feniks słuchał uważnie.

— W jaki sposób mogę regulować prędkość? — spytał, kiedy Jack Delmar zamilkł.

— To, niestety, niemożliwe. Prędkość zależy od efektywności wiercenia. Im szybciej obraca się głowica, tym większe tempo jazdy. — Wskazał kilka wyświetlonych cyfr.

— Oto pana komputer nawigacyjny. Proszę dbać tylko o to, aby ekran pokazywał zero, w przeciwnym razie zboczy pan z kursu.

Zaprogramowano go tak, aby doprowadzić maszynę do tunelu inspekcyjnego numer trzy.

Feniks skinął głową. Ślęczał nad mapami piwnic, dopóki nie nauczył się ich na pamięć.

— Czy chce pan zobaczyć, jak działa ostrze? — spytał Jack Delmar.

— Tak.

Jack Delmar musiał przekrzyczeć warkot pomp, aby przyciągnąć uwagę inżynierów. Wydał im rozkazy. Inżynierowie podłączyli przewody do maszyny. Ruszyła pompa hydrauliczna. Hałas stał się jeszcze głośniejszy.

— SUSEŁ przypomina zwykły świder drogowy — wyjaśnił Jack Delmar. — Trzeba go podłączyć do generatora za pomocą tych przewodów. — Sięgnął ręką do kabiny. Duża ślimacznica zaczęła się obracać z głośnym warkotem. — Proszę nie przejmować się hałasem! — krzyknął. — Maszyna pracuje ciszej, kiedy się przez coś przebija. Wyłączył urządzenie i dał znak mężczyznom, obsługującym pompę hydrauliczną, aby zrobili to samo.

Feniks zauważył, że poziom wody w środkowej ładowni spadł o dwa metry, od kiedy wszedł na pokład. Widać już było górną część otworu rurociągu.

Płetwonurkowie, popędzani przez podoficera, niechętnie założyli gumowe kombinezony.

Jedna trzecia otworu znajdowała się nad powierzchnią wody, kiedy pierwszy płetwonurek minął SUSŁA, spojrzął z ciekawością na Feniksa i zniknął w ładowni. Popłynął w kierunku rurociągu. Ostatni mógł już brodzić w wodzie, niosąc silną latarkę.

— To najbardziej niebezpieczna część tej operacji — rzekł Jack Delmar. — W rurociągu jest dużo żwiru, ale jeśli nie rozłożyliśmy go we właściwy sposób, to jeden z segmentów może się nagle uwolnić. W

takim wypadku moglibyśmy tylko sprzedać nasze ubezpieczenie na życie i iść się zabawić.

Podoficer wpuścił do tunelu jeszcze trzech ludzi, kiedy pierwszy wrócił i oświadczył, że dziesięć początkowych segmentów trzyma się dobrze. Zanim zbadano całe cztery kilometry rurociągu, na dnie ładowni pozostało zaledwie kilka centymetrów wody.

W burcie statku widniał czarny i groźny, dwumetrowy otwór tunelu. Alan Roberts z Brytyjskiego Klubu Podwodnego przymocowywał przenośny reflektor do gładkiej, wewnętrznej ścianki rurociągu, kiedy usłyszał cichy trzask. Zdjął reflektor z haczyka i oświetlił najbliższe spojenie dwóch segmentów. Leciąco z niego trochę wody, ale podobnie wyglądały inne spojenia. Kierujący operacją Amerykanin powiedział, że przecieki są nieuniknione. Nurek zaniepokoił się, gdyż znów usłyszał trzask. Wyteżając słuch, starał się obliczyć, jakie ciśnienie wywiera woda na rurociąg. Nic więcej nie usłyszał. Może słuch go zawiódł po tylu godzinach nurkowania?

Zawiesił reflektor i wdrapał się na elektryczny wózek golfowy. Opony skrzypiały na żwirowym podłożu, kiedy wracał na statek. Zanim dostrzegł światło dzienne, zapomniał o dziwnym hałasie.

12

Maggie milczała.

Przedtem krzyczała, przeklinała i wymyślała Mitchellowi, on był jednak niewzruszony. Postanowił zatrzymać ją w domu siłą.

Doszła do wniosku, że warto spróbować innej strategii.

— Mitch? Przepraszam, że na ciebie krzyczałam.

Uśmiechnął się lekko, ale wciąż miał zmartwioną minę.

— Nie ma sprawy.

Usiadła Mitchellowi na kolanach i położyła jego rękę na swoim ramieniu.

— Jest gorąco. Może popływamy?

— Zgoda, ale najpierw obiecaj, że nie będziesz robić żadnych numerów.

— Obiecuję.

W basenie Maggie wybrała idealną chwilę. Kiedy Mitchell odpływał od brzegu, złapała gumkę jego kąpielówek i mocno pociągnęła. Odwrócił się, machając wściekle rękami.

— Hej! Oddaj mi spodenki! — krzyknął.

Maggie wyskoczyła z basenu i pobiegnęła w kierunku samochodu, ściskając w dłoni — jak trofeum — kąpielówki Mitchella.

Mitchell wskoczył nago do mustanga, kiedy MG Maggie opuszczał podjazd.

Mitchell miał lepszy samochód i wyprzedził dziewczynę na drodze do klubu golfowego. Odjechał na bezpieczną odległość i ustawił wóz w poprzek drogi. Maggie skręciła na pole golfowe i wcisnęła pedał gazu, płosząc czwórkę graczy, ustawiających piłkę na podwyższeniu. Podczas czterominutowego wyścigu po polu golfowym Maggie próbowała kilka razy skręcić na drogę, lecz za każdym razem blokował ją mustang. W końcu utknęła w piasku.

Mitchell otworzył drzwi MG. Tylne koła samochodu wirowały szaleńczo, nie przynosiło to jednak efektów.

— Zabiorę cię tam po północy, idiotko! — krzyknął do Maggie.

— Teraz!

— Po północy!

Przestali się kłócić, zauważając, że przyglądają im się cztery osoby.

— Będzie pan miał do czynienia z sekretarzem klubu, panie Mitchell

— rzekł jeden z graczy.

Odwrócił się do trzech gości, którzy z powagą patrzyli na Mitchella.

— Amerykanin — wyjaśnił.

Goście ze zrozumieniem pokiwali głowami.

13

Kilka reflektorów oświetlało wilgotne wnętrze kopuły, przytwierdzonej do dna rzeki jak gumowa przyssawka. Na ziemi ułożono perforowane stalowe płyty, aby SUSEŁ nie zapadł się w muł.

Maszyna stała teraz pionowo. Jej ostrze zagłębiało się w muł pod dokładnie obliczonym kątem.

Jack Delmar siedział w kabinie, sprawdzając po raz ostatni przyrządy kontrolne, kiedy stojący obok niego nurek powiedział, że widzi światła w tunelu. W pobliżu kopuły zatrzymały się wózki

golfowe. Zjawił się Kramer i technik z NASA, prowadząc Feniksa. Jack Delmar wyszedł z kokpitu i pociągnął w kierunku SUSŁA przewody zasilające, które biegły wzdłuż ścianki rurociągu. Specjaliści z NASA pomogli Feniksowi wejść do kabiny. Ukłęknął na pochyłej podłodze. Kramer założył mu plecak i podłączył skafander do zapasowego plecaczka, z którego miał korzystać w czasie podróży pod fundamentami elektrowni. W kabinie leżał załadowany karabin M 1. Do kieszeni skafandra włożono nożyce do cięcia drutu i lampę luminescencyjną.

— Wydawało nam się, że słyszymy hałas — powiedział Kramer do Jacka Delmara nie przerywając pracy. — Jakiś trzask.

— Niech pan to sprawdzi — powiedział Jack Delmar do jednego z pletwonurków. — Proszę wziąć jeden z wózków.

Nurek pojechał wzdłuż kanału. Po pięciu minutach on również usłyszał hałas. Zwolnił i kierował wózkiem kolanami, oświetlając przenośnym reflektorem ścianki tunelu. Natychmiast zauważył uszkodzoną uszczelkę. Do środka wlewała się woda i wsiąkała w żwir. Trzaski były spowodowane wybrzuszeniem się plastikowej powierzchni. Zaniepokojony nurek patrzył, jak na wklęsłej ścianie tworzy się szczelina. Wzdłuż rysy pojawiały się coraz większe krople wody.

Feniks położył się na brzuchu. SUSEŁ stał pod takim kątem, że oficer ciągle zsuwał się na przyrządy.

— Niech pan przytrzyma się stopami tej sztaby — poradził ktoś. Feniks założył buty za sztabę.

Jack Delmar podniósł telefon polowy i zadzwonił do inżyniera, czekającego w pogotowiu na statku.

— Dobra. Włączcie zasilanie.

Przewody hydrauliczne, podłączone do SUSŁA, zeszywniały.

— Proszę sprawdzić płytki sterujące — rzekł przemysłowiec.

— Po jednej.

Feniks zajął się przyrządami kontrolnymi maszyny. Prostokątne płytki po obu stronach SUSŁA rozciągnęły się powoli.

— W porządku.

Kramer po raz ostatni pogrzebał w plecaku, poklepał serdecznie kosmiczny hełm i cofnął się.

— Powodzenia — rzekł Jack Delmar, zamykając właz. Feniksa otoczyła ciemność. Odwrócił się, zatrzasnął klamry przy włazie i spojrział na fluorescencyjny zegarek, który dostał od Kramera. Operacja SUSEŁ była spóźniona o czterdzieści pięć minut.

Płetwonurek zawrócił wózek golfowy. Właśnie zamierzał wdrapać się na niego, kiedy nagle rura pękła z głośnym hukiem, a strumień wody zmył wózek i cisnął nurka na drugą ścianę tunelu. Pracujący w kopule mężczyźni, spojrzeli z niepokojem na czarny otwór, w którym rozlegał się szum wzburzonej wody.

— Do diabła, co to było? — spytał Kramer.

Jack Delmar podłączył do SUSŁA przewód komunikacyjny.

— Okay! Jedź! — warknął.

Jeszcze zanim skończył mówić, ostrze maszyny zaczęło zagłębiać się w muł. Warkot hydraulicznego silnika mieszał się z dudniącym hałasem, dochodzącym z tunelu. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Kramer właśnie zamierzał się odezwać, kiedy woda zbiła go z nóg.

Fala popłynęła wokół kopuły, jak gdyby szukała drogi ujęcia.

— Cała naprzód! — krzyknął Jack Delmar do mikrofonu.

— Mamy przeciek!

Kramer i technicy wstali. Woda sięgała im do pasa. Próbowali dostać się do wylotu tunelu, walcząc z silnym prądem.

Asystent Kramera zaplątał się w przewody hydrauliczne i zaczął krzyczeć. Kramer podążał z wysiłkiem ku wyjściu. Jack Delmar złapał go.

— Musi pan zostać! Trzeba poluzować przewody!

SUSEŁ zagłębiał się w koryto rzeki.

— Boże, nie! Utoniemy!

— Nie możemy utonąć, głupcze! W szczycie kopuły zostanie powietrze! — Jack Delmar złapał Kramera za ramię. — Musi pan zostać i pomóc. Proszę!

Kramer rozejrzał się dziko. Przez tunel płynęła woda. Asystent zniknął.

— Pan niech zostanie! — krzyknął. — Ja wychodzę!

Jack Delmar trzymał Kramera obiema rękami.

— Proszę — błagał. — Musi pan zostać!

Kramer próbował wyswobodzić się z uścisku starego człowieka.

— Na miłość boską, puść! — Woda sięgała mu do piersi.

Zacisnął pięść i z całej siły uderzył przemysłowca w twarz. Jack Delmar rozluźnił uścisk i powoli zniknął pod czarną, spienioną wodą.

14

Louise Champion patrzyła na rzekę. Wyciągnęła rękę i dotknęła Pattersona. Natychmiast się obudził.

— Co się stało?

Louise rozejrzała się po kantynie i wskazała rzekę.

— Widać tam wir. Na samym środku. Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy nami a tym statkiem.

Patterson osłonił oczy przed promieniami słońca, odbijającymi się od wody.

— Wir? Jesteś pewna? — Za chwilę sam zauważył, że Louise miała słuszość.

— Jak myślisz, co jest tego przyczyną? — spytała Louise.

Patterson pokręcił głową.

— Nigdy nie słyszałem o wirach na Tamizie. — Przyjrzał się statkowi zakotwiczonemu przy przeciwnym brzegu rzeki. — Ten statek stoi tam przez cały dzień. Czy myślisz, że oni coś szykują?

Louise patrzyła na wirującą wodę.

— Jeśli tak, to wygląda na to, że mają kłopoty.

15

Hendricks spokojnie opowiadał premierowi o odkryciu ciała Simpsona, kiedy nagle w sali operacyjnej zapadła cisza.

Wszyscy patrzyli na ekran, pokazujący, jak ładownia rudowca „Barrow” napęlnia się wodą. Premier zamierzał właśnie podnieść słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił. Polityk słuchał, obserwując przez cały czas miniaturowy rurociąg, ułożony na stole obok modelu statku. Odłożył słuchawkę i spojrzał na zdenerwowanych ludzi.

— Doszło do awarii rurociągu. Kanał szybko napęlnia się wodą.

Kilka minut przed awarią Jack Delmar kazał uruchomić pompy, napędzające SUSŁA. Kapitan powiedział, że pompy wciąż działają, niewykлучzone więc, że nadal są podłączone do maszyny. Nie umiemy stwierdzić, czy uruchomiono aparat przed wypadkiem.

Kiedy woda zaleje rurociąg, kapitan wyśle płetwonurka, który obejrzy kopułę. Dopiero wtedy uzyskamy pewność.

16

Feniks kierował SUSŁEM i zastanawiał się, co się dzieje w kopule. Usłyszał, jak Jack Delmar krzyczy:

— Cała naprzód! — a potem połączenie zostało przerwane.

Skoncentrował się na tym, by monitory nawigacyjne pokazywały zero.

Maszyna bez przeszkód torowała sobie drogę w dół, a na wszystkich ekranach widniały rzędy zer. Od czasu do czasu głowica zwalniała z ogłuszającym hałasem, przebijając się przez warstwę żwiru.

Nagle czujnik z przodu zasygnalizował zboczenie z kursu. Feniks pociągnął za drążek. Cyfry wciąż mrugały do niego drwiąco. Jeszcze mocniej odciągnął drążek. Po chwili wskaźnik znów pokazywał zero. SUSEŁ podążał w dół, aż znalazł się głębiej, niż sięgały fundamenty elektrowni.

Maszyna przybrała pozycję poziomą i przebijiała się przez warstwy ziemi, leżące tu od wielu milionów lat.

Na ekranach wciąż świeciły rzędy zer.

Wyobraźnia zaczęła płatać Feniksowi figle. Myślał o tonach betonu nad swoją głową i zastanawiał się, co będzie, jeśli maszyna się zepsuje.

— Problem polega na tym, że przewody zasilające mogą się zaplatać

— mówił wcześniej Delmar. — Będziemy jednak w kopule i postaramy się, żeby do tego nie doszło.

Co się stanie, jeśli komputer nawigacyjny popełni błąd? Co jeśli przebije się prosto do jednego z silosów z odpadami radioaktywnymi?

Tylny wskaźnik sygnalizował zboczenie z kursu. Feniks patrzył na niego. Od jak dawna to trwa? Nie wiedząc, co robić, przesunął drążek do przodu. Na ekranie pojawiły się nowe cyfry. Zwolnił obroty głowicy, aby spokojnie się zastanowić.

Kiedy tylny monitor pokazuje, że zboczyłeś z kursu, powinienes odciągnąć drążek do tyłu!

Wysunęły się płytki sterujące, ukryte w bokach SUSŁA, i skierowały maszynę w górę.

Ekran wyświetlał coraz mniejsze liczby.

Feniks trzymał drążek w tym położeniu, dopóki na monitorze nie pojawił się właściwy odczyt. Kiedy maszyna zmieniła położenie, ześlizgnął się w tył i oparł swoje księżycowe buty na metalowej sztabie. Aparat zmierzał teraz w górę, w kierunku betonowej podłogi tunelu inspekcyjnego numer trzy.

Feniks spojrział na zegarek. 21:15. Do terminu, wyznaczonego przez Kellera, zostały tylko dwie godziny, a on nie zdążył nawet dostać się do elektrowni.

Nagle SUSEŁ zadygotał i zatrzymał się raptownie.

17

Podwodny skuter mknął przez zatopiony rurociąg. Płetwonurek lekkimi ruchami ciała sterował maszyną. Potężny reflektor skutera był bezużyteczny w nieprzezroczystej, zanieczyszczonej wodzie. Nurek zauważył światło w miejscu, gdzie pękł jeden z segmentów. Zwolnił, aby ominąć ostre, plastikowe krawędzie, i ruszył w kierunku kopuły. W ciemności pojawiła się biała ręka. Palce złapały osłonę silnika, przeszkadzając w sterowaniu. Przez pięćdziesiąt metrów skuter włókł za sobą ciało technika NASA. W końcu nurek uwolnił się od niego i ruszył dalej, próbując uspokoić nerwy.

Kiedy znalazł się w kopule, starał się nie świecić na martwą twarz Jacka Delmara. Odepchnął na bok ciało przemysłowca, które wykonało powolnego koziołka. Nurek zbadał dno rzeki. Nie było ani śladu SUSŁA. Odkrył płytkie zagłębienie w miejscu, gdzie przewody znikają w miękkim szlamie. Krzywiąc się z obrzydzenia włożył rękę w muł, aż jego palce natrafiły na jeden z wózków golfowych. Przewód hydrauliczny owinał się wokół pojazdu i wciągnął go w szlam. Zanurzył rękę jeszcze głębiej, sięgając pod wózek. Naprężony przewód był twardy jak żelazna sztaba. Nurek wyciągnął rękę z mułu i wrócił z maksymalną prędkością przez rurociąg.

— Wygląda na to, że SUSEŁ zdążył wyruszyć przed katastrofą, ale jeden z przewodów owinał się wokół wózka golfowego. Zespół nurków płynie teraz do kopuły ze sprzętem przecinającym

— powiedział premier odkładając słuchawkę.

Hendricks podniósł głowę znad planu operacji SUSEŁ. Zegar ścienny pokazywał 22:30.

— Wygląda na to, że spóźniliśmy się, panie premierze. Polityk siedział w milczeniu przez kilka minut. W sali tłoczyli się ministrowie i oficerowie wysokiej rangi. Amerykański ambasador przyjechał o 22:00.
— Poproszę Kellera o trzygodzinną zwłokę — rzekł premier.

18

Feniks przestał zgadywać, co się stało i pogodził się z losem. Doszedł do wniosku, że plan był szalony i od początku skazany na porażkę. Szkoda, że nie powiedział o tym premierowi. Oddychanie zaczęło mu sprawiać trudności. Pracował w mroku, starając się podłączyć tlen i chłodzenie z plecaka. Odzyskał jasność myśli, czując, jak do helmu napływa świeże powietrze, a lód pochłania ciepło wydzielane przez organizm.

Nie wyłączył głowicy. Na początku miał nadzieję, że maszyna wkrótce się oswobodzi. Później, kiedy nadzieja znikła, doszedł do wniosku, że bez lekkiej wibracji SUSEŁ byłby cichy jak grób. Zastanawiał się, co pomyślą przyszli archeolodzy, kiedy odkryją zmumifikowane ciało okryte teflonowym materiałem. Przynajmniej poznają jego nazwisko: Neil Armstrong.

Taki napis znajdą na całunie.
Feniks wybuchnął śmiechem.

19

— Nie — odezwał się grzecznie Keller. — Bardzo mi przykro, sir, ale nie mogę zgodzić się na dalszą zwłokę. Mam nadzieję, że monarcha zaakceptował już projekt ustawy?

— Jeszcze nie — rzekł ostrożnie premier. — Pałac wysunął kilka zastrzeżeń. Proszę tylko o trzy godziny, abyśmy mogli znaleźć jakieś rozwiązanie.

Keller robił wrażenie zatroskanego.

— Rozumiem pana problem, sir, bardzo jednak proszę, żeby rozwiązał go pan w ciągu najbliższej godziny. Dokładniej, ma pan jeszcze pięćdziesiąt pięć minut. Stoi przede mną tranzystorowy telewizor. Liczę na to, że wystąpi pan o północy, aby poinformować naród o nowej

ustawie, czyniącej zadość żądaniom zawartym w moim ultimatum. Jeśli pana nie zobaczę, to bez wahania wysadzę silosy.

Połączenie zostało przerwane.

Keller powiesił na haczyku mikrofon. Odwrócił się i spojrzął z namysłem na Louise Champion i Hugh'a Pattersona.

— Obawiam się, że muszę was zamknąć, abyście nie wpadli na żadne nowe pomysły. Wypuszczę was po północy. — Przerwał.

— Jeśli po północy coś jeszcze zostanie z tego świata.

Wskazał łufą sterlinga drzwi z tyłu sali kontrolnej.

20

Feniks uciął sobie drzemkę, nie miał bowiem nic do roboty, a poza tym w ten sposób oszczędzał tlen. Obudziło go nagle szarpnięcie — coś, o co przestał się modlić już godzinę temu.

Dotknął ścianki kabiny. To nie był sen — wyczuwał wibracje.

Nastąpiło jeszcze jedno szarpnięcie i warkot głowicy przycichł.

SUSEŁ znów zaczął wiercić, kierując się w górę. Na monitorze migały cyfry. Feniks odruchowo poprawił kurs. Był zbyt oszołomiony, by zdawać sobie sprawę z tego, co robi.

Maszyna bez przeszkód przebijała się w górę przez muł i żwir.

Feniks skręcił, a potem wrócił na właściwy kurs. Urządzenie działało znakomicie.

Przestał się cieszyć, kiedy głowica z okropnym piskiem natrafiła na beton. Hałas przestraszył i oszołomił Feniksa. Pomyślał, że bogowie postanowili wpędzić go w obłąd, a potem uśmiercić.

Wyłączył zasilanie i hałas ucichł.

Beton! Dotarł do betonu! Głowica musi teraz chodzić na bardzo wolnych obrotach, dopóki SUSEŁ nie przedostanie się do elektrowni.

— Nie ma sensu przebijać się poziomo przez beton — powiedział wcześniej Jack Delmar. — Ostrze przejdzie na drugą stronę, a pan znajdzie się w pułapce, gdyż nie będzie pan mógł otworzyć wjazdu.

Trzeba wiercić pod lekkim kątem, jak startujący samolot.

Masywne ostrze wierciło nieubłaganie przez piętnaście minut.

Kawałki gruzu uderzały z grzechotem o bok głowicy.

Spojrzął na zegarek. Była 23:23. Spóźnił się. Nawet jeśli za pięć

minut dostanie się do tunelu inspekcyjnego, nie starczy mu czasu na

przecięcie wszystkich przewodów.

Nagle SUSEŁ zaczął się obracać wokół własnej osi. Feniks zsunął się z materaca i poleciał na ścianę kokpitu. Starał się uspokoić i zrozumieć, co się dzieje. Nastąpił kolejny wstrząs.

Maszyna zadrżała z okropnym piskiem, kiedy jej nie osłonięte boki zazgrzytały o beton. Feniks zdał sobie sprawę, że SUSEŁ próbuje obrócić się wokół własnej osi, podczas gdy zablokowana głowica tkwi nieruchomo w betonie.

Pociągnął w dół drążek sterowniczy, tak jak nauczył go Jack Delmar. Wszystkie cztery płytki sterujące wysunęły się jednocześnie, hamując ruch obrotowy. Począł, aż głowica zacznie się obracać i dopiero wtedy puścił drążek.

Coś powinien teraz zrobić. Zwolnił obroty głowicy i zastanawiał się. Chłodzenie! Z ulgą przekręcił kurek, włączający dopływ wody do głowicy, aby czujniki IRIS nie wykryły maszyny, kiedy znajdzie się po drugiej stronie muru.

Powoli, centymetr po centymetrze, SUSEŁ parł do przodu. W końcu się przebił.

Feniks wyłączył silnik. Po raz pierwszy od chwili, w której wszedł do maszyny, zapadła cisza; niezmacona, przytłaczająca cisza. Odwrócił się, odpiął klamry, przytrzymujące właz, i pchnął.

Właz ani drgnął. Pchnął mocniej. Pokrywa poruszyła się lekko, ale wróciła na miejsce, kiedy cofnął rękę. Odwrócił się ostrożnie i przycisnął nogę do włazu. Napiął mięśnie i pchnął. Położył na pokrywie obie stopy i znów pchnął. Właz otworzył się nieco, ale po chwili znów się zatrzasnął. Po następnym mocnym pchnięciu coś pękło w plecaku Feniksa, udało mu się jednak uchylić właz o kilka centymetrów. Starał się kołysać pokrywą w obie strony, pchając jednocześnie do przodu. Nagle spadła w ciemność z głośnym brzękiem. Leżał spokojnie przez kilka minut, a system chłodzenia pochłaniał ciepło, wydzielone w czasie pracy przez jego organizm.

Wygramolił się niezgrabnie z kokpitu, szukając w kieszeni lampy luminescencyjnej. Złamał pieczęć. Tunel wypełniło światło, którego źródłem była reakcja chemiczna. Jak okiem sięgnąć przy jednej ze ścian stały cztery warstwy kartonów z cyklonitem. W odległości jednego metra błyszczał złowieszco czujnik IRIS.

Feniks właśnie zamierzał rozwinąć mapę i sprawdzić, gdzie się znajduje, kiedy nagle przypomniał sobie, że jest uzależniony od plecaka. Podniósł rękę do przyłbicy i z niedowierzaniem odczytał cyfry. Zostało mniej niż pięć funtów lodu.

Zegarek wskazywał 23:40. Nie miał czasu nawet myśleć o przecięciu przewodów. Podniósł automatyczny karabin i ruszył wzdłuż tunelu tak szybko, jak pozwalał niewygodny skafander.

O 23:42 premier siedział spokojnie przed pospiesznie zainstalowanymi kamerami. Wokół niego kręcili się inżynierowie, ustawiając mikrofony i reflektory. Przed politykiem leżała zamknięta teczka, zawierająca dwa przemówienia: jedno z nich opierało się na ultimatum generała Pyne'a, a drugie na ultimatum Ralpa Kellera.

Właśnie weszła w życie ustawa parlamentu, realizująca żądania Pyne'a. Teraz, po śmierci Simpsona, tylko premier wiedział o ucieczce generała.

Czerwony telefon zapewniał bezpośrednie połączenie z Kellerem.

Trudno było liczyć na to, że za chwilę rozbłyśnie czerwone światelko i Feniks oświadczy, że opanował sytuację.

O 23:43 Feniks odkrył podziurawione kulami ciała pracowników elektrowni, ułożone jedno na drugim. Oparł się o ścianę tunelu i starał się opanować mdłości. Gdyby wymiotował w skafandrze kosmicznym, mógłby utonąć we własnych wymiocinach. Nie miał wyboru: musiał wspiąć się na przerażający stos ciał, aby dostać się do szybu.

Księżycowe buty ześlizgnęły się kilka razy ze sztywnych trupów.

Rozległ się świst. Ciężar Feniksa sprawiał, że z płuc martwych ludzi wydostawało się powietrze.

Przypiął karabin do klamry i zaczął się wspinać po pięćdziesięciu stalowych szczeblach, zainstalowanych w szybie. Zastanawiał się, czego mu najpierw zabraknie — siły, lodu czy czasu.

O 23:51 Feniks zepchnął stalową pokrywę, zasłaniającą wejście do szybu, i rozejrzał się szybko. Nie miał już lodu i nie było sensu zwlekać.

Wygramolił się z szybu na beton i wstał. Nie wiedział, czy system IRIS wykrył jego obecność. Alarm rozległby się tylko w Sali kontrolnej.

Pobiegł szybko przez betonową płytę w kierunku głównego wejścia.

Było otwarte. Teraz, kiedy nie miał już lodu, w skafandrze zaczęło się gromadzić ciepło. Wszedł na schody. Księżycowe buty poślizgnęły się

na gładkim marmurze. Spadł, uderzając plecami w balustradę. Podniósł się i szedł dalej. Po jego twarzy spływał pot.

Najwyraźniej system tlenowy nie działał tak jak trzeba. Nacisnął przycisk, włączający dopływ powietrza. Niewielka ilość tlenu dotarła do hełmu, to jednak nie wystarczyło. Było mu coraz goręcej.

Po wewnętrznej stronie przyłbicy zaczęła się zbierać para. Keller na pewno nie umieścił w elektrowni czujników IRIS — sprawiłyby zbyt dużo kłopotu. Zatrzymał się na drugim piętrze, żeby zdjąć hełm. Miał ograniczone pole widzenia i przeszkadzała mu zaparowana przyłbica, dlatego nie zauważył wiszącego na ścianie czujnika.

Ralph Keller podniósł zmodyfikowany telefon komórkowy z detonatorem. Patrzył na tranzystorowy telewizor, stojący obok na konsoli. Właśnie nadawano kino nocne. Spojrzał na zegarek.

23:55.

Stał oglądając telewizję, a jego palce pieszczotliwie muskały telefon komórkowy.

Feniks postanowił nie dotykać hełmu — niezgrabne rękawice uniemożliwiały pracę, a zdejmując je straciłby cenne sekundy.

Bolały go płuca, które domagały się tlenu, kiedy biegł w górę po schodach. Zatrzymał się przed salą kontrolną, starając się złapać oddech i opanować drżenie rąk.

Boże! Co ma zrobić z tą zaparowaną przyłbicą? Ile czasu zajęłoby mu zdjęcie hełmu?

W drzwiach sali kontrolnej znajdowało się okrągłe okienko.

Dostrzegł Kellera, stojącego przy konsoli po przeciwnej stronie sali.

Feniks nie wiedział, co robić. Cały czas drżały mu ręce. Na próbę wycelował karabin w dół schodów. Muszka biegła na wszystkie strony.

23:59.

Dyszał ciężko, a para na przyłbicy sprawiała, że widział Kellera jako niewyraźną plamę.

Niedobrze, cholera.

Otworzył kopnięciem drzwi, wpadł do sali kontrolnej i wypalił.

Keller odwrócił się, sięgając odruchowo po telefon komórkowy.

Feniks opróżnił prawie cały magazynek M 1, a później opadł na kolana.

Z niedotlenienia krew dudniła mu w uszach. Ledwo słyszał huk, kiedy kule z karabinu Kellera trafiły w stalową szafkę koło drzwi. Rykoszet

rozbił kosmiczny hełm, a trzy kule trafiły Feniksa w brzuch. Jego płuca wciągnęły powietrze, w którym unosił się zapach kordytu. Upadł na podłogę i leżał twarzą w dół.

Kilka minut po północy rozbłysło światelko na czerwonym telefonie. Premier podniósł słuchawkę i, pamiętając, że wszyscy na niego patrzą, przyłożył ją spokojnie do ucha.

— Tak?

Słuchał przez chwilę.

Kierownik ekipy telewizyjnej zauważył, że na szyi premiera zaczyna pulsować żyłka.

— Rozumiem — rzekł premier. Słuchał przez kilka sekund, a potem spytał: — Jak ciężko? — Znów zapadła cisza. — Dobrze.

Odłożył powoli słuchawkę i spojrzał na przyglądające mu się twarze.

— Feniksowi się nie udało — powiedział spokojnym, bez-namiętnym tonem. — Został ranny. Keller chce, żebyśmy sam poszedł do elektrowni.

W pokoju panowała martwa cisza.

— Nie może pan tego zrobić, sir — zaproponował minister spraw wewnętrznych.

Premier wstał i podał ministrowi przemówienie, oparte na pierwszym ultimatum.

— Nie mam wyboru — powiedział. — Pan wystąpi w telewizji zamiast mnie.

Minister drżącymi rękami wziął dokument.

— Ja tam pójdę, sir — prosił.

Odezwał się amerykański ambasador.

— Nie powinien pan iść, panie premierze. Będzie pan...

— Nie mamy wyboru — rzekł premier, ruszając ku drzwiom. Wezwał jednego z uzbrojonych żołnierzy i kazał mu nie dopuszczać nikogo do czerwonego telefonu.

— Muszę przyznać, że ten facet ma tupet — powiedział cicho ambasador do Hendricksa po wyjściu premiera.

Hendricks skinął głową.

Świeże powietrze przywróciło Feniksowi przytomność. W sali kontrolnej panowała cisza. Bardzo bolał go brzuch. Usunął strzaskane

kawałki przyłbicy i spróbował wstać. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ani śladu Kellera.

Spojrzał na zegarek. Trzy minuty po północy. Czołgał się po podłodze sali kontrolnej. Na głównej konsoli było dużo krwi, a na posadzce leżały szczątki detonatora. Feniks skrzywił się, kiedy to zobaczył. Keller mylił się, twierdząc, że zniszczenie detonatora odpali ładunki wybuchowe.

Podczołgał się do radiotelefonu i zdjął z haczyka mikrofon.

— Tak? — usłyszał głos premiera.

— Tu Feniks, sir. Zraniłem Kellera... — Przerwał, kiedy poczuł ostry ból w żołądku. — Jego detonator nie zadziałał. — Nie mógł mówić, gdyż w gardle zbierała mu się krew.

— Niebezpieczeństwo minęło.

— Rozumiem — rzekł premier.

— Keller zniknął — jest ranny, ale...

— Jak ciężko?

Feniks miał wrażenie, że pokój wiruje wokół niego, a głos premiera dochodzi z bardzo daleka.

— Tyle tu krwi... na pewno jest ciężko ranny... — wyszeptał Feniks.

— Dobrze — rzekł premier.

Feniks zamierzał właśnie się odezwać, ale zdał sobie sprawę, że połączenie zostało przerwane. Ledwo słyszał stukanie w drzwi na tyłach sali kontrolnej. To Patterson i Louise Champion. Keller na pewno ich zamknął. Lepiej niech tam pozostaną, dopóki nie poradzi sobie z Kellerem.

Odwrócił się od radiotelefonu i zobaczył gruby, krwawy ślad, który zostawił na podłodze.

Premier siedział w milczeniu na tylnym fotelu samochodu. Wyjął cygaro i pomyślał, że wszystko świetnie się układa.

Warkot maszyny paliwowej przykuł uwagę Feniksa. W całej elektrowni słychać było pomruk olbrzymiego urządzenia, dostarczającego składniki paliwa nuklearnego do obu reaktorów.

SĄDNY DZIEŃ

Kapitan Stacy ścisnął w dłoni notatnik.

— Panno Pyne, samochód pani przyjaciela blokuje przejazd. Jeśli nie odjedziecie w ciągu trzydziestu sekund, każę was aresztować. Ruchem głowy Stacy wezwał żołnierzy. Zgromadzili się wokół mustanga, zaparkowanego przed bramą nowego obozu jednostki obrony platform wiertniczych.

— Chodź, kochanie — rzekł Mitchell. — On nas nie wpuści.

— Nie odejdę, dopóki nie zobaczę się z ojcem — powiedziała zdecydowanie Maggie.

Stacy rozejrzał się. Miał wrażenie, że widzi reflektory zbliżającego się samochodu. Odwrócił się z gniewem do mustanga.

— Po raz ostatni mówię pani, panno Pyne, że go tutaj nie ma.

Oczekuję ważnego gościa i chcę, żeby natychmiast cofnęła pani samochód!

— Kłamie pan! — ucięła Maggie. — Wiem, że on tu jest i nie ruszę się, dopóki nie pozwolicie mi go zobaczyć!

Reflektory samochodu znajdowały się już w odległości czterystu metrów.

— Zabierzcie ich—powiedział szybko Stacy. —I usuńcie ten wóz.

Mitchell nie spierał się, widząc wycelowane karabiny. Otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Maggie nie chciała jednak ustąpić.

Jeden z żołnierzy zbliżył się i ruchem karabinu kazał jej wysiąść.

— Będziecie musieli wyciągnąć mnie stąd siłą — rzekła z uporem Maggie.

Żołnierz schylił się do samochodu. Maggie ugryzła go w rękę, kiedy próbował ją złapać.

Stacy jęknął. Samochód znajdował się już w odległości pięćdziesięciu metrów i zwalniał.

Trzej żołnierze wywlekli Maggie z mustanga. Mitchell próbował zbliżyć się do krzyczącej i walczącej dziewczyny, ale żołnierze go odepchnęli.

— Zabierzcie samochód! — warknął Stacy.

Reflektory zatrzymały się kilka metrów za mustangiem. Do diabła — to wóz z ministerstwa. Tylne drzwi otworzyły się i zatrzasnęły, zanim szofer zdążył się poruszyć. Rozległy się czyjeś kroki.

Niewiele brakowało, a Maggie wyrwałaby się żołnierzom.

— Co tu się dzieje? — spytał głos, który Stacy natychmiast rozpoznał z radia i telewizji.

— Chcę zobaczyć ojca! — krzyknęła Maggie.

— Puśćcie ją — rzekł premier.

— Ona robi tu zamieszanie, sir—powiedział Stacy, przeklinając w duchu.

— Proszę ją puścić, kapitanie Stacy — głos był spokojny i zdecydowany.

Stacy kazał żołnierzom puścić Maggie.

Niska, krępa postać podeszła bliżej.

— Panna Pyne, jeśli się nie mylę? Jestem premierem. Miło mi panią poznać.

— Nie obchodzi mnie, kim pan jest — odrzekła Maggie.

— Chcę tylko...

— Zobaczyć się z ojcem. Zobaczy się z nim pani. Zabiorę panią do niego. Najpierw jednak muszę załatwić pewną pilną sprawę. Premier odwrócił się do Stacy'ego i wydał kilka rozkazów.

Prawe ramię Kellera było zakrwawione, a ręka zwisała bezwładnie.

Stał na roboczym pomoście i obserwował, jak maszyna paliwowa opuszcza do reaktora śmiercionośne pręty uranowe. Patrzył z niezdrową fascynacją na przeciwny koniec wielkiej hali, gdzie urządzenie kończyło operację. Mechaniczna łapa puściła pręty i zaczęła się podnosić. Włączył się elektryczny motor. Zawieszona na szynach maszyna ruszyła w kierunku Kellera, aby wyjąć ostatnie pręty z okrągłego zbiornika z wodą, umieszczonego dziesięć metrów pod pomostem. Na twarz fizyka padał błękitny blask promieniowania Czerenkowa, emitowanego przez zanurzone w wodzie pręty.

Wielka maszyna zbliżała się ze szczękiem, a jej puste kleszcze zwisały bezwładnie pomiędzy szynami.

Jeszcze tylko dziesięć prętów, pomyślał Keller. Po wyłączeniu systemu chłodzenia i umieszczeniu tych dziesięciu prętów w reaktorze, dojdzie do nie kontrolowanej reakcji łańcuchowej. Beton i stal, otaczające rdzeń reaktora, wytrzymają przez kilka sekund, ale na dłuższą metę nic się nie oprze tej potwornej energii.

Potężna eksplozja rozrzuci radioaktywne cząstki po całej Europie.

Szkoda, że nikt się nie dowie, jak sprytnie Keller ominął

zabezpieczenia. To zresztą nieważne — pomnik jego geniuszu,

trucizna, która przesyci ziemię i powietrze, przetrwa przez wiele pokoleń.

Maszyna była już prawie nad zbiornikiem, a kleszcze znajdowały się na wysokości oczu Kellera. Podszedł do pulpitu kontrolnego i wcisnął guzik. Urządzenie zatrzymało się kilka metrów przed pomostem.

Kleszcze rozchyliły się, a maszyna zaczęła powoli opuszczać się w dół na czterech błyszczących rurach, zawieszonych na szynach.

Coś było nie tak z tymi rurami. Spływała po nich gęsta, czerwona ciecz, która przybierała niebieską barwę, zbliżając się do lśniącej wody. Keller spojrział w górę. Feniks celował do niego z karabinu.

— Wyłącz to, Keller.

W tym momencie Keller po raz pierwszy zobaczył oczy Feniksa, które patrzyły na niego przez roztrzaskaną przyłbicę, zbliżały się, były coraz większe. Zdziwienie ustąpiło miejsca przerażeniu. Miał wrażenie, że zrealizowały się nagle wszystkie jego koszmarne sny.

Cofał się po pomoście przed straszną postacią, a w końcu rzucił się do ucieczki.

Feniks wystrzelił. Był to trudny strzał z ruchomej platformy do ruchomego celu. Kula przeszła udo Kellera. Uderzyła jak młot, miażdżąc kość i tkankę. Keller odwrócił się i wpadł na balustradę.

Zdażył jeszcze

zaciśnąć palce na maszynie paliwowej, a potem spadł dziesięć metrów w dół prosto w błyszczącą wodę.

Feniks podszedł do maszyny i spojrział na Kellera. Fizyk szamotał się w wodzie, usiłując wspiąć się na gładkie ścianki zbiornika.

Feniks wyczuł, że maszyna się zatrzymuje. W dół opuszczało się dwadzieścia kleszczy, każdy z trzema stalowymi palcami. Keller zobaczył je i krzyknął. Końce uranowych prętów znajdowały się wprawdzie dwadzieścia stóp pod powierzchnią wody, jednakże stalowe szczęki zamykały się, kiedy natrafiały na opór.

Zamknęły się na Kellerze. Złapały jego ramiona, nogi i szyję.

Zapadał się w lśniąca kipiela. Krzyki Kellera raptownie ucichły, kiedy kleszcze wepchnęły go pod wodę. Przerażona twarz, patrząca na Feniksa, zanurzała się coraz głębiej, dopóki nie przesłoniła jej błękitna smuga, wydobywająca się z uda rannego mężczyzny.

Szczyt maszyny paliwowej zatrzymał się na wysokości pomostu.

Feniks przytrzymał się balustrady i wszedł na wąski chodnik. Po

dziesięciu minutach nadludzkich wysiłków dotarł do pulpitu kontrolnego i wcisnął guzik, przerywający pracę maszyny.

Ucichł warkot elektrycznych silników.

Feniks oparł się o balustradę. Upływ krwi tak go osłabił, że nie mógł się ruszać. Było mu zimno. Palce śmierci muskały jego ciało, badając wnętrzości i podstawowe organy.

W ogromnej hali elektrowni rozległy się czyjeś kroki.

Niska, krępa postać wchodziła na pomost po stalowych schodach.

Feniks patrzył na zbliżającego się premiera. Wypastowane buty zatrzymały się przy jego wyciągniętych nogach. Premier ukląkł.

— Cóż, Pyne, poradziłeś sobie lepiej niż sądziłem. Feniks słabo skinął głową. Położył rękę na brzuchu. — Teraz... — skrzywił się z bólu. — Teraz dokończę to, co zacząłem.

— Nie, Pyne. Myślę, że to już nie jest potrzebne.

Pyne próbował się podnieść.

— Ale ustawa, sir — wyszeptał. — Potrzebuje mnie pan.

— Ustawa została uchwalona o północy, Pyne.

Pyne pokręcił głową. Jego matowe, szare oczy patrzyły na polityka.

— Sądziłem, że pan zrezygnował, kiedy Keller objął dowództwo.

Premier uśmiechnął się do umierającego mężczyzny.

— Miałbym zrezygnować, Pyne? Źle mnie osądzasz. Źle również osądziłeś Kellera. Simpson i ja popełniliśmy błąd, pozwalając ci wybrać ludzi do tego zadania. Przy okazji, gdzie jest pozostała dwójka?

— Są zamknięci w pokoju koło sali kontrolnej. O niczym nie wiedzą. Nie powiedziałem im — wyszeptał Pyne.

— Spodziewałem się tego — rzekł lekko premier. — Jest pan zbyt lojalny, by nie posłuchać rozkazu. — Wyjął z kieszeni dokumenty i pokazał Pyne'owi.

— Spójrz, Pyne. Oto kopia ustawy o specjalnych uprawnieniach dla rządu, która czyni ze mnie najpotężniejszego człowieka w Europie. Pomyśl tylko, Pyne: żadnych podziałów w parlamencie, żadnych zmartwień o to, że komisje sejmowe wprowadzą idiotyczne poprawki do projektów ustaw, żadnych kłopotów z opozycją wewnątrzpartyjną. Pamiętasz, jak się zaniepokoiiliśmy, kiedy opowiedziałeś mi o komitecie Cromwell Dwa i jak spieraliśmy się, którą elektrownię należy opanować?

Czyż to nie było tego warte? — Premier roześmiał się swobodnie. — Cromwellowi nie śniła się nawet władza, jaką teraz posiadam. Pyne opadł na podłogę. Uływ krwi pozbawił go sił. Czuł się tak, jak gdyby zimne palce zaciskały się na jego piersi.

— Co się ze mną stanie, sir?

Premier spojrział na zakrwawiony szczyt maszyny paliwowej.

— Cóż, wygląda na to, że umrzesz, Pyne. Póki to się nie stanie, dotrzymam ci towarzystwa.

Pyne spojrział w zimne oczy premiera i zaczął rozumieć.

— Zapomina pan o czymś, sir. — To „sir” było odruchowe — wynikało z lojalności Pyne'a, której nie mogła zniszczyć nawet nadchodząca śmierć. — Simpson pana nienawidzi. Wszystkim opowie.

— Simpson nie żyje, Pyne. Ciebie czeka ten sam los za kilka minut. Pyne z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Potrzebuję pan zagrożenia ze strony elektrowni, żeby pozostać na stanowisku. Sam pan to powiedział, kiedy pisał pan ultimatum.

Pamiętam pańskie słowa...

Premier uśmiechnął się.

— Przeczytaj tekst ustawy, Pyne. Opracowali ją najlepsi prawnicy w kraju. Jest w stu procentach nie do obalenia. Przeszła przez parlament, a teraz zaakceptował ją monarcha. Była tam klauzula, na mocy której ustawa traci ważność, kiedy unormuje się sytuacja w elektrowni, ale została skreślona. Właśnie dlatego już cię nie potrzebuję.

Pyne nic nie powiedział. Oczy mu się zamykały. Wypuszczał ze świstem powietrze, a oddychanie utrudniała krew, napływająca mu do gardła. Premier usadowił się wygodnie, czekając, aż Pyne umrze.

— Ach, byłbym zapomniał. Twoja córka czeka na zewnątrz. Pyne otworzył oczy i spojrział przytomniej.

— Maggie? Jest tutaj? — Próbował się podnieść. — Czy mogę ją zobaczyć?

Premier pokręcił głową. Pyne zebrał wszystkie siły i spróbował się podnieść, ale polityk popchnął go na ziemię. Spojrział z niesmakiem na zakrwawioną rękę i wytarł ją w chusteczkę.

— Jesteś prawdziwym draniem — rzekł cicho Pyne, ledwo poruszając ustami.

— Nareszcie zacząłeś mnie rozumieć, Pyne. Jednakże kiedy stąd wyjdę, będę największym bohaterem w kraju.

Pyne miał wrażenie, że głos premiera dochodzi z bardzo daleka.

— Ty, Pyne, zostaniesz uznany za zdrajcę, który otrzymał szansę zadośćuczynienia, ale poniósł porażkę. Nikt się nawet nie dowie, że zastrześliłeś Kellera.

Przed śmiercią Pyne zdążył usłyszeć tylko słowo „zdrajca”.

Premier pochylił się.

— Czy już jesteś martwy, Pyne? — spytał cicho.

Przystawił ucho do rozbitej przyłbicy. Nic nie usłyszał.

Dla pewności poczekał dziesięć minut, a potem wstał.

Maggie czekała z Mitchellem przed głównym wejściem, kiedy zjawił się premier. Powstrzymywali ją ludzie Stacy'ego.

Małe, ładne stworzonko, pomyślał premier. Jeśli jest choć w połowie tak lojalna jak ojciec, to będzie dobrą żoną dla Amerykanina.

— Czy on tam jest? — spytała.

Premier uśmiechnął się do niej ciepło.

— Tak, moje dziecko. Możesz teraz wejść i zobaczyć go.

Prosto korytarzem, a potem do głównej hali reaktora. Czeka na ciebie na szczycie żelaznego pomostu.

— Czy mogę z nią iść, sir? — spytał Mitchell.

Premier machnął ręką. — Jeśli pan chce.

Począł, aż para zniknęła w budynku, a potem odwrócił się do Stacy'ego. — Kapitanie Stacy, czy wie pan, co się tu dzieje?

Stacy ścisnęła mocniej notatnik i skinęła głową.

— Słuchałem przemówienia ministra spraw wewnętrznych, sir.

Premier rozwinął dokument i wręczył go oficerowi.

— Pana i pańskich żołnierzy czeka dziś w nocy dużo pracy, Stacy.

Oto nakaz aresztowania ludzi, których nazwiska widnieją na tej liście.

Są członkami ugrupowania, zwanego komitetem Cromwell

Dwa. Ma pan ich zgarnąć. Przerażony Stacy patrzył na listę.

— Tych ludzi? — jęknął. — Przecież to...

— Politycy, wysocy urzędnicy, oficerowie. Filary społeczeństwa.

Nie obchodzi mnie, kim są — przerwał premier. — Wiem tylko, że

to zdrajcy. Ale jednym z nich jest minister spraw wewnętrznych

— zaprotestował Stacy.

— To ich prowodyr. W środku znajdzie pan dwójkę terrorystów

— ruchem głowy premier wskazał elektrownię. — Zamknąłem ich w pokoju na tyłach sali kontrolnej. Mężczyzna i kobieta. Ich również proszę aresztować. Kiedy pan to załatwi, proszę wysłać do silosów grupę saperów, aby usunęli materiał wybuchowy. Zrozumiał pan? Stacy drżącym głosem powtórzył instrukcje.

— Doskonale, Stacy. Jeszcze jedno. Dziś wieczorem mam ochotę wykonać teatralny gest, proszę ich więc zaprowadzić do londyńskiej Tower.

Nie czekając na odpowiedź premier odwrócił się i poszedł do samochodu. Kierowca wyskoczył i otworzył tylne drzwi.

— Downing Street.

Zanim wsiadł do samochodu, zatrzymał się na chwilę i spojrzał na gwiazdy. Na niebie widać było blask nadchodzącego świtu.

Odetchnął głęboko. Czuł w powietrzu zapach nowego dnia.